

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MICHEL ZEVACO

BŁAZEN KRÓLEWSKI

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

KRÓL

– Do nogi, Triboulet! – zawołał król Franciszek I wesoło.

Stwór pokraczny, garbaty, do którego były zwrócone te słowa, drgnął; w jego oczach zapaliła się i natychmiast zgasła iskierka nienawiści. Po chwili, uśmiechając się szeroko, zbliżył się do króla, udanie naśladowując wściekle szczekanie brytana.

– No, błaznie, co znaczy to szczekanie? – zapytał król marszcząc brwi.

– Zwróciłeś się do mnie, najjaśniejszy panie, jak do psa, odpowiadam więc w psim języku – odrzekł Triboulet zginając się w przesadnym ukłonie.

Kilku dworzan obecnych przy tej scenie wybuchło śmiechem.

– Pod stół, Triboulet! – zawołał jeden z nich. – Pies leży pod stołem.

– Lecz czasem i gryzie, panie de La Châtaigneraie. Na przykład Jarnac, który, jako że nie ma klów, musnął cię boleśnie ręką po policzku.

– Bezczelny nędzniku! – krzyknął wściekle de La Châtaigneraie, blednąc z gniewu.

– Zgoda, moi panowie! – nakazał król śmiejąc się. – Mości błaznie, powiedz mi tylko bez żadnych wykrętów, jak ci się dziś podobam?

Stojąc przed olbrzymim zwierciadłem ofiarowanym mu przez Republikę Wenecką, król Franciszek spoglądał na siebie z zachwytem. Tymczasem dwaj słudzy kończyli pośpieszenie nakładać mu czarny aksamitny beret z białymi piórami, jedwabny poziomkowy kaftan i na końcu futrzany płaszcz.

– Sire, jesteś piękny jak sam Febus! – odparł Triboulet, a dzwoneczki jego błazeńskiego kaptura brzęknęły dzwięcznie.

– Dlaczego Febus? – zapytał król, zdumiony tym porównaniem.

– Ponieważ twą głowę, królu, jak głowę Febusa, otaczają promienie, z tą różnicą, że nie słoneczne, lecz z siwych włosów.

Triboulet cofnął się, potrząsając kaduceuszem i chichocząc ironicznie. Tłum dworzan zaszemrał oburzony taką beczelnością, król jednak śmiał się, więc i oni zaczęli się śmiać.

Monarcha wyprostował swą wysoką, barczystą postać i zwrócił się do jednego z dworzan:

– A ty, d'Essé? Jak ci się podobam?

– Nigdy jeszcze, najjaśniejszy panie, nie widziałem cię tak rześkim jak dzisiaj. Młodniejesz, królu, z dnia na dzień!

– Mój książę! Ostrożnie! – zawołał z przesadną powagą Triboulet. – Jeszcze wmówisz królowi, że wrócił do stanu niemowlęctwa. Zdziecinnienie z czasem przyjdzie, to pewne, lecz na razie król liczy sobie zaledwie pięćdziesiąt wiosen!

– No, a co ty powiesz, Sansac? – zapytał znów król.

– Wasza królewska mość jest dla nas zawsze wzorem, elegancji...

– Tak – przerwał błazen – ale jednak żaden z was nie zrobi sobie garbu na brzuchu, aby lepiej naśladować elegancję króla! Przynajmniej ja jestem lojalny – noszę jego imitację na plecach!

Brzęknęły głośno dzwonki, jakby akcentując złośliwą uwagę Tribouleta. Dworzanie spojrzeli na niego z niechętną wzgardą, na co ten odpowiedział pocieszonymi minami, król zaś zaczął się śmiać hałaśliwie.

– Sire! – zawołał zdenerwowany La Châtaigneraie. – Może raczysz nam wytłumaczyć, jaki jest powód twojej dzisiejszej wesołości?

– Przebóg! – wtrącił się znowu Triboulet. – Król zapewne rozmyśla o pokoju, który mu narzucił jego cesarski kuzynek! Straci tylko Flandrię i Aragonię, księstwa d'Artois i Mediolanu. Nie ma powodu do łez.

– Błaźnie!

– Źle mówię, panie? Mylę się? A może król marzy o rzeziach urządzanych ku chwale Kościoła Świętego. Cała Prowansja zatopiona we krwi. Ja również cieszę się niezmiernie...

– Milcz! – zagrmiał król blednąc na wspomnienie tamtych okrucieństw.

Opanował jednak szybko wzburzenie i zwrócił się do dworzan:

– Dziś wieczór czeka nas wielka wyprawa! Panowie! Mam pięćdziesiąt lat! Niektórzy powiadają, że zaczynam się starzeć. No cóż, zobaczymy! Po bitwie pod Marignan mówiono: „Dzielny jak Franciszek!” Chcę, aby również mówiono: „Młody jak Franciszek!”, „Zalotny jak Franciszek!” Na Madonnę, radujmy się, moi przyjaciele, bo życie takie słodkie, a kobiety we Francji takie piękne!

– Brawo, sire! Niech żyje miłość!

– Wasza królewska mość nie wygląda nawet na trzydzieści lat!

– Na Boga, moi przyjaciele! Miłość! Boskie brzmienie wyrazu: Kocham! Ach, gdybyście wiedzieli, jaka ona jest piękna w całym blasku swoich siedemnastu lat! Jej niewinność, czystość spojrzenia w połączeniu z tak wielką urodą zapala w moich żyłach morze ognistych płomieni.

To nagle wyznanie króla wzbudziło w sercach dworaków niepokój. Milczeli przezornie. Kim była owa młoda dziewczyna, w której się zakochał? O kim mówił z takim uniesieniem?

Król tymczasem spacerował w podnieceniu po okazale urządzonej komnacie, w której przepych stylu gotyckiego łączył się z wdziękiem i wspaniałością renesansu. Oczy mu błyszczały, policzki okryły się rumieńcem. Odmłodził naprawdę.

W pewnej chwili znowu stanął przed olbrzymim zwierciadłem. Uśmiechnął się do swego odbicia i zawołał:

– Nie, nie mam pięćdziesięciu lat! Alboż król się starzeje? Jestem młody! Mówi o tym gwałtowne bicie mego serca i miłość, która uderza mi do głowy. Kocham i pragnę być kochany!

– A jeżeli ona nie zechce cię pokochać? – zapytał Triboulet z ironicznym uśmiechem, w którym dźwięczał głuchy niepokój.

– Pokocha mnie! Taka jest bowiem moja wola. Dzisiejszego wieczora o dziesiątej... Będziecie przy mnie, moi przyjaciele? Dopomóżecie mi?

– Oczywiście, sire! – wykrzyknął d'Essé. – Lecz co powie piękna pani Ferron, gdy się dowie o wszystkim?

– Magdalena Ferron? – powiedział król ze zdziwieniem. – Och, Magdalena dawno mnie nudzi. Męczy. Nie chcę jej więcej! Miłość ta stała się dla mnie prawdziwą niewolą, ciężką jak żelazne kajdany! – ciągnął ze wzrastającą gwałtownością.

– To piękna kowalka! – wykrzyknął Triboulet.

– Triboulecie, stworzyłeś kalambur bezcennej wartości! – zawołał król śmiejąc się głośno. – Musisz powtórzyć go Marotowi, aby mógł umieścić go w jednej ze swych ballad. „Piękna Kowalka”. Wspaniale!

– Niepowtarzalne! – przytaknęli dworzanie.

– Marot usłyszy mój kalambur – rzekł Triboulet – ale ty, najjaśniejszy panie, podpiszesz się pod balladą.

– Mój Triboulecie, czy weźmiesz udział w naszej wieczornej wyprawie? – zapytał Franciszek I, udając, że nie usłyszał jego aluzji do popełnianych przez siebie plagiatów literackich.

– Przebóg, panie mój! Niepodobna, by głupstwo, popełnione przez króla Francji, zostało pochwalone przez jego błazna – powiedział z przesadnym ukłonem Triboulet i oddalił się w stronę niszy okiennej.

Wpółukryty spoglądał przez oprawne w ołów szybki na potężne kontury nowo wznoszonej budowli Luwru, tonące z wolna w mroku, i rozmyślał o nowej miłości króla. „Powiedział, że dziewczyna ma siedemnaście lat, że jest uosobieniem niewinności... Któż to taki?” Na nerwowej twarzy Tribouleta pojawił się wyraz niepokoju i lęku. Widać było, że nachodzą go jakieś straszne wizje.

– Co do Magdaleny Ferron – wrócił do tematu król – to przygotowałem jej taką niespodziankę, po której już nigdy nie będzie mogła złapać mnie w swoje sieci.

Cóż to za niespodzianka? – zapytał Sansac.

W tej chwili drzwi do komnaty królewskiej otworzyły się i stanął w nich trupioblady mężczyzna ubrany w czarny strój.

– A oto i hrabia de Monclar – powiedział właściwym sobie wesoło – szyderczym tonem Triboulet wysuwając się nieco w stronę przybyłego. – Oto wielki woźny sądowy, wielki prefekt Paryża, groźny dowódca straży miejskiej, nieubłagany w swej surowości szef policji, jednym słowem – człowiek budzący lęk w możnych panach, złodziejach, kpiarzach, warcholach i innych łotrzykach.

Hrabia de Monclar zbliżył się do króla i złożył przed nim ukłon.

– O co chodzi? – zapytał Franciszek I.

– Sire, przychodzę doręczyć ci listę osób proszących o posłuchanie. Wskaż mi, kogo z nich zechcesz przyjąć. Na liście figuruje Stefan Dolet, drukarz.

– Nie życzę sobie udzielać mu audiencji – rzekł twardo król. – Ponadto, hrabio, musisz mieć baczenie na tego człowieka, który ma konszachty z nowo powstałymi sektami religijnymi, zatruwającymi umysły mego ludu. Któż następny?

– Mistrz Franciszek Rabelais.

– Niech idzie do diabła! I niech się również pilnuje! Nasza monarsza cierpliwość ma swoje granice. Kto dalej?

– Czcigodny i powszechnie czczony ojciec Ignacy de Loyola. Przybywa z Prowansji.

Czoło królewskie zachmurzyło się.

– Wczoraj ten czcigodny ojciec był już przeze mnie przyjęty – rzekł półgłosem.

– Przebóg! – pisnął Triboulet. – Po babskich kieckach nasz król najbardziej kocha suknie zakonne!

– Lista petentów wyczerpana – powiedział hrabia de Monclar, ale...

– Cóż jeszcze?

– To, najjaśniejszy panie, że Dzielnica Cudów staje się nieznośną plagą, dżumą zatruwającą Paryż tak, jak sekty heretyckie zatruwają całe państwo. Ulica św. Dionizego stała się zmorą Paryża. Ulice Złotych Chłopców, Wolnych Mieszczan, także Wielkiego i Małego Żebractwa są przeludnione i zaczynają zalewać dzielnice jeszcze zdrowe. Samowola rzeźmieszków przebrała już wszelką miarę i należy dać im dobrą nauczkę. Zwłaszcza dwaj spośród nich zasługują na stryczek: niejaki Lanthenay i drugi, noszący imię Manfreda. Co mam z nimi zrobić?

– Wtrać ich do więzienia, a potem powieś!

Triboulet klasnął w dłonie, po czym powiedział głośno:

– Chwała Bogu, Paryżowi nie zbywa na rozrywkach! Wczoraj mieliśmy zaledwie pięciu wisielców, a dziś już ośmiu.

Hrabia de Monclar skłonił się z uśmiechem posepnego zadowolenia na ustach i odwrócił się w stronę drzwi. Dworzanie w milczeniu rozstąpili się przed tą czarną postacią, za którą jak cień kroczyła zawsze śmierć, tylko Triboulet zawołał:

– Pozdrowienia dla Archaniola Szubienicy!

– Biedak Monclar – rzekł król. – Chyba już od dwudziestu lat toczy zawziętą walkę z całym tym światem łotrów i złodziei, którzy, jak zapewnia, porwali mu, a może i zamordowali małego synka. No, ale teraz, kiedy sprawy państwowe są załatwione, zajmijmy się osobistymi. Zatem przed wieczorną wyprawą chodźmy do Magdaleny Ferron. Obiecuję wam zabawę, moi panowie!

Franciszek I wraz z dworzanami opuścił pokoje królewskie nuąc jakąś balladę.

ROZDZIAŁ II

KAT

Ósma. Noc czarna jak atrament. Na dworze hula zimna październikowa wichura.

Tuż przy murze otaczającym Tuileries stoi mały samotny domek; jest to gniazdko, w którym przez długi czas kryli swe miłosne zapęły król i piękna pani Ferron. Okno pierwszego piętra, słabo oświetlone, mruga dyskretnie, jak gwiazda na niebie. Wewnątrz domku atmosfera rozkoszy miłosnych, o czym świadczy jego umiejętnie i zbyt kowne urządzenie i powietrze, przesycone wonią podniecających perfum. Olbrzymie łożo, podobne do wielkiego ołtarza, zdaje się oczekiwać na nową ofiarę ku czci bogini miłości.

Kobieta siedząca na kolanach Franciszka I, a której pięknych kształtów nie osłaniał nawet gazowy welon, otoczyła ramionami szyję królewskiego kochanka i podając mu swe usta, szeptała:

– Jeszcze jeden pocałunek, Franciszku...

Kobieta ta była młoda i królewsko piękna. Jej lekko zaróżowione ciało o harmonijnych liniach przegięte w niedbałej pozie, gorący blask namiętnych oczu, zmysłowość każdego ruchu, wszystko to podniecało króla, przenosząc go w krainę rozkosznych śnień. To już nie kobieta była przy jego boku! To nie piękna pani Ferron! To sama Wenus! To wspaniała w swym bezwstydnym Afrodyta, cudna, jasnowłosa Afrodyta, która oczekuje pieszczot kochanka.

– Pocałuj mnie raz jeszcze, Franciszku!

Król otoczył ramionami jej smukłą kibić; twarz mu zbladła, wzrok zmętniał, usta jęły bełkotać wyrazy bez związku. W końcu porwał ją, uniósł i padł wraz z nią na olbrzymie łożo.

Na dworze ukryty w cieniu mężczyzna wpatrywał się w oświetlone okno. Nieruchomy, nieczuły na chłód, zsiniały na twarzy jakby zastygłej, mężczyzna ten otwierał szeroko przekrwione oczy, w których odbijała się szalejąca w jego duszy rozpacz. Mamrotał gorączkowo:

– Okłamano mnie... To niemożliwe! Magdalena jest niezdolna do fałszu. Nie ma jej w tym domu. Magdalena mnie kocha... jest mi wierna. Człowiek, który to powiedział, zwiódł mnie haniebnie. To niecny oszczerca! A jednak stoję tu, nieszczęsny, czatując na nią, płacząc, wyczekując. aż drzwi się otworzą... Och! Jak ja cierpię! Czyż można cierpieć więcej? Piekło! Zdaje mi się, że głowa pęknie mi z bólu!

Tymczasem Franciszek I zbierał się do wyjścia.

– Czy prędko wrócisz, drogi Franciszku? – westchnęła młoda kobieta.

– Nieba! Musiałbym nie mieć serca! Naturalnie, że prędko, przysięgam... Żegnaj, moja miła. Czy widziałas srebrną szkatułkę, którą ci przyniosłem?

– Co mnie to obchodzi, mój kochany! Wracaj jak najprędzej! To jedynie jest ważne! Nic więcej.

– Wróć, wróć niebawem! Szkatułkę tę rzeźbił specjalnie dla ciebie Benvenuto Cellini.

– Och, panie, nic nie jest dla mnie ważne, gdybym miała cię utracić.

– W szkatułce jest sznur pereł, który ślicznie się uwydatni na twej alabastrowej szyi. Żegnaj, moja droga!

Ostatni uścisk... ostatni pocałunek i król Franciszek I opuścił gniazdko miłości. W progu otwartych drzwi zatrzymał się, spojrzął na czarne jak smoła niebo, wpatrzył się w mrok i do-

strzegł czerniejące sylwetki dworzan czekających na niego. Uśmiechnął się i postąpił w ich stronę.

– A niespodzianka, sire? – zapytał d’Essé.

– Zobaczycie!

W tej chwili z mroku wynurzył się jakiś mężczyzna i podszedł do grupki dworzan. „Który to z nich był niecnym zdrajcą? Który ukradł mi żonę? Który zniszczył moje szczęście?” – myślał bezładnie.

– Jesteś waść Ferron. Nieprawdaż? – zapytał król z ironią.

Mężczyzna uczynił wysiłek, aby rozpoznać tego, czyj głos smagnął go szyderstwem. Zaciśnął ręce, jakby chciał go udusić, potem podniósł w górę pięści.

– A ty? – zgrzytnął. – A ty? Kto ty jesteś? Kto?

Nagle ramiona mu opadły.

– Król! Król! – wybełkotał, zmiażdżony tym odkryciem.

W odpowiedzi usłyszał śmiech. Poczł, że wtłoczono mu do ręki jakiś przedmiot. Stał przez chwilę odrętwiały z przerażenia i rozpacz. Gdy wreszcie wróciła mu przytomność, ujrzał że jest sam. Dworacy królewscy znikli.

Król ze swymi towarzyszami zatrzymał się tymczasem w pobliżu, chcąc się przyjrzeć dalszemu ciągowi tej historii.

– Jak się wam podoba moja niespodzianka? – zapytał dworaków.

– Zdumiewająca! Wspaniała! Mina Ferrona była cudowna!

– Ba! – zaśmiał się król. – Pociesz się, ujrawszy sznur pereł, który zostawiłem na górze.

Tymczasem zdradzony małżonek spojrział na przedmiot wsunięty mu do ręki przez króla. Był to klucz od domu, w którym dokonał się akt cudzołóstwa. To jeszcze jedna niespodzianka zapowiedziana przez „Króla-Rycerza”. Z gardła nieszczęśnika wydarł się bolesny szloch. Zagryzł wargi, aby powstrzymać krzyk rosnący w piersi. Nagle czyjaś ręka dotknęła jego ramienia.

– Oto jestem, panie Ferron – usłyszał szept. – Stawiłem się na czas.

Ferron spojrział osłupiały.

– Kat! – zawołał pełen okrutnej radości.

– Tak, gotów do usług, mój panie. Powiedziałaś mi:

„Staw się o ósmej wieczór pod murami Tuileries; będę miał dla ciebie robotę”. Stawiłem się! Jestem gotów, panie!

Ferron otarł pot spływający z czoła, potem pochwycił kata za rękę i zapytał:

– Czy jesteś zdecydowany uczynić to, o co cię swego czasu prosiłem? Nie zawahasz się?

– Nie, ponieważ mi zapłacisz.

– Chodzi tu o kobietę, słyszysz?

– Chłop czy baba, jeden diabeł, skoro pan zapłaci.

– Wszystko gotowe? Powóz też?

– Tak. Na rogu ulicy de la Tuileries.

– Dobrze! – szepnął Ferron. – Nie kłamiesz? Nie boisz się? Uczynisz to? – upewnił się jeszcze raz.

– O pół do dwunastej otworzą mi bramę św. Dionizego, mam znajomego wśród strażników. O północy, baba czy dziad – kłamka zapadnie!

Ferron wpadł do tajemniczego domku. Na piętrze Magdalena Ferron ubierała się powoli, jakby od niechcenia. Uśmiechała się od czasu do czasu, rozmyślając o niedawnych wydarzeniach. Zastanawiała się też, co powie mężowi oczekującemu na nią w ich spokojnym domu, jak się wytłumaczy z tak długiej nieobecności.

Uśmiechała się nie czując wyrzutów sumienia, nie czując lęku. No, bo kochała! Kochała szalenie, całą duszą, całym sercem. Ustami wilgotnymi jeszcze od pocałunków, spojrzeniem pełnym czułości uśmiechała się do swego odbicia w lustrze, przed którym się ubierała.

Nagle roześmiane, gorące usta zeszywniały, uśmiech zamienił się w skurcz przerażenia. Znieruchomiała, straciła mowę. Jej oczy rozszerzone lękiem, wpatrywały się uporczywie w odbitą w lustrze postać bladego jak widmo mężczyzny, który stał w progu. To był jej małżonek! To de Ferron!

Najwyższym wysiłkiem woli zachowała zimną krew. Odwróciła się w tym samym momencie, gdy Ferron przekroczył próg i zamknął drzwi. On milczał. Ona leciutko, prawie drżącym głosem szeptała bezmyślnie:

– Jakaś się tu znalazł?

Ferron chciał odpowiedzieć, lecz niewyraźne słowa, jakie wydobyły się z jego ust, podobne były raczej do charkotu, więc lekkim skinieniem ręki wskazał jej klucz, który mu wręczył Franciszek I. Magdalena poznała ten klucz i straszliwa myśl przeszła jej mózg: „Ferron wyspiegował króla! Ferron go zamordował!” Jej lęk przed mężem znikł w jednej chwili. Przyskoczyła do niego, porwała za rękę.

– Ten klucz! – krzyknęła. – Ten klucz! Jak go zdobyłeś?

Ferron zgadł jej myśli. Przyływ zazdrości zbudził w nim wściekły gniew, w obliczu którego zbladła nawet rozpacz. Jednym silnym ruchem otrząsnął się z uścisku rąk Magdaleny i odtrącił ją od siebie. Upadła na podłogę tuż przy oknie, znowu wstrząsana uczuciem strachu przed tym mężczyzną, który następując na nią z podniesionymi pięściami, wołał:

– Milcz, nieszczęsna! Wiem o twojej hańbie! Ten klucz... To on mi go wręczył! On, twój kochanek! Król!

Oszalała ze strachu Magdalena otworzyła okno i wychyliła się na dwór:

– Franciszku! Najjaśniejszy panie! Do mnie!

Szaleństwo! Niepodobna, by jej Franciszek mógł być do tego stopnia podły! Jej król nie omieszka pośpieszyć na jej rozpaczliwe wołanie!

– Do mnie, Franciszku! – wzywała pomocy.

Tym razem król odpowiedział. Donośnym głosem krzyknął:

– Zerwałem moje okowy... Żegnaj, luba! Żegnaj moja „Piękna Kowalko!”

Głos króla, który zaczął nucić swoją ulubioną balladę, oddalił się. Potem nie było już słychać nic więcej.

Magdalena skamieniała ze zgrozy. Czowała, że traci zmysły. Wszystko zapadło się w otchłań nicości. Wychyliła się przez okno i z bezgraniczną odrazą wykrzyknęła:

– Król Francji to nikczemnik! Nikczemnik i wiarołomca!

Upadła na wznak zemdlona. Ferron przez chwilę przyglądał się jej z gniewnym spokojem. Ręce mu drżały, usta również, nawet głowa chwiała się, wstrząsana jakimiś dreszczami. Wreszcie przysiadł tuż przy niej i, wspierając podbródek na rękach, pograżył się w niemej kontemplacji i rozpachy. Czas włócił się. Wszystko uciekało, umierało, jedynie ból pozostał żywy.

Bicie zegara zbudziło Ferrona z odrętwienia.

– Jedenasta! – zawołał jakiś głos na dworze.

– To głos kata – rozpoznał go Ferron i westchnął głęboko.

Wstał, potoczył dokoła błędnym spojrzeniem, na stole spostrzegł srebrną szkatułkę cudownej florenckiej roboty. Królewski dar! Straszny uśmiech wykrzywił mu twarz. Porwał cacko, pochylił się nad Magdalena, podniósł ją i zszedł ze swym ciężarem na dół. Przed domkiem czekał powóz.

Ferron wrzucił do niego ciągle jeszcze nieprzytomną kobietę, potem zwracając się do kata podał mu srebrne pudełeczko.

– Oto zapłata! – rzekł pośpiesnie, intonacją głosu podkreślając podwójne znaczenie tego wyrazu.

Kat porwał szkatułkę, przyjrzał się jej i z radosnym pomrukiem kiwnął głową. Szybko zajął miejsce na koźle, a Ferron wsiadł do powozu, nakazując:

– Ulicami Paryża co koń wyskoczy!

„Co koń wyskoczy, woźnico! Co koń wyskoczy, kacie!” – tłukło mu się po głowie podczas tej piekielnej jazdy. Brzęk podków zbudził donośne echo w uśpionych ciemnych ulicach. Wreszcie powóz znalazł się przed Bramą św. Dionizego, która otworzyła się na dany przez woźnicę znak.

Poza murami stolicy droga była znacznie gorsza, usiana wybojami, więc powóz posuwał się z trudem ale w końcu zbliżył się do ciemnego punktu majaczącego w mroku nocy.

Magdalena, która tymczasem zbudziła się z omdlenia, jęła się rzucać, błagać o litość i przebaczenie.

– Łaski! Dokąd mnie wieziesz?! Łaski!

Hen w dali ciemny punkt rozszerza się, uwypukla, zaczyna przybierać wyraźniejszy kształt. Powóz zatrzymał się. Ferron wyskoczył pociągając za sobą Magdalene.

– Łaski! Pomocy! Franciszku! Franciszku! – szlochała kobieta; lęk chwilowo zatępił w jej sercu pamięć o nikczemnym postępku kochanka.

– Tak! – warknął Ferron. – Wzywaj go! Gdzież jest ten twój Franciszek? Gdzie jest ów kawaler, który uprzedził mnie o zdradzie? Gdzież jest ten ukochany, który cię wydał w ręce kata? Gdzie on jest? Cierpliwości, Magdaleno! Odnajdę go, moja żądza zemsty i rozpacz dopomogą mi. A wtedy... Drzyjcie przede mną! Ty pójdziesz pierwsza, potem on!

Powiedziawszy to rzucił ją w ramiona kata. Magdalena zaczęła rozglądać się dokoła wzrokiem błędnym ze strachu i grozy. Nagle ujrzała okropny obraz.

– Ojczy niebieski! – wybełkotała. – Gdzie ja jestem?

Tuż przed sobą zobaczyła dziwny kształt murowanej budowli, jakieś na pozór bezładne połączenie muru, belek i powrozów.

Krzyk śmiertelnej grozy rozdarł ciszę nocy:

– Przebóg! To szubienica na Montfaucon!

– Gdzie jest twój Franciszek? Gdzie jest twój kochanek? Co robi twój „Król-Rycerz”?!

– Łaski! Litości! – jęczała nieszczęsna pani Ferron.

ROZDZIAŁ III

BŁAZEN

Okolo dziesiątej, gdy już cały Luwr pogrążył się we śnie, król, siedząc w swym gabinecie, czekał na przybycie trzech faworytów, o których zwykł mawiać:

– D'Essé, Sansac, La Châtaigneraie i ja to godna czwórka czystej krwi rycerzy.

W pokoju znajdował się również Triboulet. Przygrywał na lutni, a Franciszek I, jeszcze pełen animuszu po pierwszej przygodzie, obmyślał szczegóły drugiej, spacerując po pokoju w radosnym wyczekiwaniu. Chwilami zatrzymywał się i szeptał:

– Hiletka! Ona nazywa się Hiletka Chantelys! Bóg mi świadkiem, piękne imię! W sam raz dla tak nadobnego dziewczęcia.

Potem dodawał już w myśli: „Ach! Kocham ją naprawdę! Nigdy jeszcze nie odczuwałem tak silnej żądzy i nigdy w moim sercu nie zagościło tak słodkie i tak gorące uczucie”

– Oto trzy czwarte króla! – zawołał nagle Triboulet na widok wchodzących do komnaty królewskiej de'Ességo, La Châtaigneraie'a i Sansaca.

– Czy jesteście gotowi, moi panowie?

– Dla ciebie, sire, jesteśmy zawsze gotowi do usług – rzekł Sansac.

– Lecz nie powiedziałaś nam jeszcze, najjaśniejszy panie, dokąd pójdziemy – dodał La Châtaigneraie.

– Moi panowie, udamy się do Trahoir, wiecie, gdzie to jest. Tuż przy ulicy św. Dionizego. Tam właśnie mieszka piękna ptaszyna, którą mamy wypłoszyć z gniazdka. Ptaszyna ta ma na imię Hiletka i ...

Franciszek I urwał, gdyż w pokoju rozległ się okrzyk trwogi. Okazało się, że krzyk ten wydarł się z piersi Tribouleta.

– Co się stało, panie błaznie? – zapytał wyniośle Sansac.

– Nic, panowie, nic... Mniej niż nic.... Upuściłem lutnię, a wzruszenie...

Triboulet zmienił się na twarzy, ręce mu drżały, ale po chwili zapanował nad sobą na tyle, by zapytać spokojnym głosem:

– Co powiedziałaś, najjaśniejszy panie?

– Powiedziałem, że pójdziemy do Trahoir – odpowiedział Franciszek I.

Triboulet wzdrygnął się.

– Do Trahoir? Wasza królewska mość nie mówi chyba tego na serio!

– Co to ma znaczyć, błaznie?

– Ależ, panie, przypomnij sobie tylko, co mówił pan de Monclar o zbuntowanych złoczyńcach. Trahoir znajduje się właśnie w pobliżu Dzielnicy Cudów. Nie, nie, sire! Nie popełnisz takiego szaleństwa!

– Postradałeś zmysły?

– Sire, zaczekaj do jutra. Błagam cię o tę łaskę! Jutro prefekt wyłapie najniebezpieczniejszych łotrów. Jutro, sire... Nie dziś!

– Triboulet oszalał, moi panowie. Nagle zachorował na ostrożność.

– Tak, sire, jestem ostrożny. Jestem tylko nieszczęsnym błaznem, którego jedyną radością jest możliwość wywołania czasem uśmiechu króla. Przeworność moja zrodziła się ze słusznych obaw przed niebezpieczeństwem. Sire! Nie chodź dziś do Trahoir!

– Niebezpieczeństwo? Najświętsza Panno, to właśnie powiększa urok naszej wyprawy! Chodźmy, panowie! Pójdź z nami, Triboulet!

Król skierował się ku drzwiom, ale Triboulet był szybszy. Jednym skokiem znalazł się przed nim.

– Sire! Sire! Racz mnie wysłuchać... Pomyśl nad tym, co chcesz uczynić. Siedemnastoletnia dziewczyna! Wasza królewska mość ulituje się nad nią! Sire! Masz przecież damy dworu, mieszczki. Ta biedna mała... Posłuchaj, królu, nie znam jej, lecz historia ta sprawia mi dziwną przykrość. Tyle wdzięku, młodości i niewinności! Sam to powiedziałeś. Och, sire! Łaski dla tego dziecka!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Triboulet, uosobienie cnót ewangelicznych! – parsknął król ironicznym chichotem.

– Triboulet kaznodzieja!

– Triboulet, kiedy zechcesz mnie wypowiadać?

Błazen załamywał ręce, a jego błagalny wzrok był utkwiony w królu, który pękał ze śmiechu.

– Sire, sire! – ciągnął dalej. – Kto zareczy, czy to dziecko nie ma matki? Pomyśl o strasznej rozpacz...

– Uspokój się! – odparł król śmiejąc się serdecznie. – Ona nie ma matki!

– A więc może ma ojca! – mówił dalej Triboulet drżącym głosem. – Och, sire! Jesteś też ojcem. Pomyśl o okrutnej żalobie, jaką okryłoby się twoje ojcowskie serce, gdyby...

– Nędzniku! – wrzasnął król blednąc z wściekłości. – Ośmielasz się czynić podobną aluzję?!

Ciężka ręka monarchy spadła na ramię błazna, który upadł na kolana.

– Nie, nie, sire! – zawołał nieszczęsny. – Daleki jestem od myśli przypisywania memu królowi tak niskich czynów, ale, o panie, a nuż to dziecko ma ojca? Albo może z braku ojca jakaś dobra dusza przygarnęła ją? Wyobraź sobie, panie, że ktoś pozbawiony na zawsze rozkoszy miłości i ogniska domowego, związał z nią wszystkie nadzieje, całą tkliwość, całe swe życie! Pomyśl tylko, królu, jak ten człowiek będzie cierpiał. Pomyśl, że swym postępkim zabijesz go, panie!

– Dostyc tego, błaznie! Chodźmy, panowie!

– Sire, czołgam się u twoich stóp!

– Na miły Bóg, dasz ty mi raz spokój?!

– Pies wścieka się czasem, sire!

Triboulet z trudem podniósł się z podłogi. Był przerażająco blady. Król chciał go usunąć z drogi ruchem ręki.

– Sire, zabij mnie, bo, dopóki żyję, nie pójdiesz do Trahoir – odezwał się z determinacją błazen.

– Sansac, przywołaj mi kapitana straży!

Dworak podskoczył spełnić rozkaz królewski i po chwili w sali ukazał się kapitan w towarzystwie dwóch halabardników.

– Bervieux, aresztuj mego błazna – rozkazał zimnym głosem król.

– Sire! – szlochał Triboulet. – Sire, wtrąć mnie do lochu, lecz wysłuchaj przedtem, ulituj się! Powiem ci... dowiesz się...

Bervieux dał znak. W jednej chwili błazna porwano i powleczono do więzienia. Nie upłynęły dwie minuty, a siedział już w jednej z cel więziennych Luwru. Przez pewien czas był jak odrętwiały, potem nagle zaczął krążyć po celi, wydając bolesne westchnienia. W pewnym momencie podskoczył do okienka i zaczął gwałtownie potrząsać żelaznymi kratami, wreszcie gryźć je. W końcu padł jak długi na ziemię, rozbijając sobie czoło do krwi. Wybuchnął płaczem. Leżał tak, na przemian szlochał, modlił się i błagał o litość.

Kapitan Bervieux, który, zdumiony rozkazem aresztowania Tribouleta, opowiadał później porucznikowi Montgomery, że nigdy jeszcze nie słyszał tak bolesnych skarg i że musiał odejść od drzwi, aby nie wybuchnąć płaczem.

– Bez litości! – mruczał Triboulet wpijając paznokcie w ziemię. – Ten król jest bez litości. Czyż mogłem mu powiedzieć? Drwiłby ze mnie... O, moja Hiletko! O, mój aniele czystości i cnoty! Alboż mogłem mu powiedzieć, że jesteś dla mnie wszystkim? Że los nas złączył na wieki od chwili, kiedy jako biedne, opuszczone dziecko spotkałem cię na swej drodze, ja, błazen, pies na łańcuchu szczekający na cały świat? Od owej szczęśliwej chwili, kiedy twój niewinny wzrok stał się dla mnie promieniem nadziei rozwidniającym piekielny mrok mego życia... Moja córko! Zapewniam cię, sire, że stała mi się córką. Jest mym dzieckiem, dzieckiem tego, który nie ma ani ojca, ani matki, ani kochanki, ani potomstwa, ani nikogo innego jak świat długi i szeroki! Zwróć mi moją córkę! Litości, sire! Och, przeklęty! Potępiony!

Z nastaniem dnia otworzono drzwi celi i znaleziono w niej Tribouleta leżącego bez przytomności na ziemi.

ROZDZIAŁ IV

NIKCZEMNIK

Król Franciszek I wraz ze swym orszakiem śpieszył w kierunku Trahoir. Nie myślał już wcale o błagalnych prośbach swego błazna. Kroczył szybko naprzód, nie mówiąc ani słowa, uśmiechając się tylko do swych rozkosznych marzeń. Jego towarzysze milczeli również, nie chcąc mu przeszkadzać.

Gdy weszli na ulicę św. Dionizego wyminęła ich jakaś kobieta w łachmanach. Pomimo mrozu szła w rozchełstanej na piersiach sukni i z gołą głową. Nie zwracając na nich żadnej uwagi, wołała ostrym, przeraźliwym głosem:

– Franciszku! Franciszku! Coś zrobił z naszą córką? Co zrobiłeś z córką?

Król zatrzymał się blady i drżący. Odruchowo zasłonił twarz brzegiem płaszcza, jak gdyby obawiając się, że ta żebraczka go dostrzeże.

– Och! Ten głos! – szepnął przerażony. – Gdzie ja słyszałem ten głos?

Kobieta poszła dalej, kierując się w stronę bramy św. Dionizego, ale jeszcze z daleka płynęło do nich jej wołanie:

– Franciszku! Franciszku! Gdzie jest nasza córka?

– To nic nie jest, sire – odezwał się La Châtaigneraie. – Jakaś wariatka, i tyle. Znają ją wszyscy w tej dzielnicy. Zaczepia każdego przechodnia, zapytując o córkę. Ma na imię Margentyna.

– Margentyna! – powtórzył głucho król.

– Tak, sire. Szalona Margentyna albo inaczej Jasnowłosa Margentyna.

– A więc to jednak ona – szeptał król. – Margentyna... Jakże inna niż tamta dziewczyna, którą znałem przed laty.

Pograżył się na chwilę w gorzkich wspomnieniach. Czoło jego zasepiło się. Potem potrząsając głową zawołał gwałtownie:

– Chodźmy, moi panowie!

Po kilku minutach szli już ulicą de la Croix – do Trahoir, aż wreszcie zatrzymali się przed domkiem z dziwacznie spiczastym dachem. Domek był otoczony ogródkiem.

– To tu! – rzekł król.

Jego wzrok przywarł do okna, z którego płynęło mdłe światło.

Franciszek I długo się nie namyślał.

– Ułóżmy plan działania – szepnął przywołując swych towarzyszy.

W małym pokoiku przy ogromnym kominie, na którym dopalały się głównie, siedziała przy kołowrotku młoda dziewczyna. Na wprost niej, wtulona w głęboki fotel, spała stara, korpulentna kobieta. W pokoju stał kufer, szafa, stół o rzeźbionych nogach i kilka pięknych krzeseł. W całym domu panowała cisza, słychać było jedynie furkot kołowrotka i powolne tykanie ściennego zegara.

Młoda dziewczyna siedząca przy kominie w kręgu światła woskowej pochodni była ubrana w białe szaty. Miała cudowne złote włosy, a cała jej postać była jak gdyby uosobieniem czystości.

Chwilami przestawała prząść. Wtedy jej wzrok ślizgał się bezwiednie po przedmiotach, zdradzając, że myślami błądzi gdzieś daleko. Czasem uśmiechała się lekko, a w pewnym momencie powiedziała sama do siebie:

– Pani Marcela zapewnia mnie, że on ma na imię Manfred... Nigdy nie zapomnę tego imienia.

Potem dalej snuła swoje rozmyślenia: „Jaki ma łagodny i dumny wygląd! Jego oczy obudziły we mnie takie dziwne wzruszenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznawałam...”

Tymczasem stara kobieta obudziła się i spojrzawszy na zegar, zawołała z przestraszonym głosem:

– Już tak późno? Ach, Hiletko, to bardzo źle.

– Nie chciałam pani budzić, Marcelo – odparła dziewczyna z uśmiechem.

– Prędko do łóżka! Gdyby ojciec dowiedział się, że czuwasz jeszcze po zgaszeniu ogni, miałabym się z pyszna.

– To prawda! Kochany ojczulek! – zawołała Hiletka wcale nie przestraszona, ale grzecznie wzięła pochodnię i skierowała się do drzwi swego pokoju.

– Chryste Jezu! – zawołała nagle pani Marcela przestraszona. – Zupełnie jakby ktoś chodził po ogrodzie.

– To wiatr rozwiewa suche liście... – zaczęła Hiletka, ale jej przerwano.

Oto drzwi pchnięte siłą rozwarły się gwałtownie i do pokoju wdarło się czterech mężczyzn. Pani Marcela wydała przeraźliwy okrzyk i upadła zemdlna na fotel. Hiletka zbladła, nie straciła jednak przytomności; stała wyprostowana z pochodnią w ręku.

– Widzę, że mają panowie przy boku szpady – rzekła lekko drżącym głosem. – To wstyd, że szlachta wdziera się do cudzego domu, jak nikiemni opryszkowie. Proszę wyjść!

– Mój Boże! Jakaż ona piękna! – zawołał król nabrzmiałym namiętnością głosem.

Potem zbliżył się do Hiletki i zdejmując beret z głowy, zwrócił się do niej tymi słowami:

– Piękna panno, popełniłem zbrodnię nie do darowania, ściągając na siebie twój gniew! Lecz przebaczysz mi, gdy się dowiesz, jak gorącą miłość obudziłaś w moim sercu i kim jest ten, który cię pokochał.

– Panie! Panie! Proszę wyjść! – zawołała drżąc z oburzenia i przestachu.

– Mam stąd wyjść? Dobrze, ale z tobą! Och, gdybyś wiedziała, jak cię kocham! Jak młode i gorące uczucie burzy krew w moich żyłach! Chcesz bogactwa? Chcesz władzy? Chodź! Chodź ze mną! Będziesz królową!

– O, zgrozo! O, hańbo! Na pomoc!

Król, nie zwracając uwagi na jej zachowanie, gwałtownie porwał ją w ramiona. Dziewczyna wydała okrzyk trwogi i zaczęła wydzierać się z jego objęć, lecz napastnik był silniejszy. Po chwili unosił już swą zdobycz. Kilkoma susami przesadził ogród i wypadł na ulicę.

– Na pomoc! Ratunku! – krzyczała Hiletka.

– Niech tylko kto ośmieli się przyjść ci z pomocą! – warknął król rozzłoszczony jej nie słabnącym oporem.

– Hola! – rozległ się nagle młody głos, silny i dźwięczny. – Hola! Kim są ci lotrzykowie z piekła rodem, którzy wyciskają kobietom łzy z oczu? Tchórze! Zaraz wypłazuję was ostrzem mej szpady, aby dać wam nauczkę, jak należy traktować kobiety.

– Precz! – zawołał Sansac. – Precz, bo zginiesz!

– Wolę przyjrzeć ci się z bliska, nędzniku! – odparł mężczyzna. – Szpada przeciw szpady! O nieba! I to mają być panowie szlachta! Rabusie kobiet, wybierajcie! Stryczek czy kłoda, na której złożycie wasze podłe głowy.

Tajemniczy obrońca ukazał się nagle w mdłym świetle padającym z okna domku. Był to młodzieniec o dumnej postawie i śmiałym spojrzeniu; wąs miał buńczucznie nastrzępiony, usta wąskie, w tej chwili wykrzywione pełnym wzgardy uśmiechem.

Franciszek I, zaskoczony tym nagłym spotkaniem, stanął w miejscu, złożył dziewczynę na ziemi, przytrzymując ją jednak ręką. Hiletka spojrzała na młodzieńca, uśmiechnęła się promiennie i wyszeptowała jego imię. A po chwili, widać zmorzona niedawnymi przeżyciami i uspokojona pojawieniem się obrońcy, opadła bez sił na ziemię.

– Hejże na zuchwalca! – ryknął król.

Odpowiedział mu głośny wybuch śmiechu.

Trzej dworzanie obnażyli szpady.

– Precz, chamie! – krzyknął groźnie Sansac.

– Podły lokaju! – zaszydził d'Essé.

– Ladaco z piekła rodem! – zagrział La Châtaigneraie.

Długi rapier nieznajomego błysnął groźnie, a on sam zawołał:

– Na diabła rogatego, panowie są zbyt hojni! Cham, lokaj, ladaco! Naprawdę zbytek łaski! Lecz umiem płacić pięknym za nadobne. Uwaga! Zaczynam wypłatę. Masz za chama, trzymaj!

Sansac wrzasnął z bólu, gdyż szpada nieznajomego przeszła mu ramię. La Châtaigneraie i d'Essé rzucili się na napastnika jednocześnie. Brzęknęła stal i znowu rozległ się zjadliwy głos nieznajomego:

– Część długu już spłacona. Uwaga, teraz odwet za lokaja. Lokaj płaci, mój panie! Bierz, co ci się należy! Nie krępuj się!

D'Essé zaklął pełnym wściekłości głosem i padł jak kłoda na ziemię, a nieznajomy zaatakował La Châtaigneraie'a.

– Na Boga, uważaj – zawołał król.

– Nie obawiaj się o niego, panie – odezwał się nieznajomy. – Odbierze swą należność. Umie płacić zobowiązania, zapewniam pana. Jaką wolisz monetę, mój rycerzu? Piękne cięcie z prawej? Zgoda! Oto rachunek za ladaca wyrównany.

La Châtaigneraie, ranny w pierś, upadł z głuchym jękiem. Wtedy nieznajomy ruszył w stronę króla.

– Odczep się od tej kobiety, nicponiu! – rzucił rozkazującym głosem.

– Nędzniku! – syknął król. – A wiesz ty, kim jestem?

– Jesteś nikczemnikiem, który zdradziecko, po nocy zakrada się do cudzego domu, aby go okryć hańbą!

– Przekleństwo! Będziesz powieszony!

– Jeśli cię przedtem nie nadzieję na ostrze mej szpady.

– Głupcze! Zmuszasz mnie do tego, abym cię zmiażdżył dźwiękiem mego imienia. Lecz uważaj, będzie to twym wyrokiem śmierci. Dowiedz się zatem, nędzniku, jestem królem Francji!

– A ja – odparł ostrym głosem nieznajomy – nazywam się Manfred, pierwszy i ostatni przedstawiciel tego imienia. Manfred, który nie ma ani ojca, ani matki, ani mienia, ani własnego kąta... Jestem Manfred, król żebraków.

Franciszek I wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Żebak... włóczęga, o Boże!

– Człowiek, panie!

– No, no, już zaczynałem się gniewać. Tymczasem przygoda jest bardzo wesoła.

– Strzeż się, sire, by nie stała się tragiczna.

– Ani słowa więcej, mój panie! – uciał król.

– A więc niech mówią szpady!

– Dobrze. Daruję ci życie.

– Do broni! Zobaczmy, co jest warta szpada ukuta przez płatnerza z Padwy wobec rapieru hołysza!

– Ejże, żebraku! Kat rozprawi się z tobą!

– A ja z waćpanem, mości królu! Król zbladł.

– Słuchaj! – rzekł jeszcze wynioślejszym i pogardliwszym tonem. Powtarzam ci po raz ostatni: zmykaj, pókiś cały!

– Po raz ostatni, mój panie, przemawiam do rozsądku waćpana.

Manfred uczynił krok naprzód, wyciągnął rękę i końcem wskazującego palca dotknął pier-
si królewskiej.

– Za chwilę mój sztylet utkwi w tym miejscu, jeśli nie zostawisz tej dziewczyny w spokoju.

Palec Manfreda zaciążył królowi jak ostrze szpady. Twarze przeciwników wykrzywione
wściekłością były tuż przy sobie. Roziskrzony wzrok Franciszka I zwarł się ze wzrokiem
Manfreda. Król wyczytał w oczach młodzieńca tak szaloną zuchwałość, tak nieugiętą decyzję,
że jego ciałem wstrząsnął lodowaty dreszcz.

Król Francji zadrzał ze strachu! Cofał się też krok po kroku.

– Oddał się, sire! – rzekł z niesłychanym spokojem Manfred.

– Łotrze! – wyszeptał głucho król. – Udajesz odważnego, bo twoi współnicy kryją się
pewnie w pobliżu.

Pod wpływem tych słów w głowie Manfreda zrodziła się szalona myśl.

– W biały dzień, w obecności twojej straży, sire, przyjdę powtórzyć ci, że każdy mężczyzna,
który dopuszcza się gwałtu na kobiecie, jest nikczemnikiem! – zawołał z brawurą.

– Przyjdiesz? – zapytał z niedowierzaniem król.

– Przyjdę.

– Dokąd?

– Do twego Luwru!

Odwrócił się do dziewczyny, która odzyskała przytomność i od pewnego czasu była
świadkiem tej sceny.

– Niech się pani już niczego nie boi – rzekł bardzo łagodnie, co stanowiło duży kontrast z
jego poprzednim zjadliwym tonem.

Podniosła na niego rozjaśniony wzrok i odpowiedziała:

– Jestem spokojna od chwili, gdy pan się tu zjawił.

Zadrzał.

– Chodź, pani – rzekł z prostotą.

– Wziął ją za rękę i poprowadził za sobą, po upewnieniu się, że nikt nie idzie ich śladem.
Po upływie jakiegoś czasu zatrzymali się przed małym domkiem, wyglądającym na domek
mieszczanina. Manfred zakołatał dwukrotnie do drzwi.

Po krótkiej chwili drzwi się otworzyły; młody jeszcze mężczyzna o pełnej energii twarzy i
myślącym czole stanął w progu z pochodnią w ręku.

– Poznałem cię po pukaniu – rzekł do Manfreda. – Wejdz, przyjacielu, i powiedz, co cię
sprowadza, szczęście czy nieszczęście?

– Mistrzu Dolet! – odezwał się z wielką powagą Manfred. – Przychodzę prosić cię o go-
ścinę dla tej dziewczyny.

– Gość w dom. Bóg w dom! Zbudzę żonę i córkę, Wejdźcie! Mój dom jest twoim domem,
drogie dziecko.

Hiletka zbliżyła się do gospodarza stając w pełnym świetle pochodni. Manfred obrzucił ją
zachwyconym spojrzeniem. „Jakże jest piękna w swym naiwnym wzruszeniu!” – pomyślał.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować – powiedziała cicho dziewczyna.

Nagle od strony miasta doleciał głuchy odgłos kroków i gwar głosów wielu ludzi. Man-
fred, nie odpowiadając na podziękowania Hiletki, porwał gospodarza domu za rękę.

– Szlachetny panie i przyjacielu! – rzekł. – Przysięgnij mi, że zaopiekujesz się nią, jak
własną córką.

– Przysięgam!

– Przysięgnij, że cokolwiek się stanie, zastanę ją u ciebie po powrocie.

– Przysięgam!

– Dziękuję ci, mistrzu Dolet! – zawołał Manfred. – A teraz zatarasuj prędko drzwi. Do zo-
baczenia!

Rzucił się w mroczną uliczkę i popędził w stronę bramy św. Dionizego.

ROZDZIAŁ V

MATKA

Król Franciszek stał przez chwilę nieruchomy, spoglądając za oddalającymi się Manfredem i Hiletką. Wkrótce znikli mu z oczu. Wtedy, nie zwracając najmniejszej uwagi na ciała swych pomordowanych czy też tylko zemdlonych dworzan, zaczął się skradać za młodą parą.

Podpatrzył z ukrycia, jak Hiletka weszła do domu Doleta, widział zamykające się drzwi i oddalającego się Manfreda. Wówczas podszedł pod dom. Kiedy stał rozmyślając, usłyszał gwar, który spłoszył Manfreda. Hałas się przybliżał, więc król ukrył się i czekał, co z tego będzie.

„Co się tam działo? Może jakiś bunt?” Położył rękę na rękojeści sztyletu. Ale po chwili ukazała się spora gromadka zbrojnych, którzy szli w zwartych szeregach oświetlając sobie drogę latarniami.

Król drgnął radośnie. To nie był bunt ani jakaś banda łotrzyków, ale po prostu straż miejska. Odetchnął pełną piersią, rzucił się ku nim i położył rękę na ramieniu mężczyzny idącego na czele oddziału.

– Król! – zawołał dowódca odsłaniając głowę i ruchem ręki zatrzymując żołnierzy. – Sire, cóż za nieostrożność!

– Psst, mości Monclar. Słuchaj... ten żebrak... ten Manfred...

– Jestem na jego tropie, sire. Kazałem obsadzić ulice. Ten nicpoń mi się nie wymknie.

– Jest tam – rzekł półgłosem, w którym drgała cała powściągnięta dotychczas nienawiść. – Jest tam, przed wami... zaledwie o kilkaset kroków. Monclar, pochwyć go! Musi umrzeć! Jeszcze dzisiejszej nocy musi skonać w męczarniach. Pragnę dla niego najstraszniejszych tortur. Śpiesz się, Monclar, pędź za nim!

Prefekt dał znak – Porucznik wraz z dwunastoma żołnierzami stanął przy Franciszku I, tworząc improwizowaną eskortę. Sam hrabia de Monclar i reszta żołnierzy puścili się w kierunku wskazanym przez króla.

Na ustach monarchy ukazał się zimny, pełen okrucieństwa i zaspokojonej zemsty uśmiech. Zwrócił się do oficera:

– Panie, zapukaj do tych drzwi.

Oficer spełnił rozkaz. Rozległ się stuk młotka, ale drzwi nie otworzyły się. W domu panowała cisza, a okna pozostały ciemne. Nowe, silniejsze uderzenie i znowu cisza.

Oficer spojrział na króla pytającym wzrokiem.

– Wyważyc te drzwi! – rzucił Franciszek I przez zęby, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaciętego uporu.

Żołnierze zbliżyli się do drzwi domu. W tej samej chwili w mroku nocy zabrzmiał ponury okrzyk:

– Franciszku! Franciszku! Coś zrobił z naszą córką?

Królem wstrząsnął dreszcz. Zbladł raptownie.

– Och! – szepnął. – Obląkana Margentyna! Nie! I ten okropny krzyk.

To była rzeczywiście jasnowłosa Margentyna. Nieszczęśliwa matka wciąż błąkała się po ulicach w poszukiwaniu dziecka, które utraciła przed blisko dwunastu laty. Widziała je w swym szaleństwie ciągle jako małą jeszcze dziewczynkę. Taką jak wtedy, gdy zaginęła.

Wynurzyła się z mroku nocy i stanęła przed Franciszkiem I. Zawahała się, a potem głosem pełnym powściągniętych szlochów zaczęła mówić:

– Panie, może spotkałeś ją gdzieś? Powiedz... taka zupełnie mała dziewczynka... sześciolatka... blondynka. Sama na ulicy w taką pogodę... Och, mój panie! Czy chcesz, żebym ci powiedziała, jak ma na imię? Ma śliczne imię... Hiletka, słyszy pan? Mówię ci, że Hiletka!

Słowa te wywarły na Franciszku niesamowite wrażenie. Zapomniał o wszystkim, co go otaczało, widział tylko Margentyne, swą kochankę.

– Hiletka twoją córką? – wybełkotał. – Boże! Boże! Czy to jest możliwe?!

Do obłąkanej matki nie dotarł niewątpliwie sens jego słów. Nieskończenie łagodnym, pieszczotliwym głosem mówiła dalej:

– Hiletka... piękne imię, nieprawdaż? Od tak dawna jej szukam. W Blois mi zginęła... Czy znasz Blois? Moje drogie biedactwo ma sześć latek... Powtarzam, w Blois... Tam kochałam... – powtarzała uśmiechając się. Nagle krzyknęła gwałtownie i dziko: – Franciszku, gdzie jest twoja córka?

– To straszne! – jęknął król. – Kocham własną córkę. Porwałem własną córkę. To moja córka jest w tym domu!

Spojrzał na wariatkę wzrokiem, w którym przez kilka sekund błysnęło dawno umarłe uczucie.

Nagle rozległ się głuchy turkot. Ze straszliwym hałasem zbliżał się w ich stronę pędzący co koń wyskoczy powóz. Zjawisko to było tak niespodziewane, że wszyscy zaczęli śledzić je z uwagą.

Margentyna również dostrzegła powóz i nowa myśl zrodziła się w jej biednym mózgu. Rzuciła się w tamtym kierunku z okrzykiem:

– Porwano mi moją córkę!

Po chwili znikła w mroku nocy. Z oddali dolatywał turkot oddalającego się powozu.

Franciszek I nie mógł wyjść z osłupienia:

Żołnierze bali się poruszyć. Oficer zapewniał później, że mógłby przysiąc, iż król uczynił w pewnym momencie taki ruch, jakby chciał ratować się ucieczką. Zatrzymał się jednak, przesunął rękami po czole, wydając westchnienie podobne do szlochu, a potem zaczął wypowiadać jakieś wyrazy bez związku.

– Ależ to potworne... Czuję, że mimo wszystko kocham ją jeszcze... O, ja nieszczęsny!

Wpatrzył się nieprzytomnym wzrokiem w drzwi domu Doleta. Co działo się w jego sercu? Jaka bolesna walka toczyła się między miłością zmysłową a rodzicielską?

Gdy wreszcie, jak się zdawało, odzyskał równowagę duchową, oficer zaryzykował pytanie:

– Sire, co mam uczynić?

– Mój panie – odparł król jakimś dziwnym, obcym głosem – rozkazałem ci przecież wyważyć te drzwi.

ROZDZIAŁ VI

SCHRONISKO CZY GRÓB

Manfred szedł szybkim krokiem. Jego wprawne ucho mierzyło ciągle przestrzeń dzielącą go od straży miejskiej. Odgadł, że byli to żołnierze i uśmiechnął się z pogardą. Chciał skrócić w pierwszą przecznicę, ale w ciemności ujrzał poruszające się piki. Wzruszył ramionami i szedł dalej przed siebie.

– Zdaje mi się, że pan prefekt urządził sobie zabawę – mruknął.

Druga ulica była także obsadzona żołnierzami.

– Aa... farsa trwa jeszcze!

W trzeciej i w następnej również lśniły piki.

– Dobrze! – powiedział półgłosem Manfred. – Wielki to dla mnie honor, cały Paryż uzbroił się na moje przyjęcie!

Nagle za plecami usłyszał nadbiegający oddziałek strażników, którzy dążyli jego śladem. Rozejrzał się, znajdował się akurat przed Bramą św. Dionizego, zamkniętą o tej godzinie. A więc wpadł w pułapkę. Czeką go śmierć.

Przez chwilę wybiegł myślą ku dziewczynie, którą powierzył opiece mistrza Doleta. Serce zabiło mu żywszym tętnem. Śmiało zarysowane usta wykrzywił gorzki uśmiech.

– Ano! – rzekł do siebie. – Widocznie nie byłem stworzony do spokojnej egzystencji i miłości mieszczańskiej. Jestem żebrakiem i zginę jak prosty włóczęga. Ale do wszystkich diabłów, niejeden z tych psów przyplaci to również życiem!

Ruchem, którego by mu pozazdrościł najdzielniejszy nawet rycerz, wyciągnął z pochwy długi rapier i, potrząsnawszy głową jak dzik szykujący się do walki, stanął nie w pozycji obronnej, lecz jak ten, który zamierza przypuścić atak na wroga.

– Naprzód! – zagrzemiał głos hrabiego de Monclar. – Patrzcie! Mamy go!

– Jeszcze nie! – ryknął Manfred i ze szpadą wzniesioną do góry szykował się do natarcia.

W tej samej chwili w szeregach żołnierzy rozległy się okrzyki. Bo oto wprost na nich pędził z szaloną szybkością powóz, zmierzając w stronę zamkniętej bramy miejskiej. Jadąc na ośle, roztrącał i przewracał strażników.

Brama św. Dionizego otwarła się. Kto to uczynił? Dlaczego?

Dyżurny sierżant, którego później postawiono przed sądem, nie zdołał odpowiedzieć na to pytanie. W każdym razie nie dowiedziono mu tego, żeby był w zмовie ze ściganym

A Manfred, ujrawszy powóz wjeżdżający w czeluście otwartej bramy, z okrzykiem radości rzucił się za nim, uderzeniem pięści powalił żołnierza, który zastąpił mu drogę, przewrócił sierżanta i, znalazł się poza murami miasta.

Był ocalony!

Biegł jeszcze przez chwilę, potem zatrzymał się i nie słysząc za sobą pogoni, zawrócił w stronę Paryża.

– Tam do licha! Jakże przyjemne jest życie! – zawołał i roześmiał się bezdźwięcznym śmiechem: – Mówiłem panu, panie de Monclar, że dziś nie będziesz mnie miał! A jednak woźnica tego powozu zasłużył na wielką wdzięczność z mej strony. Dzielnym pocztynem! Imć pan kat mógłby mieć do niego słuszną pretensję.

Mówiąc to spojrział w stronę, w którą udał się powóz. Nie widział go już, ale słyszał gruchot kół gdzieś w okolicy Montfaucon. Wiedziony impulsem poszedł w tamtym kierunku. Nie upłynęło nawet dwadzieścia minut, kiedy turkot pojazdu ustał.

– To dziwne, że powóz zatrzymał się pod wielką szubienicą – mruknął do siebie Manfred.

Przyśpieszył kroku i podszedłszy bliżej ukrył się za krzakami cierniowymi. Widok jaki ujrzał, zmroził mu krew w żyłach.

O parę kroków przed nim majaczyły kontury szubienicy, pod nią jakaś kobieta borykała się z mężczyzną, który usiłował ją zawlec na miejsce kaźni. Manfred patrzył na tę scenę, niezdolny wydać jednego okrzyku, uczynić jednego ruchu. Widowisko było tak nieoczekiwane i tak straszliwe.

Nagle ujrzał, jak ciało kobiety zawisło na stryczku. Mężczyzna wsiadł do powozu i skierował się w stronę Montmartre.

– Okropność! – wybełkotał osłupiały Manfred.

Jak w męczącym śnie rzucił się do szubienicy, wdrapał na podmurowane wzniesienie, podźwignął wiszącą kobietę, przeciął powróż ostrzem sztyletu, zszedł z podwyższenia i złożył ofiarę na ziemi. Potem ukląkł przy niej i przyłożył rękę do jej piersi. Serce biło. Przyjrzał się uważnie zemdlonej i wydał okrzyk zachwyty:

– Jakaż ona piękna, mimo swej bladości!

Po chwili nieznajoma zaczęła przychodzić do siebie. Otworzyła szeroko oczy, jeszcze pełne śmiertelnej trwogi.

– Jesteś, pani, ocalona – rzekł do niej.

Podniosła się z trudem.

– Ocalona! – szepnęła słabym, dalekim głosem.

Rozejrzała się dokoła i przypomniawszy sobie wszystko.

– Ocalona! – powtórzyła, ale nie z wybuchem radości, jaki ogarnia człowieka cudem uratowanego, tylko z wyrazem wielkiej nienawiści na twarzy. – A więc żyję! Och! Biada teraz nędznikowi! Biada ci, Franciszku! Zemsta Magdaleny będzie straszna; przyszłe pokolenia będą o niej opowiadać. Panie – dodała nagle – zawdzięczam panu więcej niż życie. Pańskie imię?

– Manfred.

– Jeśli jesteś ubogi, prześladowany, jeśli cierpisz lub będziesz cierpieć i potrzebował pomocy, przyjdź do mnie o każdej porze. Przyjdź do małego domku tuż pod murami Tuileries i wymień twe imię. To wystarczy!

Z tymi słowami Magdalena Ferron znikła w ciemnościach nocy.

Chciał biec za tą dziwną kobietą, która zbudziła jego ciekawość, ale nagle ujrzał przed sobą jakieś poruszające się cienie.

Zapomniał o hrabi de Monclar, lecz ten nie zapomniał o nim.

Manfred oparł się o podmurowanie szubienicy w nadziei, że żołnierze go nie zauważą i wyminą. W podmurowaniu znajdowała się wnęka, coś w rodzaju piwnicy, do której prowadziły żelazne drzwi. Do tego lochu wrzucano ciała złoczyńców, którzy zakończyli swój żywot na szubienicy Montfaucon.

Manfred schroniwszy się we wnęce poczuł, że ma za plecami żelazne drzwi. Nacisnął lekko, a one uchyliły się pod jego ciężarem. Zawahał się przez chwilę, potem cofnął się jeszcze bardziej i wpadł do lochu. Pod stopami usłyszał chrzęst kości.

Zatrzymał się, ogarnięty taką trwogą, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie przeżywał. Doznawał dziwnego uczucia na myśl o kościstych ramionach, wyciągających się do niego z ciemności, widział niemal trupie czaszki, spoglądając ku niemu pustymi oczodołami.

Uczucie lęku było tak silne, że nie mogąc nad nim zapanować, postąpił ku żelaznym drzwiom. Dusił się... Powietrza za wszelką cenę! Raczej walka z czterdziestu zbirami niż to.

Już miał wyjść na zewnątrz, kiedy w progu zamajaczył cień ludzkiej postaci. Zobaczył coś jak wyciągnięta ręka i w tym momencie drzwi gwałtownie się zatrzasnęły. Manfred osłupiały poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Wtem usłyszał głos prefekta rzucającego rozkaz:

– Dziesięciu ludzi ma pilnować tych drzwi dzień i noc! Otworzycie je dopiero po ośmiu dniach, kiedy ten włóczęga będzie już trupem.

ROZDZIAŁ VII

PRZYSIĘGA STEFANA DOLETA

Mistrz Dolet, sławny drukarz, miał swe zakłady w dzielnicy uniwersyteckiej na wzgórzu św. Genowefy. Mieszkał jednak przy ulicy św. Dionizego wraz ze swą żoną Julią i córką Avetką.

Pani Dolet miała lat trzydzieści pięć, była w pełni sił duchowych i fizycznych. Dopomagała mężowi w pracy, była dla niego idealną towarzyszką, aniołem opiekuńczym jego ogniska domowego, pocieszycielką w strapieniu i trudnych chwilach życiowych, których uczony mąż przeżył już немало.

Avetka kończyła lat osiemnaście. Imię Avetka pochodziło od starego francuskiego słowa: avette, co znaczyło pszczoła. Była rzeczywiście pracowita i zwinna jak pszczołka i tak jak ona mądra i przezorna. Charakter miała silny i prawy, usposobienie wrażliwe, serce dobre i tkliwe.

Taka była rodzina, w której progi los rzucił Hiletkę Chantelys.

Po nagłym odejściu Manfreda, Stefan Dolet zamknął starannie drzwi na łańcuch i, zwracając się do dziewczyny, rzekł z uśmiechem:

– Tu, moje dziecko, jesteś zupełnie bezpieczna. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie, a po chwili zawołał głośno: – Julio! Avetko!

Obie kobiety, które już przedtem zbudziły hałasy, narzuciły na siebie pośpiesznie ubranie. Ukazały się u szczytu pięknych, drewnianych schodów, łączących parter z piętrem, i zeszyły do Doleta.

– Avetko! – rzekł drukarz z powagą. – Mój przyjaciel Manfred uważa się za brata twego narzeczonego Lanthenaya. Uczynił nam zaszczyt, powierzając naszej opiece tę dziewczynę. Kochaj ją więc tak, jakbyś kochała siostrę.

W kilku słowach opowiedział żonie o tym, co się stało. Kobiety zaczęły obsypywać Hiletkę pieścizotami. Dziewczyna odżyła, zaczęła się uśmiechać.

– Jakaś ty piękna! – zawołała Avetka. – Czy wiesz, że cię już znamy? Nieprawdaż, mateczko?

– A jakże, widziałyśmy cię parę razy, gdy przechodziłaś koło naszego domu.

– I zachwycaliśmy się tobą... Tak mi się spodobałaś!

– Tyś także bardzo piękna! – odparła Hiletka ze szczerym zachwytem w głosie.

– A więc Manfred jest twoim przyjacielem? Co za szczęście! On jest taki dzielny i dobry, a Lanthenay tak go kocha...

– Znam go zaledwie od godziny – odpowiedziała Hiletka rumieniąc się. – Lecz widywałem go już kilka razy. Sądzę, że on jest naprawdę dzielny. Uratował mnie z wielkiego niebezpieczeństwa. Nigdy mu tego nie zapomnę!

Złożyła ręce jak do modlitwy, co było jej przyzwyczajeniem. Jej piękne oczy przesłoniły łzy. Straszliwa scena stała jej przed oczami jak żywa. Julia i jej córka były zbyt delikatne, aby wypytywać dziewczynę o szczegóły; jęły ją tylko pocieszać. Dolet przyglądał się tej scenie.

– Och! Ci nieznajomi weszli tak niespodziewanie – dodała Hiletka. – A jeden z nich ubliżał mi każdym spojrzeniem, każdym słowem... Porwał mnie, wyniósł z domu. Wszędzie widzę tego człowieka! Boję się go! Budzi we mnie nieprzewyciężony wstręt!

– Drogie dziecko, uspokój się! – powiedziała pani Dolet.

– Prawda, proszę pani, że nie potrzebuję się już niczego obawiać?

– Jesteś tu zupełnie bezpieczna – odparł Stefan Dolet.

Nagle rozległo się uderzenie młotka w drzwi. Kołatano gwałtownie, niecierpliwie.

Hiletka zbladła jak trup. Julia i Avetka spojrzały na Stefana Doleta wzrokiem pełnym niepokojem. Ten, bardzo spokojny, nakazał kobietom milczenie. Potem podniósł jedną z zasłon okrywających ścianę, nacisnął sprężynę, drzwi w ścianie otworzyły się i ukazał się rodzaj wnęki. Tu mistrz Dolet przechowywał na półkach wydawane przez siebie cenne księgi.

Zastukano powtórnie, jeszcze gwałtowniej.

Avetka pociągnęła swą nową przyjaciółkę do wnęki. Dolet przymknął drzwi i spuścił zasłonę. Julia pozostała przy jego boku. Zbliżył się do drzwi i zaczął nadłuchiwać. Usłyszał głos wydającego rozkazy i poznał go.

W drzwi walono coraz mocniej; było jasne, że nie wytrzymają długo takiego ataku. Stefan Dolet odwrócił się ku ścianie, na której wisiała zbroja i różnego rodzaju broń. Po chwili namysłu zrezygnował jednak z zamiaru. Wysunął fotel na sam środek sali. Usiadł w nim zwrócony twarzą do drzwi i spokojnie czekał.

Rozległ się trzask łamiącego się drewna i drzwi ustąpiły. Kilku mężczyzn wpadło do komnaty.

Dolet siedział nieporuszony.

– Co to ma znaczyć, panowie?! – odezwał się z powagą. – Jak to? Napaść na mieszkanie spokojnego obywatela?! W sercu miasta? To gwałt! Strzeżcie się, panowie! Wniosę skargę do króla jegomości, on wam wymierzy sprawiedliwość!

– Mistrzu Dolet! – przerwał mu ten sam głos, który drukarz poznał przez drzwi. – Ci ludzie weszli tu z mego rozkazu.

– Król! – rzekł Dolet z tym samym niewzruszonym spokojem, po czym powstał i złożył przed nim głęboki ukłon. – Witam waszą królewską mość w moim domu. Ta wizyta, mimo okoliczności jej towarzyszących, pozostawi po sobie niezatarte wspomnienie zaszczytu, jaki spotkał ten dom i mnie, twego wiernego sługę. Racz, najjaśniejszy panie, zająć miejsce w tym fotelu. Julio, weź kubek z dukatowego złota, napełnij go starym burgundem, pamiętającym rok urodzenia mojej córki. Pośpiesz się ze złożeniem naszemu panu i władcy dowodów gościnności i wiernopoddańczych uczuć, do których ma wszelkie prawo.

– Dobrze już, dobrze, mistrzu Dolet! – rzekł król dziwnie zmieszany.

– Ach! Sire! Jestem niepokojony, że kazałem waszej królewskiej mości czekać pod drzwiami. Gdybym wiedział, jaki dostojny gość zapukał do mych drzwi! Gdyby przynajmniej pan oficer wyrzekł słowa, przed którymi każdy dobry poddany pochyla czoło: „W imieniu króla!”

– To prawda – bąkał porucznik – zapomniałem zawołać: „W imieniu króla”, ale ...

– Cicho tam! – zawołał król. – Mistrzu Dolet, nie mam do ciebie żadnej urazy, ale... do rzeczy! Gościłeś w tym domu przez chwilę pewnego hołysza imieniem Manfred.

– Tak, sire, to mój przyjaciel.

– Twój przyjaciel! Dziwnych dobierasz sobie przyjaciół, mości Dolet.

– Ach! Sire, widocznie ktoś niechętny zrobił na niego fałszywe doniesienie. To najszlachetniejszy i najdzielniejszy człowiek na świecie! Nigdy nie spotkałem światlejszego umysłu! To prawda, że jest trochę za krewki, lecz ma również cnotę, którą ty, królu, najlepiej ocenisz. Jest odważny!

– Dosyć! Ten szlachetny rycerz niebawem porozmawia z wielkim prefektem... i z katem! Przywiódł tu młodzieńką dziewczynę, nieprawdaż?

– Tak, sire.
– Ta dziewczyna jest jeszcze w twoim domu?
– Tak, sire.
– Mości Dolet, przyprowadź ją tutaj!
– Nie uczynię tego, sire.
– Bunt?! – warknął król.
– Poczucie honoru, najjaśniejszy panie. Wolę zasłużyć na twój gniew niż na pogardę. Przysięgłem, sire, że to dziecko nie opuści mego domu. Co sądziłbyś, królu, o takim poddanym, który nie dotrzymuje danego przez siebie słowa?

Król zachował milczenie.

Rozumiał całą dwuznaczność swego położenia. Czuł się poniżony, porównując się z tym mieszczaninem, z tym drukarzem, którego spojrzenie było tak spokojne, który zachowywał się z taką godnością, nakazując mimo woli szacunek. Im bardziej to sobie uświadamiał, tym bardziej rosła jego złość.

– Słowa waści – rzekł głosem drżącym z gniewu – dowodzą raz jeszcze, że duch buntu zrodził się w twym sercu i że święty autorytet władzy królewskiej nie budzi w tobie posłuszeństwa. Jednakże jestem gotów wziąć pod uwagę motywy, które cię do tego skłoniły i zapomnieć, co przed chwilą powiedziałeś. Gdzie jest dziewczyna, mości Dolet?

Oficer i żołnierze przysłuchiwali się tej rozmowie z coraz większym zdumieniem. Nikt nie wiedział, co się stało królowi, że upór drukarza nie wywołał dotychczas wybuchu jego pańskiego gniewu. Zadrżeli z oburzenia, słysząc odpowiedź Doleta:

– Sire, jak już miałem zaszczyt waszej królewskiej mości powiedzieć, postanowienie moje jest niezłomne.

– Przeszukać dom! – krzyknął Franciszek I. – Pojmać tego człowieka i odstawić do Bastylii!

Julia wydała okrzyk przerażenia i chciała się rzucić mężowi na szyję, lecz straż już go otoczyła. Odepchnięto ją bez ceremonii, aż upadła na fotel.

W tejże chwili podniosła się makata zasłaniająca potajemne drzwi i ukazała się Hiletka, bardzo blada i bardzo skupiona. Zbliżyła się do króla, który, wstrząsany sprzecznymi uczuciami, spoglądał w jej stronę z ciekawością.

– Moja córka – szepnął tak cicho, że nikt nie usłyszał jego słów.

Dolet rzucił na Avetkę spojrzenie pełne wyrzutu.

– Ojczy! Ojczy! Robiłam wszystko, aby jej przeszkodzić – zawołała dziewczyna.

– Sire! – rozległ się lekko drżący głos Hiletki. – Nie wiem, dlaczego mnie pan prześladowuje. Nie znam przyczyn... toteż mam nadzieję, że mi je wyjaśnisz.

Martwa cisza zaległa salę.

Dolet stojący między żołnierzami rzucił na Hiletkę pełne podziwu spojrzenie. Julia i Avetka załamały ręce w niepokojach, co z tego wyniknie. Król zaś najpierw zbladł, potem oblał się rumieńcem. Miał w głowie chaos. Nie widział wyjścia z sytuacji.

– Moje dziecko – wybelkotał wreszcie – nikt cię nie prześladowuje. Przysięgam ci, daję słowo szlachcica i króla, że będziesz traktowana z należnym szacunkiem, ale musisz udać się ze mną do Luwru!

Przewrotna myśl przeszła jego mózg.

– Musisz udać się do Luwru – dodał, panując już nad swym wzruszeniem, albo też mistrz Dolet uda się do Bastylii.

– Sire! Sire! – zawołał Dolet. – Nadużywasz nieświadomości tej dziewczyny! To wstrętne!

– Milczeć! Albo Bóg widzi, że pożegnasz się z tym światem, mości Dolet! Moja cierpliwość już się wyczerpała. Uważaj, kat spogląda w twoją stronę.

– A historia w twoją, sire! Jest to kat straszniejszy niż ten, którym mi grozisz.

– Rany boskie, tego już za wiele! Oficerze, do Bastylii z nim!

– Sire, jedno słowo! – zawołała Hiletka, rzucając się ku żołnierzom. – Udam się za tobą dobrowolnie, jeśli każesz puścić tego dzielnego człowieka, który w tej niedobrej godzinie zastąpił mi ojca.

Król dał znak, by żołnierze odstepili od Stefana Doleta, potem podszedł do dziewczyny i wziął ją za rękę. Hiletka wzdrygnęła się cofając się lekko.

– Moje dziecko! – odezwał się król. – Alboż budzę w tobie uczucie lęku? Nie bój się niczego, proszę cię oto. Moje królewskie słowo jest dla ciebie tarczą, a nikt dotychczas nie po-
dał jego wartości w wątpliwość.

– Sire, idę z tobą – odrzekła dziewczyna z rozpaczliwą stanowczością, rzucając jednocześnie Doletowi spojrzenie pełne bezgranicznej wdzięczności.

Drukarz chciał jeszcze raz zaprotestować, król jednak, prowadząc Hiletkę za rękę, był już za progiem.

– Nikczemność! – warknął Dolet zaciskając pięści.

– Biedne dziecko! – szepnęła Julia.

ROZDZIAŁ VIII

DWAJ OJCOWIE

Nazajutrz drzwi ogromnego, zbytkownie umeblowanego gabinetu króla Franciszka I, w którym miał zwyczaj udzielać posłuchania swym dworzanom; stały zamknięte.

Król chciał być sam. Król rozmyślał.

Dziwne pogłoski krążyły po Luwrze. Opowiadano sobie, że podobno w nocy przywieziono do pałacu królewskiego jakąś cudownie piękną dziewczynę, że zbudzono damy dworu, że oddano do rozporządzenia nieznajomej całej wielki apartament.

Jedni uśmiechali się i zapytywali, co o tym sądzi księżna d'Etampes, urzędowa faworyta króla Franciszka; inni kiwali znacząco głowami. Mówiono, że król jest czymś bardzo poruszony.

Rzecz dziwna, nie kładł się wcale. Pan de Bassignac, jego pokojowiec, spędził całą noc w przedpokoju, daremnie wyczekując na rozkazy jego królewskiej mości. O świcie dopiero król udał się do swego gabinetu, zakazując tam wstępu.

Franciszek I zbliżył się do szerokiego kominka, na którym płonął ogień. Wyciągnął rękę, jak gdyby chcąc się rozgrzać. Był posepny, zamyślony, mruczał coś pod nosem bez związku, chodził nerwowo po pokoju. Wreszcie zatrzymał się szepcząc:

– To moja córka!

Na jego zmiennej twarzy rozlał się wyraz gniewnego osłupienia. Nagle zaczął nawoływać. Bassignac pośpieszył do gabinetu.

– Każ wypuścić mojego błazna – rzekł spokojnie Franciszek I. – Niech się tu stawi za godzinę, a jeśli by chciał wyjść poza bramy Luwru, przeszkodzić mu w tym. Przyślij też kanclerza.

Nie upłynęło pięć minut, a kanclerz stał już przed królem.

– Mości kanclerzu, przygotuj i daj mi do podpisania akt nobilitacyjny dla...

Zatrzymał się, zawahał, rozpoczął przerwany gorączkowy spacer po pokoju. Kanclerz czekał w milczeniu. Po długiej przerwie król rzucił pośpiesznie:

– Dla panny Hiletki, tak, dla Hiletki Chantelys. Nadaję jej tytuł księżnej... na razie! Wpisz do aktu, że otrzymuje ode mnie w darze posiadłości pod Fontainebleau. Idź, waść!

Kanclerz opuścił gabinet bez słowa. Dziwna wiadomość o hojności króla popłynęła po całym Luwrze, jak obłok dymu po wystrzale.

Król wydał westchnienie ulgi. Zajął następnie miejsce przy ogniu i pogrążony w rozmyślanii, zatracił świadomość czasu. Nagle wzdrygnął się na dźwięk nieznajomego głosu.

– Sire, kazałeś mi stawić się przed tobą. Oto jestem.

– Kto tam? Kto śmie zabierać głos bez mego rozkazu?!

Odwrócił się i zdumiał. Przed nim stał Triboulet.

– To ty, błaznie!

– Nie, sire. Człowiek stojący przed tobą nie jest błaznem królewskim, to Fleurial, twój poddany, który przyszedł błagać cię o sprawiedliwość.

Król spoglądał na Tribouleta z wielkim zdziwieniem, gdyż błazen królewski zmieniony był nie do poznania.

W pokoju, który zajmował w Luwrze, zrzucił z siebie błazeński strój i przywdział czarne sukienne szaty oraz aksamitny kaftan. Był to żalobny strój zamożnego mieszczanina. Czarny beret trzymał w ręku. Bolesna powaga zastąpiła dawny, tak dobrze królowi znany, ironiczny wyraz jego twarzy. Oczy lśniące gorączkowym blaskiem były podkrążone. Głos, zawsze tchnący zjadliwością i szyderstwem, stał się teraz spokojny. Trzymał się prosto, ledwie znać było, że ma skrzywioną łopatkę.

Zniknął w nim błazen, przed królem stał człowiek. Franciszek I wkrótce ochłonął ze zdumienia. Machnął lekceważąco dłonią w stronę Tribouleta i powiedział z właściwym sobie ironicznym śmiechem:

– Błaźnie, wybaczam ci twój wczorajszy wybryk pod warunkiem jednak, że ten głupi żart nie powtórzy się. Idź, błaźnie, włóż swe szaty, weź w rękę błazeńskie godło i wracaj. A śpiesz się! Musisz mnie rozerwać, nudzę się dziś od samego rana.

Triboulet słuchał z oczami spuszczoneymi na dół i z ciasno splecionymi dłońmi.

– Sire, coś zrobił z moją córką Hiletką? – zapytał nagle.

Król porwał się z miejsca na równe nogi. Podbiegł do Tribouleta, chwycił go za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– Nędzny błaźnie! – zawołał gniewnie. – Mówisz, że... Powtórz to! Śmiesz zapewniać, że...

– Sire, rozpacz rodzicielska nie zna bojaźni. Powtarzam: coś zrobił, królu, z moją córką Hiletką?

Król zgrzytnął zębami, spojrzał groźnie na Tribouleta.

– Zginiesz z ręki kata, głupi błaźnie, jeśli jedna bodaj dusza ludzka usłyszy to, coś w tej chwili powiedział.

– Sire, oddaj mi moje dziecko! Proszę!

– Łżesz! Łżesz! Hiletka nie jest twoją córką, Hiletka nie może być córką błazna! – zawołał król, jeszcze ostrzejszym głosem, w którym drgała powściągnięta wściekłość.

– Dlaczego, sire? Dlaczego? – przerwał zmieszany Triboulet.

– Dlatego że jest córką królewską! Słyszysz, nędzniku? Dlatego że jest moją córką. Moją!

Triboulet zachwiał się na nogach. Jego zrozpaczonym sercem wstrząsnęły dwa sprzeczne ze sobą uczucia: bezgranicznej radości i ogromnego bólu.

Radość, bo uszanowano ją. Nie stała jej się żadna krzywda. Przecież ten, co ją porwał, był jej ojcem. A potem przyszedł ból. Hiletka nie jest już jego córką, bo jest córką Franciszka I.

Na razie jednak radość wzięła górę nad wszystkim, jak nawałnica zalała mu duszę. Padł przed królem na kolana, bił głową o ziemię.

– Sire! Och, sire! Bądź błogosławiony! Jakże jesteś szlachetny i wspaniałomyślny, że zechciałeś mi powiedzieć o tym, iż mojemu dziecku nie stała się żadna krzywda. Pozostała czy sta jak dotąd... A wczoraj wyobraziłem sobie... Och! Jestem szalony! Patrz, sire, śmieję się, płacę... Ale wyobraź sobie, królu, skazańca, który w swej celi czeka na kata. Drzwi się otwierają, a to nie kat, lecz ulaskawienie. To życie! Wyobraź sobie, panie, jego radość! Ja jestem tym skazańcem, sire! Radość przechodzi moje siły! Duszę się! Błogosławię cię, królu! Jaki byłem głupi! Jaki ja byłem głupi! Myślałem, że to twój kaprys, że to niezdrowa miłość popycha mego pana i króla do tej młodej dziewczyny. Stokrotny idiota! Świętokradstwo?! To przecież serce ojca przemówiło. To ojciec tęsknił do swej córki. Czyż to nie jest naturalne? Nic złego się nie stało. Ach, sire, alboż radość, jaką przeżywam, nie może zabić człowieka?!

Triboulet cicho płakał.

Podczas gdy król, wstrząśnięty wspomnieniem swego kaprysu miłosnego, spoglądał pośpiesznie na tarzającego się u jego stóp Tribouleta, błazen mówił dalej:

– Królewska córka. Tam do licha! Coś mi się tak zdawało. Powtarzałem to sobie już od dawna. Ach, bo też jest piękna! To czoło stworzone do korony, a te złociste włosy, moja pan-
na jest córką króla! No, no! Cóż ty na to? Wyobrażałaś sobie, że jesteś biedną, nieznaną dziewczyną, którą przygarnął skromny mieszczanin. Otóż nie, panienko! Jesteś córką króla!

Nagle rozległ się głos Franciszka I:

– Wstań, błaznie!

Straszny lęk szarpnął sercem Tribouleta. Uleciała gdzieś radość. Przed oczami stanęła mu okrutna prawda: Hiletka jest córką króla, on zaś błaznem królewskim.

Już stał na nogach i wodził wzrokiem za Franciszkiem I, który z rękami w kieszeniach, ze zwieszoną na piersi głową, chodził nerwowo po pokoju.

– Opowiedz mi wszystko – rzekł wreszcie król. – Wszystko! Nie opuszczaj żadnego szczegółu. Gdzie, kiedy i w jaki sposób ją poznałeś?

Twarz Tribouleta rozpromieniła się. „Kto wie? A może król zostawi Hiletkę pod moją opieką?”

– Otóż, sire – rozpoczął bardzo szybko – pamiętasz Mantes? Dziesięć lat temu zjechałeś pewnego dnia do tego miasta. Popeliłem wtedy jakieś zuchwalstwo, a stało się to na ulicy, w pobliżu starej, rozpadającej się w gruzy bramy, z której zwieszały się dwa olbrzymie ogniwa zerwanego łańcucha. Wtedy wymyśliłeś, królu, rodzaj żartobliwej kary i kazałeś mnie przywiązać do tych łańcuchów na dwa dni. Pamiętasz pewnie, sire? Ja będę pamiętał to zdarzenie do końca życia. Szczęśliwa to była godzina, w której zostałem przywiązany do starej bramy miejskiej w Mantes i wystawiony na urągowisko gawiedzi. Czy przypominasz sobie to zdarzenie, sire?

– Dalej! Dalej! – rzucił Franciszek I.

– A więc, zostałem przywiązany do bramy... Och! Nie użalam się na to. Miałeś, królu, bezwzględna rację. Wstrząsał mną wstyd i gniew, byłem bardzo smutny. Tłum śmiał się, dzieci wrzeszczały i ciskały we mnie kamieniami. Patrz, sire, została mi blizna nad lewą brwią. To po uderzeniu kamieniem.

Palec Tribouleta spoczął na bliźnie. Król słuchał go z lodowatym spokojem.

– Błogosławiona rana. Tak jest, królu... Pamiętam wszystko dokładnie. Jakaś piękna kobieta poszczuła na mnie psa. Pies zbliżył się warcząc... Spojrzałem na niego, a zwierzę jęło lizać mi ręce. Piękna kobieta obija psa.

– Dalej! – mruknął król półgłosem.

– Mówię o tym dlatego, abys się przekonał sire, że pamiętam każdy szczegół. Nie ma obawy, abym cokolwiek zapomniał. Nigdy! Zapadł wieczór. Ogarnął mnie jeszcze większy smutek. Okrucieństwo ludzkie przerażało mnie... Serce zalała fala goryczy, zacząłem wyklinać matkę, która wydała na świat tak nieszczęśliwego potomka. Przede mną zgromadziło się kilkuset gapiów: kobiety, możni panowie, mieszczanie, dzieci. Świetnie się bawili sytuacją, w jakiej się znalazłem. Nagle na wprost mnie ujrzałem zbliżającą się... Ach, sire! Serce me taje na to wspomnienie...

Triboulet przerwał usiłując opanować wzruszenie. Król tym razem nie przynaglał go do dalszego mówienia.

– Zbliżała się dziewczynka... Wyobraź sobie, królu, wyglądała jak mały aniołek. Jasne włosy spływały jej na ramiona tworząc dookoła twarzyczki świetlaną aureolę, oczy miała czyste i łagodne, uśmiechała się do mnie. Tłum zaszemrał: „To Hiletka, ta mała kwiaciarka sprzedająca lilie... To Hiletka Chantelys”. I rzeczywiście trzymała oburącz całą wiechę białych kwiatów. Podeszła do mnie, odłożyła swój bukiet na ziemię i otarła mi twarz z krwi. Byłem ogromnie wzruszony. Potem oparła się o mnie, spoglądając na tłum swymi jasnymi oczami, jakby chcąc mnie bronić, osłonić przed urągowiskiem. Tłum zaczął krzyżeć: „Wiwat!” Mężczyźni klaskali w dłonie, kobiety płakały...

Triboulet znowu przerwał opowiadanie; przeżywając jeszcze raz tamte chwile.

– Mów dalej! – rozkazał Franciszek I.

– Cóż mam jeszcze powiedzieć? Nazajutrz gdy mnie zwolniono, Hiletka stanęła przede mną i ruchem pełnym wdzięku ofiarowała mi lilie, wyjętą z dużego naręcza kwiatów. Zach-

wałem ją w starej książce z obrazkami... Kiedy wszcząłem rozmowę z małą kwiaciarką, okazało się, że pochodzi ona z Blois, że już od roku mieszka sama w Mantes, że żyje z jałmużny...

– Z jałmużny! – rozległ się chrapliwy głos króla.

– Prawie nie pamiętała swej matki, która gdzieś znikła. Nigdy nie знаła ojca. Zapytałem ją, czy zechce pójść ze mną. Spojrzała na mnie i rzekła: „Tak, bo jesteś tak samo nieszczęśliwy jak ja”. Od owej chwili stała się mym ukochanym dzieckiem, jedynym moim skarbem. Powoli zapomniała o zdarzeniu, które związało nasze egzystencje. Widziała we mnie swego przybranego ojca. Sądziła, że jestem takim sobie poczciwym paryskim mieszczaninem. Wzrosła i wychowała się w tym małym domku w pobliżu Trahoir, gdzie ją odwiedzam wtedy, gdy mi się uda oddalić z Luwru. To wszystko, sire.

Franciszek I obrzucił Tribouleta spojrzeniem, w którym kryło się uczucie zazdrości i podrażnionej dumy. Milczał przez jakiś czas, chodząc po gabinecie. Triboulet przyglądał mu się z coraz to większym niepokojem. Wreszcie król poniechał swego spaceru, zatrzymał się przed Tribouletem i rzekł wyniosłym tonem:

– Dobrze. Możesz pójść teraz do siebie i przywdziać swój błazeński strój.

Triboulet ani się ruszył z miejsca.

– Czy rozumiałeś, błażnie?

– Sire! A więc nie usłyszałeś krzyku mego serca?! Wiem, nie potrafiłem cię przekonać, że Hiletka to moje życie.

– Błażnie! Wybaczam ci to, że ośmieliłeś się tknąć bodaj palcem córkę króla Francji. Nie wiedziałeś kim ona jest, ale teraz należy położyć temu kres. Nie ma już Hiletki! Od tej chwili nie waz się nigdy podnosić oczu na nową księżniczkę... na księżnę de Fontainebleau. Zakazuję ci zwracać się do niej bodaj jednym słowem, bo inaczej odpowiesz za to głową.

– Sire! – wybełkotał Triboulet. – To niemożliwe... Przecież ja ją kocham!

– Dosyć tego! Wykreśl przeszłość nawet z twoich myśli.

– Zakaż mi więc myśleć i czuć! Wyrwij mi serce!

– Jeszcze jedno słowo, błażnie, a czeka cię Bastylia do końca twego żywota!

Błazen zadrzał. Wizja Bastylii i rozłąki z Hiletką zrobiła swoje.

– Sire, uczynię wszystko, co mi rozkażesz – powiedział z rezygnacją. – Zostaw mnie tylko przy dworze. Miej litość! Pozwól mi chociaż patrzeć, nie przemówię do niej.

– Zobaczysz ją. Za kilka dni wydamę bal, na którym będzie zaprezentowana całemu dworowi. Będziesz na tym balu i ty, Triboulecie. Nie ma zabawy bez błazna, a zwłaszcza bez takiego błazna, jakim jest Triboulet – powiedział król uśmiechając się złośliwie.

– Ja mam być na balu – powtórzył Triboulet czując, że mu się mąci w głowie.

– Bezwzględnie tak! – zaśmiał się szyderczo król.

– I będę musiał pełnić obowiązki błazna?

– A dlaczego byś nie miał tego uczynić?

– W jej obecności?

– Ejże! Co znaczą te grymasy?

Franciszek I doznawał dziwnej, okrutnej radości na widok mąk błazna. Mścił się w ten sposób na Triboulecie za to, że miał szczęście trzymać Hiletkę w ramionach, że był kochany przez nią jak ojciec.

„Należy usunąć nędznego błazna w cień na zawsze – myślał. – Należy położyć między nim a moją córką nieprzebytą przepaść. Księżna de Fontainebleau wdrygnęłaby się ze wstydu, gdyby się dowiedziała, że ten, któremu mówiła: – mój ojciec – nosi imię Tribouleta!”

– Przypomnij sobie, co ci mówiłem – powiedział głośno król. – Jeśli tylko jednym słowem, jednym spojrzeniem zdradzisz przed kimkolwiek przeszłość mojej córki, czeka cię Bastylia albo po prostu stryczek. Księżna de Fontainebleau, córka królewska, nie ma nic wspólnego z małą Hiletką Chantelys, rozumiesz?

– Udawać w jej obecności błazna – szepnął Triboulet, który może nie słyszał wszystkiego, co król powiedział. – Niepodobna! Być lżonym na jej oczach, oplutym... Nie! Ależ to szaleństwo! Tak nie może być!

Zaczął błagać:

– Sire, zechciej zwolnić mnie z mych obowiązków, Wolę zniknąć zupełnie, wolę już jej nie widzieć!

Król, który rozpoczął na nowo swą wędrówkę, zatrzymał się, odwrócił plecami do Tribouleta i nie patrząc w jego stronę, rzucił rozkaz:

– Błaznie, bądź tu za dziesięć minut już w swoim stroju.

– Sire, nie masz więc serca ani duszy?

Król odwrócił się w jego stronę, wyciągnął rękę ku drzwiom i rzekł krótko:

– No!

Triboulet półprzytomny, blady jak trup, cofając się powoli, znikł za drzwiami.

W chwili gdy Triboulet opuścił komnatę królewską, aby się przebrać w błazeńskie suknie, hrabia de Monclar wszedł do przedpokoju.

– Proszę zaanonsować mnie królowi – rzekł do Bassignaca.

– Król nie chce widzieć nikogo – odparł pokojowiec królewski.

– Tak, lecz mnie przyjmie. Zamelduj mnie, waść. – A po cichu dodał: – Nie jestem człowiekiem! Jestem Zemstą Królewską, zawsze mile widzianą.

I rzeczywiście w kilka chwil później hrabia de Monclar wchodził do apartamentów królewskich.

– No i cóż z tym... włóczęgą? – zapytał król z prawdziwym niepokojem w głosie.

– Jest ujęty, sire.

– Ujęty! – wykrzyknął Franciszek I promieniejąc radością. – Brawo, Monclar! Mam nadzieję, że nie zwlekając powiesiłeś tego nicponia. Bez wytaczania niepotrzebnego procesu. Są przecież niezbite dowody jego nieposłuszeństwa i zuchwalstwa wobec króla.

– Uczyniłem coś lepszego niż powieszenie! – odparł prefekt z posepnym uśmiechem. – Wasza królewska mość żądał skazania tego nędznika na mękę.

– Aha, męki... Wiem, że jesteś w tym kierunku doświadczony, hrabio.

– Zamknąłem go w kostnicy przy Montfaucon – oświadczył prefekt ze spokojem. Postawiłem przed drzwiami straż z dziesięciu żołnierzy i poleciłem nie otwierać ich aż po tygodniu. Czy uważasz, sire, tę karę za wystarczającą?

– Okropna! – szepnął król blednąc.

– Jeśli chcesz, wasza wysokość, każe otworzyć drzwi, i hultaj zawisnie tuż nad apartamentami, które w tej chwili zajmuje.

Król rzucił na de Monclara dziwne spojrzenie.

– Czy sądzisz, że długo wytrzyma mękę pobytu w... tej kostnicy?

– Nie dłużej nad cztery lub pięć dni. Głód i pragnienie zabijają dosyć szybko. Robiłem w tym kierunku dużo ciekawych doświadczeń.

Król wzdrygnął się.

– A więc mam otworzyć drzwi, sire?

– Wobec tego, że już postanowiłeś ukarać go tak, a nie inaczej, i że się to... już zaczęło... Zresztą taka śmierć czy inna...

– Jestem tego samego zdania – rzekł zimno de Monclar.

– Nie mówmy już o tym, hrabio!

– Zatem temat wyczerpany. Wasza królewska mość obiecałeś udzielić audiencji czcigodnemu ojcu Ignacemu de Loyoli.

– To prawda. Jest tam? – zapytał Franciszek I z odcieniem niezadowolenia.

– Wszedł do Luwru jednocześnie ze mną.

– Każ go więc wpuścić.

ROZDZIAŁ IX

PREFEKT MIASTA PARYŻA

Pan de Monclar opuścił Luwr konno w towarzystwie blisko dwudziestu zbrojnych. Był to mężczyzna lat około sześćdziesięciu, lecz widząc go siedzącego na koniu, nikt nie dałby mu nawet czterdziestu, tak prosto trzymał się w siodle. Gdyby jednak ktoś określał jego wiek z pobrużdżonej głębokimi zmarszczkami twarzy, na pewno przypisałby mu dużo więcej, niż miał.

Ponadto było w tej twarzy coś złego i okrutnego. Jej rysy miały w sobie coś dziwnego; można było rzec – maska, a nie twarz żywego człowieka. Wyraz oczu nawet nie był okrutny, ale też próżno byłoby szukać w nich czegoś ludzkiego. Były to oczy posągu. Głos miał ani ostry, ani donośny – był to głos martwy.

Mówił do kata: „Powieś tę kobietę” tym samym tonem, którym dawał służącemu rozkaz: „Ubierz mnie”.

Ogólne wrażenie, jakie na ludziach wywierał, było bliskie uczuciu grozy. Najdzielniejsi nawet nie czuli się przy nim pewnie. Na widok jego posępnej postaci truchlał cały Paryż, a dziwna obojętność, z jaką przyjmował ten powszechny lęk przed jego osobą, budziła w ludziach jeszcze większą trwogę.

A może nie widział tego wcale?

Powiadano, że prefekt był odważny aż do zuchwalstwa. Kilkakrotnie zupełnie sam, nawet bez broni, zapuszczał się w takie zakamarki, skąd zazwyczaj nikt nie uchodził z życiem. Widywano go również w traktierniach cieszących się bardzo złą opinią, w których gromadzili się różni łotrzykowie, żebracy i ladacznice. Gdy się tam pokazywał, w gwarnych zazwyczaj spelunkach zapadało głucho milczenie.

I rzeczywiście hrabia de Monclar nie znał, co to lęk, uczucie lęku bowiem jest u c z u c i e m, jego zaś serce niezdolne już było do żadnego uczucia.

Sztywna jak manekin postać, czarny strój, czarny koń, na którym jeździł, bielejąca z daleka plama twarzy, wszystko to razem robiło wrażenie posągu żałoby albo kogoś nie z tego świata. Triboulet przezwał go Archaniołem Szubienicy.

Hrabia de Monclar wyprzedził o jakieś dziesięć kroków oficera, który dowodził oddziałem; było to jego zwyczajem, od kiedy nabrał nawyku mruczenia pod nosem jakichś niezrozumiałych wyrazów.

Może nie życzył sobie, by go ktoś podsłuchiwał?

Oddział krążył wąskimi uliczkami wiodącymi do Dzielnicy Cudów, jak szereg cuchnących rynsztoków wiedzie do głównego kanału ściekowego.

Gdy wjechali w jedną z tych uliczek, kierując się w stronę ulicy św. Dionizego, jakaś kobieta przycupnięta we wnęce domu wyprostowała się i wpatrzyła w hrabiego badawczym wzrokiem.

Prefekt wyczuł spojrzenie kobiety i zdziwił się, kto śmiał tak odważnie na niego patrzeć, na niego, przed którym wszyscy spuszczały wzrok?

Król tylko stanowią wyjątek.

Zatrzymał konia i przyjrzał się kobiecie. Była już stara, jakkolwiek trudno było określić bliżej jej wiek. Okrywały ją łachmany. Nie spuściła oczu; jej wzrok nie wyrażał ani groźby, ani prośby, ani zuchwalstwa. Ot, po prostu patrzyła, i już!

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał prefekt.

– Niczego, panie.

– Kim jesteś?

– Kobieta, która cierpi i czeka.

– Jak się nazywasz?

– Nie mam imienia. Wołają na mnie Gypsie.

– Zdaje mi się, że już cię kiedyś widziałem.

– Istotnie, panie!

W tonie jej słów drgały akcenty tłumionej radości.

– Teraz cię już poznaję – dodał prefekt. – To ty przychodziłaś do mnie kiedyś prosić o darowanie życia jakiemuś Cyganowi, który miał być powieszony.

– Masz, panie, cudowną pamięć. Ta rzecz zdarzyła się dwadzieścia lat temu.

– To prawda – szepnął Monclar. – Za dobrą mam pamięć... Och, gdybym mógł zapomnieć! Zapomnieć! – Głośno zaś powiedział: – Pamiętam, że w dniu egzekucji rzuciłaś się nawet na kata i ugryzłaś go boleśnie... Ułaskawiono cię.

– Zapomniałam już o tym, panie. Zaiste pańska pamięć mnie zdumiewa! Mnie, która w całym naszym plemienu uchodzę za kobietę obdarzoną cudowną pamięcią.

– Cygan został powieszony! – rzekł de Monclar, obserwując uważnie starą.

– To był mój syn, panie!

Powiedziała to bardzo prosto, bez cienia nienawiści.

– A teraz czego chcesz?

– Niczego, panie.

– Dlaczego więc wpatrywałaś się we mnie wtedy, kiedy cię mijał?

– Takie już mam przyzwyczajenie.

Prefekt ścisnął ostrogami boki swego rumaka, koń ruszył do przodu.

– Panie! – odezwała się stara.

– Mówże nareszcie! Z góry wiedziałem, że masz do mnie jakiś interes!

– Zapewniano mnie, że chcesz wydać rozkaz aresztowania Lanthenaya.

– Znasz go?

– Na tyle dobrze, aby się nim interesować. A potem znam pewną dziewczynę... Avetkę. Jest córką drukarza, który mieszka tam oto... Tych dwoje dzieciaków się uwielbia.

– Jesteś tego pewna?

– Najpewniejsza! Oto dlaczego proszę was, panie... Jeśli Lanthenay będzie stracony, Avetkę niechybnie złamię ten cios. Jej ojca również.

Prośba cyganki była tak mało p r o ś b a, że prefekt nagle zrozumiał: stara knuje coś przeciw Avetce i Lanthenayowi. Pomiął jej słowa milczeniem i zaciął konia. Tym razem Gypsie nie usiłowała go zatrzymać.

Gdyby jednak hrabia de Monclar odwrócił się w tej chwili, może zadrżałby z wrażenia mimo całej swej zimnej krwi, bo wzrok, którym obrzuciła go dziwaczna stara Cyganka, wprost płonął z nienawiści.

Prefekt pomyślał: „Uwaga starej przyda mi się. Lanthenay bywa u Doletów, a więc upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu”.

W chwili gdy hrabia de Monclar wraz ze swymi żołnierzami znikł na zakręcie ulicy św. Dionizego, jakiś młody mężczyzna wyszedł z drzwi jednego z domków i, widząc starą Gypsie, zbliżył się do niej.

Cyganka nie zauważyła go. Była pogrążona w myślach, które pochłaniały całą jej uwagę. Młodzieniec spojrzął na starą z wyrazem litości, a jednocześnie pewnej odrazy. Dotknął jej

ramienia. Wzdrygnęła się gwałtownie jak człowiek, którego zbudzono z głębokiego snu, wkrótce jednak wróciła do dawnego spokoju.

– Lanthenay! – wymamrotała przesuając ręką po czole pokrytym siecią zmarszczek.

– Co tu robisz, matko Gypsie! – zapytał młodzieniec łagodnie.

– Nic, moje dziecko. Ty wiesz, lubię włóczyć się ulicami, to pozostałość po moim dawnym życiu. Wtedy wędrowałam po gościńcach, po bezdrożach z moim mężem...

– Biedna matko Gypsie! Nie zdecydujesz się chyba nigdy na zamieszkanie w domu, jak to czynią wszyscy mieszkańcy miast ani na porządne ubieranie się, ani na spokojne życie, ani na trochę dobrobytu i dostatku. Wiesz jednak, że chcę ci to wszystko zapewnić. Zamieszkaż ze mną, a będziesz miała spokojną starość.

– Tak, tak... Wiem, że masz dobre serce i że jesteś wdzięczny za opiekę.

– Naturalnie, przygarnęłaś mnie, biednego sierotę, odrąconego przez ludzi.

– To prawda. Jesteś też jedynym węzłem, który mnie łączy z życiem... Kocham na całym świecie tylko ciebie jednego! Och, jak bardzo cię kocham!

Stara rzuciła na młodzieńca mroczne spojrzenie, a on znowu odczuł ten dziwny niepokój, którego zwykle doznawał wobec Gypsie, i który sobie wyrzucał. Kryjąc się z tym uczuciem, mówił dalej głosem pełnym współczucia:

– Biedna Gypsie... Kochasz mnie, toteż uważam się za twoje dziecko.

– Moje drogie dziecko! Tak, drogie! Nie wiesz nawet, jaki jesteś mi drogi. Byłabym zdolna zabić tego, kto chciałby uczynić ci jakąś krzywdę.

– Uspokój się, matko. Jestem dostatecznie silny, aby sam się obronić!

– Podaj mi rękę!

Porwała za rękę młodzieńca, który mimo wdzięczności dla niej, mimo nakazanego sobie uczucia nie mógł pozbyć się odruchu wstępu.

– Czytam z twojej ręki dziwne rzeczy, moje dziecko – zaczęła mówić stara, pogrążona pozornie w studiowaniu linii jego ręki.

– No! – rzekł Lanthenay z wymuszonym uśmiechem.

– Kochasz, jesteś kochany. Będziesz też szczęśliwy. Małżeństwo ukoronuje twą miłość... Będziesz żył długo, mimo złej woli twych wrogów.

– Droga matko, to twoje dobre serce...

– Ależ nie, nie! Czytam to z twojej ręki!

– Niech i tak będzie. A teraz do widzenia, matko. Czy nie potrzebujesz pieniędzy?

– Nie. Dałeś mi przecież przedwczoraj, wystarczy tego co najmniej na miesiąc.

– Weź, matko! Kto wie, co może się stać... Cierpiałbym na myśl, że możesz potrzebować!

Włożył jej do ręki pękata kieszkę, potem pochylił się i z uczuciem przymusu pocałował w policzek.

Oddalił się, szepcząc:

– Biedna Gypsie! Mam jednak bardzo złe serce, żywiąc odrazę do tej, która jest moją przybraną matką.

Gypsie odprowadziła go wzrokiem. Rzecz dziwna! Jej wzrok był również pełen nienawiści, jak spojrzenie, które rzuciła hrabiemu de Monclarowi.

Tymczasem prefekt minął bramę miejską i, posuwając się truchtem, zbliżył się do szubienicy na Montfaucon. Strażnicy, których tam zostawił, byli na stanowisku przed żelaznymi drzwiami.

– No i co słyhać? – zapytał zwracając się do dowódcy straży.

– Więzień nie rusza się, nie słyhać go wcale.

– Czyżby się już udusił?

– Bardzo możliwe, panie prefekcie. Pewnego dnia spędziłem tylko trzy minuty w tym lochu, a wydało mi się, że już umieram.

– Dla większej pewności otworzymy drzwi dopiero po kilku dniach, jak już powiedziałem. Wtedy się was zwolni. Pilnujcie dobrze!

– Bądź spokojny, panie! Ten nicpoń musiałby chyba przemienić się w kreta, aby umknąć ze swej pułapki.

Prefekt przyglądał się przez chwilę żelaznym drzwiom, za którymi w strasznej scenerii umierał człowiek, zamknięty wraz ze szkieletami skazańców. Potem ruchem ręki raz jeszcze nakazał baczenie, a następnie zawrócił konia i udał się do Paryża. Nie upłynęło i pół godziny, kiedy wjechał na podwórzec swego pałacu położonego przy ulicy św. Antoniego na wprost Bastylii.

Pałac prefekta miasta Paryża krył się w cieniu tego olbrzymiego więziennego gmachu. Gdy hrabia stawał przy oknie, wzrok jego padał zazwyczaj na zakratowane okienka, w których białą twarz więźniów.

Hrabia de Monclar wszedł do wnętrza pałacu. Otworzył drzwi do pokoju, którego meble pokrywała gruba warstwa kurzu, a obicia były wyblakłe od słońca. Rzekłbyś, iż w tym pokoju nie poruszono niczego już od wielu lat.

Na jednej ze ścian wisiał olbrzymi obraz. Wyobrażał on młodą kobietę w całym blasku jej urody. Obok kobiety oparte o jej kolana stało mniej więcej czteroletnie dziecko. Buzię miało różową, dziecięco zaokrągloną, uśmiechało się.

Hrabia de Monclar zatrzymał się przed tym obrazem. Jego surowa twarz złagodniała, posępne oczy nabrały życia. Padł na kolana, wyciągnął ramiona do obrazu, głęboki szloch wstrząsnął jego piersią.

ROZDZIAŁ X

MAGDALENA FERRON

Pan Ferron wrócił do Paryża bramą Montmartre już nad ranem, po pożegnaniu swego upiornego współnika. Przed tym jakiś czas błądził bez celu wśród drzew rosnących między murami miejskimi a małą wsią Montmartre. Zdawał się być bardzo spokojny. Straszliwa egzekucja nocna uśmierzyła jego gniew. Dla Magdaleny już nieżyjącej żywił teraz jedynie uczucie pogardy zmieszanej z litością.

Szedł ulicami Paryża powoli i obojętnie, jak poczciwy mieszczuch odbywający spacer poranny; szedł, nie widząc, dokąd go nogi niosą.

Nagle zatrzymał się i zadrżał, stał przed małym domkiem w pobliżu Tuileries. Zaczął mu się przyglądać z chorobliwą ciekawością. W świetle rodzącego się szarego dnia domek ten wydał mu się dziwnie ponury i smutny. Wilgotne gałęzie, odarte z liści, wznosiły się ku niebu, okrytemu chmurami. Zdawało mu się, że właśnie tu niebo było bardziej smutne niż gdzie indziej, drzewa jeszcze bardziej nagie, a ziemia jeszcze bardziej błotnista.

Drzwi wejściowe pozostały nie domknięte. Wszedł odruchowo, bez żadnego określonego celu. Jak się znalazł przed tym domkiem, nie wiedział. Wszedł nie zamykając za sobą drzwi.

Zaczął obchodzić mieszkanie, składające się z parteru i pierwszego piętra. Co go skłoniło do tej wizyty? Jaka niezdrowa ciekawość? Nie wiadomo, ale teraz, kiedy już się tam znajdował, nic na świecie nie zmusiłoby go do wyrzeczenia się tej bolesnej przyjemności, z jaką zbierał dowody zdrady małżeńskiej.

Z pozornym spokojem wszedł do zbytkownie urządzonej sali jadalnej, ozdobionej rzeźbami w drewnie, pokiwał głową na widok wspaniałego serwisu z literą F.

– Franciszek! – pomyślał. – A może jednak tylko Ferron!

Wszedł następnie do olbrzymiego pokoju, w którym znajdowała się wanna i cały skomplikowany aparat toaletowy. Tam dowody winy były w oczy. Następnie przeszedł cicho do sypialni, podobnie jak ubiegłej nocy.

Nic się tu nie zmieniło. Ferron ujrzał się znowu klęczącym przy zemdlonej żonie, znowu oczekiwał, aż wybijie godzina wyznaczona przez kata. Cała nocna scena stanęła mu przed oczami.

– Tutaj – syknął przez zęby – kończyła się ubierać, gdy wszedłem. Stała przed tym lustrem... ot tak... z ramionami wzniesionymi do góry, poprawiając włosy.

Ferron stanął przed lustrem i bezwiednie naśladował ruchy żony. W jego czynach było coś niesamowitego, twarz miał dziwnie wykrzywioną, oczy błędne, straszne.

– Tak, tak, ładacznic! Tak się wyginała przed tym lustrem, podczas gdy ja... Nędznic! Ale gdy stanąłem w progu, jakim strachem wykrzywiła się jej twarz! Co musiała przeżyć, gdy widziała w lustrze powoli otwierające się drzwi i mnie... zjawę. O, Boże! – zawołał nagle, spoglądając z przerażeniem w lustro. – Rozum mi się mąci! Bo oto naprawdę się otwierają. Jak wtedy. Kto tam? Przebóg! To Magdalena! To duch zmarłej!

– Jak się masz, panie Ferron! – zabrzmiał spokojny głos.

Zdradzony mąż szcękając zębami, czuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Zdjęty przerażeniem, nie mógł wykonać żadnego ruchu. Zdawało mu się, że ogarnął go obłąd.

– Jak się masz, panie Ferron! – powtórzyła Magdalena i końcem palca dotknęła jego ramienia.

Ferron odskoczył gwałtownie i ukrył się w kącie pokoju zasłaniając się rękami. Ogarnięty zabobonnym strachem wybełkotał:

– Ktoś ty? Jej zjawa, nieprawdaż? Przychodzisz pomścić zmarłą, jak ja zemściłem się na żywej?

Magdalena wzruszyła ramionami.

– Budzisz we mnie litość – rzekła spokojnym głosem, tak dobrze znanym Ferronowi. – To nie widmo stoi przed panem. To Magdalena, pańska żona, żywa, zupełnie żywa. Twój kat źle wykonał swoje zadanie, mój panie: Źle mnie powiesił, ot i wszystko.

– A więc żyjesz! – krzyknął Ferron i trudno powiedzieć, czy w tym okrzyku było więcej radości czy wściekłości.

Rzucił się do niej i porwał za ramiona.

– Żyjesz! Ty żyjesz?! Chyba piekło wyrwało cię śmierci! I wracasz przede wszystkim do domu zbrodni, ladacznico! Czy miałaś nadzieję zastać tu króla czy może innego nicponia; musiałaś bowiem uprawiać nierząd i oddawać się każdemu, kto chciał cię wziąć! Żyjesz, bo takie jak ty mają dusze mocno trzymające się ciała! Zobaczmy jednak, czy nie będę zrzęczniejszy od kata!

Skoczył do drzwi i zamknął je na dwa spusty, potem stanął przed Magdaleną, odgradzając ją od okna, jakby chciał zapobiec możliwej ucieczce.

Magdalena usiadła zupełnie spokojna.

– Mówisz głupstwa, mój drogi. Przyszłam tutaj, aby spotkać się z tobą.

– Ze mną?!

– Z tobą! Pierwszą moją myślą było to, że zastanę cię tutaj. Nie omyliłam się, bo jesteś rzeczywiście. Gdybym się ciebie bała, nie przyszłabym. Czy chcesz ze mną porozmawiać?

– Mów! Co masz mi do powiedzenia? Jak zechcesz się usprawiedliwić?

– Nie zrozumiałeś mnie – odparła z niecierpliwością. – Nie potrzebuję się usprawiedliwiać. Nie kocham ciebie. Kochałam Franciszka, króla Francji, oddałam mu się bez żadnych zastrzeżeń. Nieszczęście chciało, żeś o wszystkim się dowiedział. Żałuję cię serdecznie, bo choć cię nigdy nie kochałam, zawsze jednak szczerze lubiłam. Widzisz więc, mój panie, że się nie usprawiedliwiam; kochałam... całym sercem i zmysłami.

– I ty śmiesz mi to mówić?! Bezwstyd podnosić do miana bohaterstwa?!

– Bynajmniej. Staram się tylko dowieść ci, że musimy pomówić szczerze, a więc zaczynam od szczerości.

– Zaczynasz od cynizmu!

– Jeśli sobie tego życzysz, niech będzie, że od cynizmu. Powtarzam ci jednak moje pytanie i uprzedzam, że za chwilę będzie już za późno. A więc czy chcesz ze mną porozmawiać?

– Ja cię uprzedzam, że nie wyjdiesz stąd żywa. A teraz mów, jeśli chcesz. Użyj tych ostatnich chwil na kłamstwa, jakieś to czyniła przez całe życie.

Żal i gniew ścisnęły go za gardło. Cierpiał straszliwie, a przede wszystkim dlatego, że Magdalena nie kłamała, nie usiłowała się usprawiedliwiać, co dałoby mu możliwość przebaczenia jej zdrady.

Przez chwilę stanął przed nim obraz skruszonej Magdaleny i jego samego tulącego ją w swych ramionach. Nigdy bowiem nie kochał jej tak, jak w tej chwili.

– Panie – mówiła Magdalena – wzięłaś mnie przed chwilą za widmo. Jest w tym trochę prawdy. Przestałam być kobietą, nie jestem już dawną Magdaleną. Zadaję sobie pytanie, czy zostało we mnie bodaj jedno ludzkie uczucie poza tym, o którym ci zaraz powiem. Śmierć jest mi obojętna... Zresztą – dodała z bladym uśmiechem – zawarłam już znajomość ze śmiercią.

Ferron słuchał w osłupieniu. Magdalena mówiła dalej:

– Chcesz mnie zabić, zgadzam się na to, uczyni to tylko trochę później. Kiedy już dokonamy razem dzieła, o którym marzę.

– Cóż to jest za dzieło? – warknął Ferron.

– Pomyślałeś jedynie o mszczeniu się na mnie – rzekła z pogardliwym uśmiechem. – Ano, zemścić się na kobiecie, to rzecz bardzo łatwa!

– Bądź spokojna! Powiedziałem ci, że na niego przyjdzie również kolej.

– Naprawdę? – zawołała Magdalena powstając z miejsca. – Dość mocno nienawidzisz więc króla Francji, aby szukać na nim zemsty?

– Powiedziałem już: wpieryw pani, a potem on.

Ferron nie zauważył nawet tego, że mówi swej żonie „pani”.

– A więc – rzekła wracając do dawnego martwego spokoju – możemy się porozumieć, ponieważ owym jedynym uczuciem, o którym ci wspominałam, jest chęć zemsty żyjąca w moim sercu. Wszystko inne umarło.

Piersią Ferrona wstrząsnął szloch. Zaciśnął pięści.

– Nieszczęsna! – wykrztusił.

– Co się z panem dzieje? To, co ci powiedziałam, powinno cię raczej ucieszyć.

– Nieszczęsna! Mówisz mi, pani, o swej nienawiści. Sprawia mi ona tyleż bólu, co twoje niedawne wyznanie miłosne.

– Jesteś w błędzie – zabrzmiała zimna odpowiedź. – Nienawidzę króla Francji nie dlatego, że mnie porzucił. Nie jestem porzuconą kochanką, której miłość zamieniła się w nienawiść. Źródłem mej nienawiści jest pogarda. Nienawidzę króla Francji, ponieważ okazał się nędznikiem wtedy, gdy myślałam, że jest rycerzem. Nienawidzę go za to, że zburzył moją wiarę, że zamienił moje serce w ruinę. Nienawidzę go, pogardzam nim! Pragnę zemsty! Czy chcesz połączyć twą rozpacz z moją nienawiścią? Razem będziemy niezwykcieżeni.

Ferron od kilku minut zdawał się nie słuchać Magdaleny. Oczy jego nabiegły krwią, cała twarz drgała.

– Jak to, więc żyjesz? – wyszeptał przerywanym głosem. – Jak to?

Magdalena zachnęła się niecierpliwie:

– Mój panie, znowu zaczynasz? Żyję i to powinno ci wystarczyć! Sznur był zbutwiały, pękł, wróciłam do przytomności... ot, i wszystko. Odpowiedz teraz na moje pytanie. Wyobraź sobie, że Magdalena nie żyje, że masz przed sobą tylko jej ducha, który ofiarowuje ci swą pomoc. Czy przyjmujesz ją?

Ferron bez słowa odpowiedzi podskoczył ku niej.

– Kat był niezgrabny! – warknął. – Lecz ja się nie pomyłę! Umrzesz, um... – urwał nagle i upadł na ziemię z okrzykiem śmiertelnej trwogi.

W chwili gdy wyciągnął do Magdaleny ramiona, chcąc ją pochwycić, cofnęła się nagle, potem gwałtownym ruchem wbiła mu ostrze sztyletu w gardło.

Nie trwało to nawet sekundy.

Ferron usiłował jeszcze podpełznąć do niej. Magdalena pochyliła się nad leżącym, jej ramię uniosło się i opadło na pierś rannego. Tym razem sztylet pograżył się aż po rękojeść.

Ferron zaczął gwałtownie kopać nogami i po chwili znieruchomiał.

– Nie żyje! – rzekła obojętnie Magdalena wstając z podłogi.

Cały dzień spędziła w małym domku, którego drzwi i okiennice starannie pozamykała. Spacerowała koło trupa, nie czując żadnego lęku. Gdy jej przeszkadzał, przestępowała przez niego spokojnie, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Rozmyślała... Powoli plan straszliwej zemsty dojrzywał w jej mózgu. A kiedy nadeszła noc, Magdalena wyszła do ogrodu, wzięła łopatę i zaczęła kopać dół w jednym z jego kątów. Pracowała systematycznie, bez pośpiechu. Czasem przerywała robotę, aby otrzeć pot płynący jej po twarzy.

Okolo dziesiatej dól byl dostatecznie duzy, wiec wróciła do domu, wzięła trupa za nogi i powlokła. Głowa zsuwając się ze stopnia na stopień, wydawała głuchy odgłos. Gdy stanęła już nad brzegiem dołu, rzuciła ostatnie spojrzenie na Ferrona; spojrzenie to nie mówiło nic. W chwilę potem zwłoki spoczęły na dnie dołu.

O północy dól był już zasypany i ziemia starannie ubita. Wtedy owinęła się w szeroki płaszcz, na głowę nasunęła kaptur i opuściła domek, starannie zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XI

LOYOLA

Król Franciszek I dał rozkaz wprowadzenia do gabinetu ojca Ignacego Loyoli. Jego śmiałe spojrzenie przypomniało królowi, jak niebezpiecznego przeciwnika ma przed sobą.

– Chciałeś ze mną mówić? – rzekł do mnicha. – Zatem słucham cię. Co masz mi do powiedzenia?

– To przede wszystkim, sire, że przynoszę ci błogosławieństwo papieskie z Rzymu – oparł Loyola, podnosząc majestatycznie w górę prawą rękę. Potem dodał: – Królu Francji, najstarszy z synów Kościoła, w imieniu najwyższego dostojnika chrześcijaństwa, który mi powierzył tę misję, w imieniu Ojca Świętego, króla królów, błogosławię cię!

Zaskoczony jego uroczystym tonem Franciszek I pochylił się, nieomal przyklęknął, przyjmując błogosławieństwo. Potem wyprostował się i powiedział:

– Król Francji przyjmuje z wielką radością błogosławieństwo Ojca Świętego. A teraz mów!

Z tymi słowy usiadł w szerokim fotelu, rozparł się wygodnie, skrzyżował nogi i popatrywał na mnicha. Ręką wspartą na poręczy głaskał łeb wspaniałego charta, który siedział obok swego pana.

Loyola przygryzł wargi. Jego twarz z wolna przysłaniała chmura zwiastująca burzę. Czoło trzymał wysoko podniesione.

– Sire – powiedział – przynoszę ci nie tylko błogosławieństwo Ojca Świętego, jestem również echem jego słusznych obaw. Papież, sire, rzuca spojrzenie pełne smutku i troski na tak bardzo przez niego ukochaną Francję...

– Na Madonnę! Jakkolwiek mocno kocha papież ten kraj, dziwne byłoby, gdyby go kochał więcej niż ja!

Loyola zdawał się nie słyszeć jego słów i mówił dalej:

– Francja, kraj chrześcijański, Francja, królestwo świętego Ludwika, staje się ogniskiem schizmy i herezji... Och! – mówił ze wzrastającym zapałem – dwór rzymski obdarza zasłużoną uwagę intencje i czyny waszej królewskiej mości. To, co się dzieje w Prowansji...

– Dziesięć tysięcy wymordowanych heretyków! – przerwał król z gwałtowną ironią.

– To wszystko za mało – odpowiedział Loyola.

Król zerwał się z miejsca i rzucił gniewnie:

– Powiedz od razu, że chcesz widzieć Francję wyludnioną!

– Chcemy widzieć Francję wielką i silną, sire. Chcemy widzieć waszą królewską mość monarchą jeszcze większym i silniejszym niż teraz. Autorytet królewski maleje i będzie coraz bardziej zagrożony, dopóki król zapomina, że cały swój majestat ma od Boga. Państwu grozi wiele klęsk, gdy jego wiarę zżera nieczysty trąd schizmy. Ach, sire, wierz mi, nie mdłymi kazaniami służy się Panu Wszechrzeczy, memu Panu, i twemu, sire. Jezus żąda wiary silnej i żywej, a taką wiarę narzuca się...

– Jak? Powiedz!

– Gwałtem!

Loyola pochylił się do króla wwiercając w niego rozplamiony wzrok.

– Sire! – mówił dalej gorąco. – Nazywają cię ojcem literatury, protektorem sztuki, lecz twórcy wierszy, nadając ci ten tytuł, zapominają może, że polityka monarchy narażona jest na szwank, jeśli triumfują nieprawości skrybów. Mnie, sire, nazywają Rycerzem Marii. Nazwa ta jest mi nieskończenie droga. Lecz wybieram inną. Chcę zostać Rycerzem Jezusa. Zakon Jezusowy założony przeze mnie uśmierzy bunt, zdusi schizmę i unicestwi herezję. Walka, która rozpoczyna się między wiarą a niewiarą, będzie, sire, walką tytanów, I my będziemy mieli nasze Marignan! Lecz aby zwyciężyć, aby mogła zapanować wiara, aby Jezus roztoczył nad całym światem swą władzę, monarchowie, przedstawiciele władzy boskiej, muszą postępować z Wiarą, to znaczy z Siłą! Tą ceną Kościół będzie zbawiony. Tą ceną trony królów będą połączone wiecznym związkiem przyjaźni. Kto wystąpi przeciw nam, zginie. Kto będzie z nami, zwycięży! Królu Francji, czy chcesz być potężny? Czy chcesz, aby niedostrzegalne jeszcze rysy, które ukazują się na podwalinach twego tronu, znikły, spojone niezniszczalnym cementem? Pójdź z nami!

Franciszek I spacerował po pokoju wzburzony.

– Ejże! – zawołał. – Mówi ojciec, że nie idę z Kościołem? Alboż nie dosyć już w tym kierunku zrobiłem? A co do mego tronu, nie obawiajcie się o niego. Klnę się niebem, że szpada, która była pod Marignan, jest jeszcze dosyć mocna!

– Zapominasz, sire, że ta sama szpada była i w Madrycie.

Król zbladł.

Dwóch mężczyzn zmierzyło się spojrzeniem: król, drżący ze wstydu na brutalną wzmiankę o jego niewoli, i Loyola, tchnący zuchwalstwem.

– Tam do licha! Masz waść dziwny sposób prowadzenia dyskusji! – zawołał Franciszek I. – Ci mnisi są przeświadczeni, że świat nie będzie istniał bez nich. Szybko mogą się przekonać, jak bardzo się mylą.

– Czy mam te słowa powtórzyć w Rzymie, sire?

– Możesz. Możesz też powiedzieć Ojcu Świętemu, że wolność Tomku w swoim domku i że jestem i pozostanę panem w tym królestwie!

– Wasza królewska mość raczy wybaczyć mi moje natręctwo – odparł Loyola lodowatym tonem. – Odchodzę. Mam nadzieję, że lepiej powiesz mi się na dworze cesarza Karola!

Uklonił się i zmierzał ku drzwiom.

– Zostań, ojciec – rzekł głucho Franciszek I. Loyola odwrócił się, twarz miał poważną i surową. A więc król był zwyciężony.

– Czego chcesz ode mnie? Mów – odezwał się znowu.

Głos Loyoli, dotychczas ostry i twardy, stał się nagle łagodny, prawie pokorny, kiedy opowiadał z uśmiechem:

– Wasza królewska mość pozostanie na zawsze ukochanym synem Kościoła, najślawniejszym monarchą chrześcijańskim. Sire, schizma nie rozszerzyłaby się tak, herezja byłaby szybko stłumiona, gdyby pewien przekłety kunszt...

– Drukarstwo!

– Rzekłeś, królu. Drukarstwo. Gdyby ono pozostało w naszych rękach, stałoby się potężnym narzędziem propagandy ewangelicznej. Lecz są ludzie, którzy nie demaskując swych złych intencji, podstępnie posługują się tą sztuką, aby szerzyć pogardę do wszelkiej władzy. Tych ludzi, sire, chcę denuncjować...

– Masz na myśli Rabelais'go? .

– Na razie nie, sire. Niewątpliwie jest on podejrzany, lecz nie wiadomo jeszcze, czy to błazen, który się bawi, czy też za jego błazeństwem kryje się jakaś zła myśl. Będziemy wiedzieć! Obserwuje się go, wystawi na próbę... Nie! Ten, o którym chcę mówić, jest znany ze swej wiedzy i wymowy. To on rozsiewa we Francji dzieła pisarzy łacińskich, których sam tłumaczy, a wasza królewska mość wie, że każdy wyraz tej pogańskiej literatury technicznie nieczystością, maskuje herezję! Otóż, jak ludzie zapewniają, król Francji proteguje tego człowieka.

Rzecz oczywista, że tylko przywilej królewski pozwala temu człowiekowi wykonywać swą wykrętą sztukę w samym sercu Paryża.

– Stefan Dolet! – wykrzyknął król z takim wybuchem gniewu, że Loyola spojrzał na niego zdziwiony.

– Ach! Co do tego jegomościa, zdaje mi się, że masz, ojcze, rację.

– Tak, to on – potwierdził Loyola. – Jestem szczęśliwy, że wasza królewska mość podziela moje zdanie o tym człowieku.

Król opanował się.

– Co mu zarzucacie? – zapytał. – Po prostu trzeba mu cofnąć przywileje i sprawa załatwiona.

Loyola spojrzał badawczo na króla.

– Sire, Dolet to mężczyzna młody, śmiały, przedsiębiorczy, obdarzony niebezpiecznymi zdolnościami. Szatan wyposażył go w nadzwyczajną wymowę, dał mu twarz pozornie uczciwą, wyraz godności, budzący poszanowanie w duszach najbardziej łatwowiernych. Gdy się cofnie przywileje temu człowiekowi, jutro będzie miał nowe zgorzenie!

– Czegóż więc chcesz? – zapytał Franciszek I.

– Musi umrzeć – odpowiedział Loyola.

– Myślisz, ojcze, że jesteś w Hiszpanii? U nas nie zabija się tak łatwo.

– Tak, sire, lecz u was zwołuje się sąd... a potem następuje wykonanie wyroku!

– Sąd żąda dowodów przestępstwa!

– Przestępstwo bije w oczy. Oskarżam go! Oskarżam Stefana Doleta o drukowanie niecnej książki dysydenta Kalwina. Ja, rycerz Marii, zapewniam, że zuchwalstwo szatana dochodzi w tej wstrętnej księdze aż do zaprzeczania tajemnicy Niepokalanego Poczęcia...

– Na Boga! Jeśliby tak było...

– Niech wasza królewska mość rozkaże za jakieś parę dni przeszukać dom tego człowieka, a znajdą tam przeklętą księgę, o której wydrukowanie go oskarżam!

– Już dobrze, każę to uczynić. Powiedz, ojcze w Rzymie, że król Francji jest zawsze dumny ze swego tytułu najstarszego syna Kościoła.

Loyola złożył niski ukłon, potem majestatycznym krokiem opuścił gabinet królewski. Franciszek I pozostał sam. W jego duszy walczyły dwa uczucia: radości, która zalewała mu serce na myśl, że może się zemścić na Stefanie Dolecie za jego opór, i jednocześnie gorczy z powodu zwycięstwa, jakie Loyola odniósł nad nim – potężnym władcą.

ROZDZIAŁ XII

KRÓLEWSKA CÓRKA

Służebne, klęczące dokoła Hiletki, kończyły układać fałdy jej sukni z białego brokatu. Trzy damy dworu księżnej de Fontainebleau, owej księżnej, którą w Luwrze nazywano już piękną księżniczką, stały czekając. Wymagała tego etykieta, gdyż przy jej ubieraniu obecny był król.

Wystrojony z przepychem, który uwiecznił na swych portretach Tycjan, ze złotym łańcuchem na szyi, Franciszek I czekał, aż Hiletka będzie gotowa. Spoglądał na nią wzrokiem płonącym dziwnym ogniem. Szczęśliwy uśmiech raz po raz wykwitał na jego zmysłowych ustach wygiętych ironicznym grymasem.

– Poprawcie nieco koronkę na głowie – nakazał. – Tam... teraz dobrze. Spuścić naszyjnik z pereł trochę niżej... Dobrze.

Hiletka była już gotowa. Król dał znak, po czym służebne i damy dworu oddaliły się.

– Sire! – szepnęła dziewczyna blednąc, gdy spostrzegła, że zostaje sama z Franciszkiem I.

– Moje dziecko – rzekł król nie ruszając się z miejsca – czy zawsze będziesz się mnie bała? Alboż nie jestem pełen szacunku dla ciebie? Pełen, że tak powiem, ojcowskiego szacunku? Czy nigdy nie zapomnisz owej szalonej nocy, kiedy mogłem ...Ach! Nie wiedziałem wówczas, kim jesteś!

– Sire, twoja dobroć wzrusza mnie – rzekła Hiletka z wielką skromnością. – Czułabym się jednak zupełnie dobrze tylko wtedy, gdybyś mnie odprowadził do domu mego ojca.

– Ten, którego nazywasz ojcem, nie ma do tego najmniejszego prawa – rzekł twardo Franciszek I.

– Znowu te okrutne słowa! Wiem doskonale, że dobry pan Fleurial nie jest moim ojcem, lecz zasługuje tysiącrotnie na to miano. To on wyrwał mnie z nędzy, to on się mną opiekował, chronił przed smutkami, to on kochał mnie z całego serca! Och, gdybyś go znał, sire!

– Hiletko! – rzekł król ze wzruszeniem. – Muszę więc wyjawić ci to, o czym dotychczas nie wiedziałaś. Otóż twój prawdziwy ojciec odnalazł się.

Hiletka nie wydała jednego okrzyku, nie zdradziła najmniejszym gestem wzruszenia. Odpowiedziała z prostotą, wobec której nie miały mocy ani pogróżki, ani prośby króla:

– Sire, jeśli mój prawdziwy ojciec odnalazł się, najlepiej uczyni, jeżeli się ze mną nie zobaczy, ponieważ nie mogłabym się przymusić do okazania uczucia człowiekowi, który...

– Zamilcz, Hiletko! – przerwał jej Franciszek I. – Nie wymawiaj słów, które mogłyby dotknąć twego ojca... ojciec twój bowiem stoi przed tobą, moje dziecko.

– Ty, sire?

W okrzyku tym zabrzmiało ogromne zdumienie, przestrasz, niechęć, a uczucia te były tak wyraźne, że król dodał przygnębionym tonem:

– Tak, ja. Nie doznajesz więc żadnej radości na widok twego ojca?

– Sire – rzekła Hiletka, a głos jej zadrżał – wybac! Jestem przyzwyczajona do prawdy, nie mogłabym udawać uczucia, którego nie ma w moim sercu.

– Jesteś okrutna Hiletko. Jak to? Mówię ci, że jestem twoim ojcem, a ty nie wyciągasz do mnie ramion? Hiletka cofnęła się o dwa kroki.

– I nie cieszysz się? – ciągnął dalej król.

Potrząsnęła głową z uporem.

– Sire, zwróć mi mego ojca! – powtórzyła.

– Twego ojca? Nieszczęsne dziecko, co ty mówisz?

Król zacisnął pięści. Nie podejrzewał tej dziewczyny, prawie dziecka, o tak niezłomną wolę. Był bezgranicznie zdumiony chłodem i obojętnością, z jaką przyjęła jego wyznanie.

– Jeśli już nie tkliwość to przynajmniej duma, że jesteś córką królewską, powinna by...

– Duma! Ach, królu... Czyż można być dumną, dowiadując się, że kaprys królewski złamał życie mojej matce? Mam być dumna z tego, że jestem dzieckiem przypadku? Córka królewska! Dlaczego nie córka włóczęgi lub mieszczanina? Wszystko możliwe! Mam być dumna z tego, że mój ojciec nie może się przyznać do ojcostwa wobec wszystkich i że jest zmuszony ukrywać istotną godność swej córki pod tytułem księżniczki de Fontainebleau? Sire, jestem tylko biedną dziewczyną...

Słowa te wyraźnie określały, co czuła Hiletka, ale świadczyły również o tym, jak często i jak długo rozmyślała ona nad sytuacją dziecka nieznanymi rodziców, przygarniętego z łaski przez poczciwego człowieka.

Zachowanie dziewczyny było tak nieoczekiwane, tak dalekie od tego, czego król się spodziewał, że zaskoczyło go ono zupełnie. Przypuszczał, że przytłoczy ją wieścią o tym, iż jest jego córką.

– A więc – szepnął zbliżając się do niej – to tak przyjmujesz wyznanie, które ci zrobiłem?

– Sire! – zawołała Hiletka z mocą. – Nie zapomnisz nigdy o tym, mam nadzieję, że dałeś mi słowo króla i szlachcica nie zbliżać się do mnie wbrew mej woli!

Król zatrzymał się w miejscu. Uśmiechnął się gorzko.

– Nie mówmy już więcej o tym... – rzekł zimno.

– Sire! – podjęła dziewczyna z łagodnym uporem. – Kiedy odeślesz mnie do mego ojca? Kiedy będę mogła zobaczyć się z nim?

– Kiedy odeślę cię do niego? Nigdy! Kiedy zobaczysz się z nim? Zaraz!

Słowa jego tchnęły tak złośliwą groźbą, że Hiletka przestraszyła się. Król odwrócił się, włożył na głowę beret ozdobiony białymi piórami i uderzył w gong. A kiedy nadbiegły damy dworu, postąpił w stronę dziewczyny i rzekł:

– Podaj mi rękę, księżno, abym mógł cię zaprowadzić na salę balową.

Palce Hiletki dotknęły ręki Franciszka I. Wyszli razem z pokoju, a kiedy skierowali się do sali balowej, przez otwarte na oścież drzwi do uszu Hiletki doleciał gwar ludzkich głosów, dźwięki muzyki i śmiechy. Bardzo blada szepnęła:

– A więc naprzód, królewska córko!

ROZDZIAŁ XIII

BAL DWORSKI

Olbrzymia sala lśniła ogniami sześciuset woskowych pochodni. Orkiestra złożona ze skrzypiec, altówki, mandolin i fletów przygrywała parom tanecznym, które ująwszy się za ręce tańczyły, przeginając się w kunsztownych ukłonach.

Lud paryski zgromadzony pod jaskrawo oświetlonymi oknami pałacu, pomimo deszczu, który mżył bez ustanku, pomimo nocnej pory, przyglądał się zabawie, biorąc chociaż w ten sposób w niej udział.

Na pokojach królewskich tłumy szlachty i dworzan snuły się powoli, a wśród tego błyszczącego tłumu, rozsiewającego dokoła siebie zapach drogich perfum, w tych salonach rozbrzmiewających muzyką, przepelnionych wystrojonymi w jedwabie i aksamity gośćmi, Triboulet, błazen królewski, ze swym kaduceuszem w ręku przechodził od grupy do grupy, rzucając tu i tam złośliwy żart.

Na końcu sali stał ogromny fotel pod baldachimem. Był to tron królewski. Po obu stronach fotela stali nieruchomi jak posągi halabardnicy.

Jakiś młody mężczyzna, otoczony kilkoma dworzanami, spacerował po salonach ze znużoną miną, ziewał, zatrzymywał się czasem przy oknie i zaczynał stukać czubkami palców w szyby, potem odwracał się i rzucał posępne spojrzenia na hałaśliwy i roześmiany tłum. Był to następca tronu francuskiego – Henryk.

Głosem powolnym i zmęczonym przemówił do przechodzącego oficera:

– Panie de Montgomery...

– Wasza książęca mość!

– Wyczytałam dziś rano, że Amadis de Gaule znał rzut lancą, który na pewno kładł wroga trupem. Zapewniają mnie, że pan potrafi również dokonać tej sztuki. Musisz mnie tego nauczyć.

– Kiedy wasza książęca mość każe rozpocząć lekcje? Jestem zawsze do twojej dyspozycji.

Przyszły Henryk II uczynił ruch pełen zniechęcenia i pożegnał oficera.

Po lewej stronie tronu królewskiego siedziała piękna kobieta, rzucając wyniosłe spojrzenia na drugą, siedzącą w pobliżu niej. Była to Diana de Poitiers, urzędowa kochanka delfina. Tą, którą wyzywała spojrzeniem, była Anna de Pisseleu, księżna d'Etampes, urzędowa kochanka króla.

– To dziwne, jak szminki postarzają tę biedną Annę – odezwała się Diana słodko do kilku dworaków otaczających jej fotel.

– Pani Diana tyje – powiedziała księżna d'Etampes do swych przyjaciół. – Kiedyś wyglądała jak posąg z marmuru, a teraz jest tylko posągiem z sadła!

– Oto dojrzała gruszka – rzekł z ironicznym śmiechem Triboulet, wskazując na Dianę de Poitiers.

Księżna d'Etampes uśmiechnęła się.

– A oto płotka! – dodał błazen, pokazując na księżnę.

– Co mówi ten głupiec? – zawołała pani d'Etampes, jakkolwiek doskonale słyszała jego słowa.

– Pani – rzekł Triboulet – porównałem panią z płotką, z milutką płotką z Sekwany, zawsze młodą i żywą.

Podskoczył i zginął w tłumie.

Dręczyła go uparta myśl: „Czy mam uciec? Czy mam wyskoczyć przez okno i rozstrzaskać sobie czaszkę o kamienie podwórca zamkowego? Zaraz nadejdzie Hiletka. Zobaczysz mnie!”

– Mój drogi Chabot – rzekła Diana de Poitiers – czy nie wiesz czegoś bliżej? Bo widzisz, chodzą słuchy, jakoby coś niemiłego przytrafiło się kilku twoim przyjaciołom.

Wskazała spojrzeniem na La Châtaigneraie'a, d'Ességo i Sansaca, którzy, jeszcze niezupełnie wyleczeni z ran, z twarzami bardzo bladymi, zjawili się jednak na balu, aby zamknąć usta plotkarzom.

Trzej wierni przyjaciele Franciszka I otaczali fotel starej księżnej de Pisseleu, tworząc wraz z kilku innymi partię królewską.

Gwido de Chabot de Jarnac, ów dworzanin królewski, do którego zwróciła się księżna, podkręcił węża i odpowiedział:

– Powiadają, że Marot ma skomponować specjalnie dla nich utwór pod tytułem „Ballada trzech kuternogów”.

– Czy zna pani – rzekł La Châtaigneraie bardzo głośno, zwracając się do księżnej d'Etampes – ostatnią plotkę?

– Powiedz, mój drogi! – rzekła księżna zachęcając go spojrzeniem.

– Powiadają, że król myśli o pozbyciu się swego błazna Tribouleta.

– O pozbyciu się mnie! – wtrącił Triboulet. – Lituję się nad dworem, nad miastem i nad całą Francją, jeśli tak ma być istotnie. Nie będzie błazna, nie będzie i króla! Nie będzie Tribouleta, nie będzie Francji!

– Ejże! Błaznie, któż ci powiedział, że nie będzie wcale błazna! Po prostu na twoje miejsce przyjmie król innego!

– Kogo? – zapytała księżna, przeczuwając ze strony Tribouleta jakąś złośliwość.

– Chyba pana de Jarnac we własnej osobie!

Dokoła fotela Anny De Pisselau rozległy się wybuchy śmiechu, dokoła pani Diany zaczęto wołać: „Tam do licha!”, „Tam do diabła!”, „Niedoczekanie!”. Dwie rywalki obrzuciły się wzajemnie taksującym spojrzeniem, uśmiechając się jednocześnie słodko.

– Protestuję! – pisnął Triboulet. – Żądam prawa naznaczenia po sobie następcy!

Jednocześnie myślał: „Och! Uciec stąd! Ukryć się bodaj pod ziemię!”

– Więc go mianuj! – rzekł młody Saint-Trailles, który wraz z wicehrabią de Lezignan i Jarnacem tworzyli trio przyjaciół Diany de Poitiers, podczas gdy Sansac, d'Essé i La Châtaigneraie reprezentowali partię księżnej d'Etampes.

– Mianuję tedy samego króla moim następcą! – wykrzyknął Triboulet.

– Ten błazen za dużo sobie pozwala – odezwała się młoda kobieta, zachwycająco piękna, która brała jedynie pośredni udział w tym turnieju złośliwości; była nią Katarzyna Medycejska, żona delfina Henryka.

– A wobec tego, że król będzie moim następcą, ja z kolei zabiorę jego miejsce. Dla niego mój kaduceusz, dla mnie korona!

– Prawda, że ten błazen jest nieznośny? – rzekła Katarzyna, zwracając się z najśladszym uśmiechem do Diany de Poitiers, kochanki swego męża.

– Jednakowoż – dodał Triboulet – jeśli korona wygra na tej zamianie, to mój biedny kaduceusz zasługuje na współczucie!

W tej chwili rozległ się donośny okrzyk:

– Panie, panowie, król jegomość!

Triboulet zerknął z rozpaczą w stronę drzwi wejściowych do sali, w której w jednej chwili zaległa głucha cisza. Pary taneczne nagle się zatrzymały, dworzanie utworzyli gęsty szpaler pochylając się w niskim ukłonie, muzyka zamilkła.

Wszedł Franciszek I, trzymając Hiletkę za rękę.

– Jakaż ona piękna! – szepnął błazen. – Lecz jaka zdaje się być smutna. Co będzie, jeśli mnie zobaczy? Gdzie mam się ukryć? Dokąd uciekać?

– Panowie! – rzekł król. – Pozdrówcie księżnę de Fontainebleau.

Długi szereg zgiętych w ukłonie karków, szelest jedwabiu... a w kącie zajmowanym przez dwie kochanki stłumione śmiechy.

– Młoda kochanka starego króla! – szepnęła Diana de Poitiers.

Mężczyźni byli zdumieni i zachwyceni wdziękiem i urokiem Hiletki. Dziewczyna trzymała się bardzo prosto, nie odpowiadając na żaden z ukłonów, tak jakby ci wszyscy dworzanie kłaniali się nie jej. Nie spuściła oczu, lecz nie patrzyła na nikogo z tłumu.

Tymczasem król, którego wysoka postać górowała nad wszystkimi, prowadził Hiletkę od grupy do grupy.

– Mój synu! – rzekł do delfina. – Oto księżna de Fontainebleau. Kochaj ją jak siostrę.

Słowa te wywołały zdumienie, cichy pomruk popłynął przez całą salę.

Delfin ukłonił się ze znudzoną miną, po czym odwróciwszy się plecami, ujął pod rękę jednego z dworzan ze słowami:

– Panie, moja żona wprowadza nową modę konnej jazdy.

– Księżna pani jest pomysłowa!

– Kazała umieścić na łuku siodła rodzaj podwyższenia, o które opiera nogę tak, aby stopa wisiała swobodnie, podczas gdy druga stopa opiera się na strzemieniu. To zdumiewające, mój panie... Od czasu rycerskich wypraw towarzyszy Okrągłego Stołu wszystkie damy jeździły zazwyczaj jak my, okrakiem!

Delfin oddalił się, myśląc o swych księgach traktujących o konnej jeździe, ten sport bowiem zajmował lwią część jego czasu.

Bał, przerwany wejściem króla, rozpoczął się znowu na dobre. Zabrzmiała muzyka, grupy taneczne zaczęły się kręcić i głośno rozmawiać. To król dał znak, aby nie przerywano sobie zabawy.

Odprowadził Hiletkę do fotela, przy którym zajęły miejsce jej damy przyboczne, a sam zasiadł w pobliżu, gardząc tronem, który dla niego przygotowano. Przy fotelu królewskim skupili się zwartym kotem dworzanie.

Hiletka, z początku oślepiąca tysiącem świateł i świetnością strojnego tłumu, z wolna odzyskiwała równowagę duchową. Twarz jej stała się znowu zamknięta, jakby skamieniała pod wpływem dręczącej ją myśli.

Franciszek nie spuszczał z niej oczu.

– Zachwycająca noc wesela i uciechy! – rzekł dosyć głośno, aby być przez nią usłyszanym. – Serce przepelnia uczucie rozkoszy pod wpływem zapachu tych perfum, na widok tej tęczy barwnych jedwabiu... Lecz nikt nie jest w stanie odczuć tego słodkiego wrażenia, jakie ja dziś przeżywam. Nie doznawałem czegoś takiego jeszcze nigdy w życiu.

Dziewczyna najlżejszym bodaj ruchem nie dała poznać po sobie, że słyszała te słowa i że zrozumiała ich znaczenie.

– Nieprawdaż, panie de Monclar, że dzisiejszy festyn jest zachwycający? Ta muzyka, te złączone uściskiem pary... Co powiesz na to?

– Jestem zachwycony! – odparł de Monclar ponurym głosem i uczynił ruch, jakby chciał się oddalić.

– Nie odchodź, mości Monclar – rzekł król z żywością. – Będę cię potrzebował. A tymczasem, zdaje mi się, że brakuje nam czegoś czy też kogoś! Nie zauważasz tego, hrabio?

– Nie może nam niczego brakować, gdy ty, królu, jesteś w naszym gronie! – odpowiedział dwornie de Monclar.

– Owszem, na Madonnę! Czuję brak kogoś... Gdzie jest mój błazen? Chcę ujrzeć błazna!

Kilkunastu dworzan rozbiegło się po sali, nawołując:

– Triboulet! Triboulet! Do króla, Triboulet!

Obojętna na gwar, na tysiące zazdrosnych albo też zachwyconych spojrzeń rzuconych w jej stronę, Hiletka zdawała się być ciałem, któremu zabrakło duszy, posągiem, nie żywą istotą.

Król zaczął wołać jeszcze głośniejszym głosem niż jego dworzanie:

– Triboulet! Błaznie! Hultaju! Każę cię oćwiczyć!

Tłum gości jął krzyżeć:

– Triboulet! Triboulet!

Przerwano tańce. Panie i panowie skorzystali ze sposobności, aby urządzić sobie jeszcze jedną wspaniałą zabawę: szukanie Tribouleta i stawienie go przed królem. Nagle wybuchła burza śmiechu i szalonych, nie milknących oklasków. Cała chmara młodych dworaków wpadła na salę, wołając jeden przez drugiego:

– Jest! Jest!

– Triumfalny pochód błazna!

– Podawać go z rąk do rąk!

W mgnieniu oka porwano go, wzięto na ręce, co najmniej pięćdziesięciu dworzan i dam dworu niosło go ostentacyjnie na rękach, walcząc o to, kto będzie trzymał jego rękę, a kto nogę.

Wybladły błazen nie stawiał oporu.

Śmiechy, wiwaty, okrzyki, wrzask, wszystko zlało się w jedną ogłuszającą całość. Wreszcie postawiono Tribouleta przed królem.

– Sire, zastaliśmy go na klęczkach...

– Był sam w jednej z bocznych sal...

– Płakał jak bóbr...

– Udawał tylko płacz!

– Ach, ten Triboulet! Nie ma to jak on! – Płakać, klęcząc w kącie pustej sali, podczas gdy na zamku wre uciecha!

– Płakałem, abyście wy, moi panowie, mieli temat do śmiechu – rozległ się ponury głos Tribouleta.

– Brawo! Wiwat! Niech żyje błazen! Niech żyje trefniś! Niech żyje Triboulet!

– Cicho tam! – rozkazał król. – Rozstąpcie się, aby każdy mógł się przyjrzeć memu błaznowi. Zbliź się, mości Fleurialu!

Hiletka wzdrygnęła się i odwróciła głowę w stronę Tribouleta. Spojrzała na niego... poznała go.

W jednej chwili ta dziewczyna, obdarzona delikatnością uczuć i wysoką inteligencją, zrozumiała całe okrucieństwo zaaranżowanego przez króla widowiska. Przez chwilę zaczęła gorączkowo szukać w myśli odpowiedzi na to wyzwanie. Spojrzała na Tribouleta.

Nigdy nie interesowało ją pytanie, czym się zajmuje ten, którego darzyła mianem ojca. Dziwiła się co prawda dlaczego nie mieszka wraz z nią w małym domku dzielnicy Trahoir i dlaczego tak rzadko ją odwiedza, lecz nigdy go o to nie pytała, zatrzymując przy sobie wszystkie przypuszczenia, którymi usiłowała wytłumaczyć sobie nienaturalne strony tego stanu rzeczy.

Teraz otrzymała brutalną i nagłą odpowiedź. Pan Fleurial był owym sławnym Tribouletem. Jej przybrany ojciec był błaznem królewskim. Spojrzała na niego, ale on nie patrzył w jej stronę.

Triboulet, pełen bohaterskiej rezygnacji, powtarzał sobie w duchu: „Nie pozna mnie! Nie chcę, żeby mnie poznała!” Gdy znalazł się w obliczu króla, jeszcze bardziej zgarbiony, jeszcze bardziej pokręcony niż kiedykolwiek, przesadnie krzywo stawiając nogi, marzył o tym, by przemienić się w zwierzę. Czynił nadludzkie wysiłki, by być tak doskonałym Tribouletem, żeby Hiletka nie doszukała się w nim nawet cienia podobieństwa do Fleuriala.

– Błaźnie! – zawołał król udając straszliwy gniew. – Co robiłeś tam w pustej sali? Co robiłeś z dala od ludzi? Dlaczego uchylasz się od swych obowiązków i nie bawisz nas?

Triboulet chciał odpowiedzieć, ale zamiast głosu, z jego ust wydarł się ni to szloch, ni to krzyk. Zaśmiał się szyderczo i potrząsnął gwałtownie brzękadłami, aby zagłuszyć rozpacz.

Tylko Hiletka go usłyszała. Ona jedna dostrzegła łzy na jego twarzy. Pod wpływem impulsu szybko wstała i zbliżyła się do Tribouleta.

Nagła cisza, cisza osłupienia zaległa na sali. Z uśmiechem, zupełnie tak, jak ongiś w Mantes, jakby pamięć stawiała jej nagle przed oczami obraz dawno zapomnianej przeszłości, zbliżyła się do Tribouleta i otarła mu chusteczką twarz, ociekającą potem i łzami.

Król podniósł się z miejsca wściekły, lecz nim zdążył wykonać choć jeden ruch, Hiletka wsparła się na ramieniu Tribouleta i zwracając się do milczącego tłumu, odezwała się czytym głosem:

– Szlachetne panie i panowie, przed chwilą przedstawiono mnie wam, a teraz ja się państwu przedstawię, Panie i panowie, przedstawiam wam mego ojca.

Rozpromieniony, wprost nieprzytomny z radości Triboulet wyjąkał:

– O moja ubóstwiana dziewczyno! – I upadł u stóp Hiletki.

W zwartym tłumie gości rozległ się przeciągły pomruk, najpierw zdumienia, potem lęku.

Król blady z wściekłości, z zacisniętymi pięściami zaczął następować na Hiletkę, która wpatrywała się w niego z mocnym postanowieniem wytrwania przy swoim, bodaj za cenę życia.

– Zabrać tego hultaja! – zagrzmiął jego drżący gniewem głos.

Tribouleta wyniesiono z sali balowej. Hiletka nie uczyniła jednego gestu sprzeciwu. Teraz ojciec jej był pomszczony.

– Pani! – zagadnął ją król: – Cóż to za szalony wybryk?!

– Ten szalony wybryk to tylko prawda! Wiesz o tym dobrze, sire.

Franciszek I był bliski wybuchu. Powściągnął się jednak i umiędąc panować nad wyrazem swej twarzy, uśmiechnął się nagle do tłumu. Inna rzecz, że ten uśmiech obudził dreszcz trwogi w sercach tych, którzy przyjrzeni mu się uważniej.

– Chcę, by się bawiono! – zawołał ze śmiechem. – Na Boga, panowie, co znaczą te nosy spuszczone na kwitnę? Dalej! Żywo! Rozpocząć tańce!

Potem dodał tak głośno, aby być słyszany przez najbliższe otoczenie:

– Księżna de Fontainebleau cierpi na nagłe zamroczenia, choć lekarze zapewniają, że to nic poważnego. Do jutra nie zostanie ani śladu! – Ruchem ręki dopełnił swą myśl.

Na sali zawrzało życie, a wśród zgromadzonych zaczęła krążyć plotka, że nowicjuszka miewa napady obłądki. Tym tłumaczono sobie również jej zachowanie od chwili wejścia na salę, jej nieruchomość, dziwną uporczywość spojżenia.

Kobiety pomyślały: „To bardzo szczęśliwie”, a mężczyźni szeptali:

– Jaka szkoda!...

Na tym zajście się skończyło. Hiletka świetnie słyszała wszystko, co powiedział król. Zrozumiała jego intencję, lecz, gardząc odpowiedzią, wróciła na swe miejsce z dawną obojętnością dla całego otoczenia.

Król, zdawało się, zapomniał już o całej historii i przekomarzał się ze swymi faworytami, ale naprawdę w jego piersi wrzała burza. Przemyślał nad sposobami złamania uporczywej dziewczyny, ulepienia jej na własną modłę. Przecież była jego córką! I kochał ją jak córkę.

Dawna miłość przeistoczyła się w uczucie rodzicielskie. Tak przynajmniej sobie wmawiał. Albo Hiletka dobrowolnie zapomni o Triboulecie, albo złamie jej opór!

Nagle uśmiechnął się. Ruchem ręki przywołał do siebie Sansaca, d'Ességo i La Châtaigneraie'a, którzy znajdowali się w pobliżu!

– No i cóż? – zapytał trójkę swych ulubieńców. – Jakże się mają wasze rany?

– Już się zagoiły, sire – odpowiedzieli zgodnym chórem.

– To znaczy, że ten włóczęga nie ma ciężkiej ręki. A jednak, do kata, cóż to były za cięcia! Świetny z niego gracz na ostre!

– Och! Sire! – zabrał głos La Châtaigneraie. – Ten nędznik zaskoczył nas znienacka!

– Wiem o tym! Zresztą z tą bandą łotrów należy być przygotowanym na wszystko. Uczą się rozmyślnie podstępnych cięć, którymi atakują przeciwnika korzystając z mroku nocy, kiedy nie można dostrzec ich rapieru.

Hiletka słuchała rozmowy pełna niepokoju. Czują podświadomie, że ta rozmowa była przeznaczona dla jej uszu.

– Ale, ale! – zawołał król. – Co się właściwie stało z tym żebrakiem, panie de Monclar?

– Z jakim żebrakiem, sire?

– No, z tym Manfredem, którego chciałeś powiesić! Hiletka złożyła ręce poruszona.

– Ależ – odparł zdziwiony de Monclar – wasza królewska mość dobrze wie, jaki spotkał go los.

– Mój hrabio, wyobraź sobie, że o niczym nie wiem, a zresztą ci panowie również nic nie wiedzą. Historia zaś jest na tyle ciekawa, że zasługuje na opowiedzenie. Wyda się wam tym zabawniejsza, moi panowie, że ten fanfaron, jak wszyscy zresztą ludzie tego pokroju, dał słowo, że zjawi się u mnie w Luwrze! Mów zatem, hrabio!

– Sire, bardzo źle opowiadam.

– Opowiedz jednak... Słuchamy cię.

Rzucił w stronę Hiletki spojrzenie pełne okrucieństwa.

– A więc, sire, pewnej nocy zacząłem łotrzyka osaczać. Ratował się ucieczką, była chwila, kiedy zdawało się, że mi się wykręcił, i właściwie mało do tego brakowało, skorzystał bowiem z dziwnego zbiegu okoliczności, który postaram się wyjaśnić, i wydostał się z miasta przez Bramę św. Dionizego. Jednakowoż ująłem go... Moi panowie, czy wiecie, gdzie się próbował ukryć? Pod szubienicą na Montfaucon.

– Co jednak znaczy instynkt! – rzekł król.

Hiletka stłumiła słaby krzyk, zagłuszony wybuchem śmiechu dworzan. Hrabia de Monclar mówił dalej:

– Widząc, że jest osaczony, hołysz ten nie znalazł nic lepszego nad ukrycie się w kostnicy, która znajduje się pod szubienicą. Wiecie, co wtedy uczyniłem?

– Powiedz, panie Monclar!

– Po prostu zatrzasałem żelazne drzwi.

– Brawo! Dobry pomysł! – zawołali z uznaniem Sansac, d'Essé i La Châtaigneraie, podczas gdy inni dworzanie nie mogli powściągnąć odruchu przerażenia.

– A kiedy to się stało? – zapytał król.

– Dziś upływa siódmy dzień, sire. Nędznik na pewno już nie żyje.

– I pan powiada, że człowiek ten nazywa się... Przypomnij sobie jego imię.

– Manfred, sire.

W tej chwili Hiletka wstała z miejsca. Obserwujący ją król ogromnie się zdziwił, bo na twarzy dziewczyny nie wyczytał wzruszenia, którego się spodziewał. Stała wpatrzona w jakiś odległy punkt sali.

Franciszek I również spojrzał w tym samym kierunku i znieruchomiał z wrażenia. Na jego twarzy malował się wyraz jakiegoś zabobonnego lęku. Uścisnął mocno rękę prefekta.

– Do licha, mości Monclar! – rzekł stłumionym głosem. – Ludzie, których pan zabija, mają się dobrze, jeżeli oczywiście ten, którego widzę, nie jest zjawą. Patrz pan!

Prefekt spojrział we wskazanym kierunku i również z lekka przybladł, bo oto w człowieku ubranym w czarny aksamitny strój, z długim rapierem przy boku, rozpoznał Manfreda, który kroczył śmiało w stronę króla.

Hiletka dostrzegła go pierwsza. Ujrzała go w chwili, gdy, przerażona opowieścią de Monclara, miała już błagać o pomoc dla niego.

Hrabia de Monclar szybko odzyskał zimną krew. Przywołał kapitana straży i szepnął mu kilka słów na ucho.

W tej samej chwili ten, o którym myślano, że nie żyje, zbliżył się do fotela królewskiego i z pełną wdzięku wyniosłością złożył ukłon.

– Sire – rzekł głośno – obiecałem ci przyjść do Luwru, aby powtórzyć, że mężczyzna, który ucieka się do przemocy w stosunku do kobiety, jest nikczemnikiem. Dotrzymałem słowa!

Trudno opisać zdumienie, jakie ogarnęło zgromadzonych wobec tak zuchwałego wyznania rzuconego królowi. Nawet de Monclar osłupiał. Zdumienie to było tak silne, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło podnieść na zuchwalca rękę.

Dokoła śmiałka skupił się tłum ciekawych. Na twarzy Manfreda próżno by kto szukał wyrazu bezczelności lub arogancji, była ona spokojna, a nawet smutna, pełna odwagi i godności.

Król milczał wstrząsany rojem sprzecznych myśli.

Pierwszy odezwał się de Monclar:

– Bervieux! Na co czekasz?!

Okrzyk ten, zdawało się, wyrwał króla z drętwienia. Wyciągnął rękę w stronę nadbiegających żołnierzy.

– Stójcie! – rzucił rozkaz. I już prawie opanowany dodał: – Chcę się przekonać, jak daleko może zająć zuchwalstwo i bunt tego człowieka, który ośmiela się przyjść z wyzwaniem przed tron królewski, tu, do Luwru!

Obrzucił Manfreda wyniosłym spojrzeniem i zapytał:

– Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? Mów!

– Sire, chciałem jeszcze dodać, że gdy powiedziałem ci to samo tam w Trahoir, zdawało mi się, że słuszność jest po mojej stronie. Jednakże pomyliłem się.

– Aha! Strach cię obleciał, mój panie!

Manfred wzruszył ramionami.

– Gdyby tak było, nie przyszedłbym tutaj. Wiesz doskonale, sire, że nie jestem tchórzem. Powiedziałem, że się pomyliłem, wtedy bowiem sądziłem, że popełniasz gwałt na niewinnej dziewczynie. Pomyliłem się. Słuchajcie wszyscy! I pani również! Tak, pani! Pani przede wszystkim! Przypuszczałem, że jesteś niewinną dziewczyną... Nie wiedziałem o tym, że czekałaś tylko sposobności, aby paść w ramiona pierwszemu z brzegu. Akurat tym pierwszym z brzegu był król. Bogaty łup, moja pani! Miałaś szczęście, kochanko królewska! – zakończył i uklonił się z przesadną uniżonością.

Po tych słowach na sali wybuchła burza zmieszanych głosów i okrzyków.

Pijany wściekłością Franciszek I skinał na straż przyboczną.

– Brać go! – wrzasnął. – Oddaję go wam! Bij, zabij to wściekle zwierzę! Poszarpać go w kawałki! Bij, zabij!

Hiletka, pełna niemej rozpacz, upadła tam, gdzie stała, jak martwa.

Tłum dworzan rzucił się w stronę Manfreda z obnażonymi szpadami w rękę, wołając:

– Biada mu! Bij, zabij!

– Precz, katowskie pachołki, lokaje króla i królewskich nałożnic! – zawołał nieustraszenie Manfred.

W powietrzu błysnęła jego obnażona szpada, zataczając młyńca nad głowami zgromadzonych. Skoczył w róg sali, zdecydowany drogo sprzedać swe życie.

ROZDZIAŁ XIV

MANFRED

W chwili gdy prefekt zatrzasnął przed Manfredem żelazne drzwi kostnicy, młodzieniec rzekł sam do siebie:

– Jestem zgubiony.

W ślad za tym pomyślał: – „Czeka mnie okropna agonia, której wyobraźnia ludzka niezdolna jest ogarnąć. Powolna śmierć głodowa i męki pragnienia... a dokoła te trupy... Żywy człowiek pogrzebany wraz z trupami skazańców. Nie! Lepiej skończyć z tym od razu! Nie chcę umierać powolną śmiercią. Wolę odebrać sobie życie!”

Zaczął rozmyślać nad sposobami skrócenia zgotowanych mu mąk. Sposób był bardzo prosty: miał przecież ostry sztylet, a ręka nie zdrży mu na pewno.

– Cały tydzień, panie de Monclar, to za długo albo za krótko – zaczął znowu mówić do siebie. – Śpieszy mi się. Mam spędzić tydzień sam na sam z panią śmiercią? Fe! Obrzydliwa to towarzysza. Do widzenia! A jednak będę wolny, pomimo twej woli, mości prefekcie! Wyjdę z życia, oto jedyny sposób opuszczenia tego miłego lokalu.

Wyjął z pochwy swój sztylet i końcem palca dotknął ostrza, aby się przekonać, czy nie jest przytępione.

Podniósł rękę... W tej decydującej chwili poczuł nagle żal za życiem. Głębokie westchnienie podniosło jego pierś, a w oczach pojawiły się łzy.

– Biedny włóczęgo! – szepnął. – Przykro jest umierać w tak młodym wieku, wtedy gdy ma się tak wielką chęć do życia. Niestety! A przecież nie uczyniłem nikomu nic złego. Przeciwnie, starałem się zawsze być ludziom pożyteczny, bronić słabych... A jednak muszę umrzeć! Z sercem przepelnionym wspomnieniem o niej. Tego uczucia tak mi żal, jak niczego na świecie. Ale cóż! Żegnaj, życie, żegnaj, Hiletko!

Po wygłoszeniu tej mowy pogrzebowej podniósł ramię chcąc zadać sobie śmiertelny cios.

W tej chwili spojrział też odruchowo w górę. I to, co zobaczył, zmieniło jego decyzję. Stał dłuższą chwilę wpatrzony w sklepienie kostnicy.

Szubienica na Montfaucon była w bardzo złym stanie. Nie wykonywano już tam prawie egzekucji, gdyż położona była za daleko od miasta i że katowi nie opłacało się odwozić skazańców aż tutaj po to tylko, aby zarzucić im stryczek na szyję. Paryż miał dostatecznie dużo placów mogących zastąpić Montfaucon. Na wielu rogach ulic wznosiły się albo szafoty, albo szubienice. Było to bardzo budujące widowisko dla tłumu, dające mu wyraźne świadectwo potęgi władzy królewskiej.

A więc szubienica na Montfaucon, opuszczona już od dawna, rozpadała się w gruzy. To samo działo się z jej podmurowaniem, w którym znajdowała się kostnica. Murowany loch rozsypywał się również. Promień światła ujrzany przez Manfreda wdzierał się przez szczelinę w popękany murze, był to promień księżyca.

– Do diabła! Na brzuch poczciwego króla Franciszka, który ściska go pasem, aby wydać się smuklejszy i młodszy, na krzywy grymas pana de Monclara klnę się, że śmierć nie sądzi na mi jeszcze!

Jakkolwiek ironiczny byłby ten okrzyk, brzmiała w nim jednak radość. Uspokoił się prędko i zamilkł, aby nie ściągnąć na siebie uwagi strażników. Wróciła mu chęć do życia. Zaczął rozmyślać.

– Nie wystarczy ujrzeć przez szczelinę niebo – myślał – należy jeszcze dostać się do niego. Niebem tym w tej chwili jest sklepienie kostnicy, które znajduje się dobre dwanaście stóp nad moją głową.

Jak go dosięgnąć?

Nie zdawał sobie na razie sprawy z niemożliwości tego zamiaru. Zaczął przebiegać swą okropną mogiłę, mierzyć ją krokami od drzwi do ściany i z powrotem, obmacywać mury więzienia. Mur był gładki, żadnego występu! Nic, po czym mógłby się wspiąć. Wilgoć sącząca się po kamieniach jeszcze bardziej utrudniała wdrapanie się po murze. W lochu panowała głęboka ciemność. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyby bowiem mógł cokolwiek dojrzeć, zapewne nie wpłynęłoby to dodatnio na jego odwagę. Z głową podniesioną do góry, z oczami utkwionymi w szczelinie Manfred rozmyślał gorączkowo, jak się do niej dostać.

W końcu musiał zgodzić się ze straszną rzeczywistością: nie było możliwości wspiąć się pod sklepienie. Zrozumiał, że wpierv umrze z głodu, zanim zdoła drogą największych wysiłków przebić w murze otwór.

Na dworze usłyszał głosy żołnierzy rozmawiających ze sobą i klnących konieczność wystawiania na takim chłodzie. Nagle uderzył się w czoło i zaczął walić pięścią w drzwi.

– Sierżant, dowódca posterunku! – krzyknął.

– Cicho tam, ty diable nasienie! Nie dosyć, że przez ciebie musimy spędzić noc na zimnie, to jeszcze mamy wysłuchiwać twoich hałasów?!

– Mój przyjacielu, jedno słowo... jedno słóweczko! Zbliź się, proszę, do drzwi! Czy mówię z dowódcą posterunku?

– Tak. O co chodzi?

– Czy chcesz zarobić sto pistoli?

– Widzisz go! Możesz obiecywać nawet tysiąc, nie wiem tylko, kiedy spełnisz twą obietnicę? Chyba po powieszeniu. Dziękuję ci za pamięć o mej kieszeni!

Oddalił się z szyderczym śmiechem, wołając do żołnierzy:

– Wiecie, chciał mnie przekupić! Bądźcie świadkami, że nie przyjąłem dwóch tysięcy pistoli, które ten żebrak chciał mi ofiarować.

Nieszczęśliwy więzień wpadł w rozpacz. Zrozumiał, że jest zgubiony... i znowu wrócił do myśli o samobójstwie. Postanowił przeczekać jeszcze dwie godziny, a jeśli po upływie tego czasu nic nie wymyśli, zabić się.

Wpadł we wściekłość. Zaczął gorączkowo kopać sztyletem ziemię, potem usiłował podważyć drzwi, ale klinga sztyletu pękła. Pracował dalej, dopomagając sobie trzonkiem. Pracował bez celu, byle coś robić, byle nie myśleć o tym, co niechybnie go czeka w tym lochu.

Nagle usłyszał turkot nadjeżdżającego powozu. Ktoś przejeżdżał koło Montfaucon. Kto to mógł być? Czy wózek wieśniaka wiozącego na targ jarzyny? Czy może...

Chciwie nadstawiał ucha, zdawało mu się, że serce rozsadzi mu piersi, gdy się zorientował, że powóz zatrzymał się przy warcie. Fala nadziei załała mu duszę. Usłyszał męski głos:

– Nie możecie mi powiedzieć, czy bramy Paryża są otwarte o tej porze?

To proste na pozór pytanie nappełniło serce Manfreda radosnym drżeniem. Najgłośniej jak mógł, zawołał:

– Hej, panie! Kimkolwiek jesteś, przyjdź mi z pomocą!

Miał nadzieję, że przejezdny jest człowiekiem dobrym i dzielnym, że mu pomoże.

Podróżni, mężczyzna i kobieta, siedzieli w powozie. Mężczyzna wyglądał na czterdzieści lat, jakkolwiek po bliższym przyjrzeniu się można mu było dać więcej. Był średniego wzrostu, smukły, twarz miał pociągłą, a pełne życia oczy – mądre i odważne. Kobieta, jeszcze

młoda, była tak piękna, że urody mogła jej pozazdrościć Diana de Poitiers. Łagodny smutek rozlany na twarzy, nie ujmując piękności, dziwnie harmonizował z typem jej urody.

Na koźle siedział pocztylion, a obok niego mężczyzna z długimi siwiejącymi włosami, które dodawały jego twarzy wyrazu srogości.

Gdy powóz zbliżył się do szubienicy, podróżny wychylił się przez drzwiczki i zwrócił się do mężczyzny siedzącego przy pocztylionie:

– Spadacape!

– Panie?

– Jakimi drogami, do diabła, wieziecie nas? To przecież Montfaucon! Pamiętam je z moich dzieciennych lat.

– Cóż robić, panie! – odpowiedział Spadacape. – Nie znam tak dobrze okolic Paryża jak Rzymu.

Powóz zatrzymał się właśnie przy warcie postawionej przez prefekta.

– Nie patrz, moja droga, zamknij oczy – zwrócił się podróżny do swej towarzyszki.

– Zamykam – rzekła kobieta posłusznie. – Ale dlaczego?

– Bo przejeżdżamy koło rzeczy tak brzydkiej, tak wstrętnej, że nie chcę, byś na to patrzyła.

– Już nie patrzę, mój drogi.

Rozmowa ta wymownie świadczyła o tkliwości, jaką dwoje podróżnych żywiło dla siebie. Mężczyzna zwrócił się do sierżanta z pytaniem, sierżant już otworzył usta, aby odpowiedzieć, gdy nagle rozległ się tamten krzyk.

Nie namyślając się ani chwili, nieznajomy otworzył gwałtownie drzwiczki powozu i wyskoczył na ziemię.

– Co to za wołanie? – zapytał ostrym głosem, nie licującym z jego poprzednią łagodnością.

– To łotrzyk, nicpoń, zamknięty tam...

Sierżant wskazał na żelazne drzwi.

Podróżny zachnął się z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Tam? – zawołał. – Ależ to kostnica!

– Tak, panie.

– I mówicie, że tam zamknięto żywego człowieka?! Przecież to potworne!

– Panie, wtrąca się pan do spraw niebezpiecznych. Uprzedzam, że pan prefekt nie znosi kontroli nad swymi postępami. Radzę panu iść swoją drogą!

– Pomocy! Ratunku! – rozległo się znowu rozpaczliwe wołanie.

– O, nieba! – krzyknął podróżny. – Jakąkolwiek zbrodnię popełnił ten człowiek, ta kara jest zbyt nieludzka!

– Dosyć, mój panie! Precz stąd!

Nieznajomy obrzucił żołnierza takim spojrzeniem, że ten zmiękł:

– Przepraszam, ale mam taki rozkaz... A pan niepotrzebnie interesuje się tym zbrojcem.

– Nieraz zbroje mają dobre serce i rozum, a wielu tak zwanych uczciwych ludzi zasługuje na stryczek – powiedział nieznajomy.

– Ratunku! Ratunku! Dajcie mi zmierzyć się z dwudziestu żołnierzami! Niech zginę w otwartej walce! Panie, jeśli masz syna, zaklinam cię, pomóż mi!

– Do licha! Tak nie może wołać nicpoń. Krzyk jego wzrusza mnie do głębi. Sierżancie, trzeba wypuścić tego nieszczęśliwca. Taka kara jest czymś potwornym.

– Co takiego? Oszalałeś pan chyba?! Idź stąd! Powiedziałem już raz.

Sierżant skinął ręką i żołnierze ustawili się przy nim. Podróżny wzruszył ramionami i zawołał:

– Spadacape!

– Panie...

– Wyważ no te drzwi!

– Dobrze, panie.

Mężczyzna noszący imię Spadacape'a zeskoczył z kozła i skierował się do drzwi kostnicy.

– Hola, mój panie! – zawołał do sierżanta. – Odsuń się od drzwi! Wyważam je!

Nachylił się, podniósł z wielkim wysiłkiem olbrzymi kamień, który odpadł ze zmurszałego muru, podniósł go wysoko, rozbijał i cisnął w drzwi.

Rozległ się huk, brzęk, z obmurowania drzwi posypały się obluzowane kawałki zaprawy.

Sierżant zaklął siarczyście i rzucił się na Spadacape'a. Podróżny jednak ścisnął go za rękę, przytrzymał i rzekł spokojnie:

– Nie przeszkadzaj mu, przyjacielu. W przeciwnym razie wszystko mogłoby się skupić na tobie.

– Bunt! – wrzasnął sierżant rozcierając zdrętwiałą rękę. – Napad na królewskich żołnierzy! Bij, zabij!

Huk drugiego uderzenia zmobilizował żołnierzy. Podskoczyli do lochu, posypały się przekleństwa i okrzyki wściekłości. Zatrzymali się jednak zdumieni i bezradni. Cudzoziemiec obnażył swą szpadę, a właściwie długi, ciężki rapier. Rapier ten wywinał takiego młynca w powietrzu, ruchy jego były tak błyskawiczne, błysk stali tak oślepiający, że żołnierze oniemieli z podziwu i przerażenia.

Podróżny wciąż manewrując orężem, stanął tak, by osłonić Spadacape'a, który tymczasem sumiennie wykonywał swą robotę. Pod wpływem jego silnych uderzeń żelazo wyginało się, mur coraz bardziej kruszył się i pękał.

Żołnierze uwijali się dokoła nieznanego z błyszczącym rapierem, usiłując go dosięgnąć, jednak każdy ich cios był odparowany. Straszliwy rapier był dla niego najlepszym puklerzem. Wkrótce też nieznanomy przeszedł z obrony do ataku. Rapier kłuł, obracał się, ciął ostrzem i płazem tak sprawnie, że żołnierze najpierw cofnęli się, wydając okrzyki trwogi i wściekłości, w końcu zmieszani odbiegli o jakieś sto kroków od śmiałka. Akurat w tej chwili drzwi kostnicy runęły z piekielnym hałasem.

Manfred jednym susem znalazł się za progiem. Wypadł z lochu ze szpadą w rękę, odczynał pełną pierś, po czym zawołał donośnym głosem:

– Teraz zatańczymy! Zbliżcie się! Dwudziestu, stu nawet! Czuję się na siłach stawić czoło wszystkim poplecznikom Monclara!

Nieznanomy z prawdziwym zachwytem przyglądał się męskiej postawie młodzieńca, jego twarzy szlachetnej i uczciwej.

– Zdaje mi się, że obdarzyłem wolnością nie jakiegoś tam włóczęgę – szepnął. Głośno zaś dodał: – Zmykaj stąd, panie, nie zwlekaj ani chwili!

– Ja i ucieczka! Najwyżej mogę oddalić się spokojnie, oczywiście nie z lęku przed tymi tchórzliwymi zającami, lecz jedynie ze wstrętu przed tym okropnym miejscem kaźni. Jakkolwiek jednak byłoby mi pilno wziąć nogi za pas, nie uczyniłbym tego przed wyrażeniem panu mego zachwyty i gorącej podziękii za pańską szlachetną interwencję.

– Wierz mi, młodzieńcze, ukryj się gdzieś w bezpiecznym miejscu, bo inaczej...

– Tam do licha! – wpadł mu w słowo Manfred. – Na tysiąc przechodniów żaden nie uczyniłby tego, co pan uczynił! Rozpedzić wartę, wyważyć żelazne drzwi, i wszystko po to, aby obdarzyć wolnością człowieka, który musi być chyba wielkim zbrodniarzem, jeśli mu wyznaczono tak poniżającą karę! Ach, panie, twój czyn jest tak wielki! Jest godny bohatera pięknych tradycji rycerskich. Podaj mi rękę, bardzo proszę!

Nieznanomy wyciągnął do Manfreda rękę, ten pochwycił ją, podniósł do ust i złożył pocałunek, zanim nieznanomy zdążył ją cofnąć. W odruchu tym nie było cienia unizoności ani przesady. Potem pochylił się przed nieznanym w niskim, pełnym wdzięku ukłonie, a następnie wyprostował się i patrząc na człowieka, któremu złożył tak niezwykle dowody szacunku – on, nie uginający przed nikim czoła – rzekł:

– Panie, może zechcesz wymienić swoje nazwisko? Nieznanomy już, już miał go zapytać: „A pan? Jak pan się nazywa?” – pomyślał jednak, że stawianie takiego pytania komuś prze-

śladowanemu przez władze nie byłoby godne człowieka subtelnego, odpowiedział więc tylko z prostotą:

– Kawaler de Ragastens.

– Kawaler de Ragastens – powtórzył Manfred. – Nigdy, nigdy nie zapomnę ani tego imienia, ani twarzy...

Pożegnał podróżnego skinieniem ręki i znikł w krzakach jeżyn, na które padły właśnie pierwsze promienie wschodzącego słońca. Kawaler de Ragastens spoglądał przez chwilę w zadumie tam, gdzie zniknął Manfred. Wreszcie potrząsnął głową, westchnął i wsiał do powozu; Spadacape ulokował się znowu na koźle.

Sterroryzowani żołnierze przyglądali się z daleka całej scenie, nie mając odwagi mieszać się w to jeszcze raz.

Gdy już powóz ruszył z miejsca, Ragastens ujął dłonie siedzącej obok kobiety. Niewątpliwie żywiła ona do swego towarzysza owo bezgraniczne zaufanie, jakie szlachetny mężczyzna potrafi obudzić w sercu bliskiej sobie kobiety. Przez cały czas utarczki nie wydała ani jednego okrzyku, nie okazała ani przez sekundę strachu. Zresztą stosując się do prośby swego towarzysza, miała zamknięte oczy.

– Droga Beatrix – rzekł podróżny – oto przybyliśmy do Paryża.

– Do Paryża – powtórzyła kobieta. – Rozumiem, że ciągnie cię tu serce, ale nie wiem dlaczego, czuję lęk... Za ciebie, kochanie... Boję się tego ponurego miasta.

Zamiast odpowiedzi mężczyzna uściśnął jej rękę, jakby pragnąc dodać jej odwagi. Kobieta pogрузyła się w zadumie.

Ze wzgórze, z którego zjeżdżał powoli powóz, roztaczał się piękny widok na tysiące spiczastych dachów, stłoczonych jeden przy drugim, na łukowe okna, w których słońce rozpiętało zasłony z blasków zorzy porannej, na pępne kamienne gmachy z olbrzymimi wrotami, na tysiące domów szeroko rozsiadłych, to ciężkich i ponurych, to znowu leciutkich, nieomal powiewnych, to krytych dachówką porosłą zielonym mchem, to znowu z dachami z szarobłękitnawego łupku. Wesoło wystrzelały ku niebu ostre wierzchołki wież basztowych, czerniały smukłe wieżyczki i niebotyczne dzwonnice kościelne.

– Paryż! Paryż! – szeptał Ragastens. – Kraju mych lat dziecinnych, witam cię pełen rozrzewnienia! Krajobrazie, który tak ukochałem w latach mej młodości, witam cię! Obym mógł odnaleźć tu tego, którego pragnę odszukać. Choćby w najciemniejszych zakątkach Paryża!

Gdy powóz znikł im z oczu, żołnierze zgromadzili się pod murami szubienicy. Kilka zaciśniętych groźnie pięści wyciągnęło się w stronę, w którą pojechał powóz, padło też kilka jędrnych przekleństw.

W tym przypadku prym dzierzył sam sierżant, jego bowiem wyzwiska i pobożne życzenia były najenergiczniejsze i najliczniejsze. Sierżanci wszystkich epok i narodowości zawsze celowali w przekleństwach i umieli odpowiednio zastosować soczystą, ludową gwarę.

Gdy zacny pan sierżant już sobie trochę ulżył, zgromadził swoje rozproszone stadko i palnął odpowiednią orację:

– Tchórze! Pierońskie niezdary! Piecuchy! Żółtdzioby! Karaluchy! Ścierwa cuchnące! Baby spod kościoła! Co macie w rękach? Pytam się was, do stu tysięcy fur beczek, batalionów, diabłów rogatych i bezrogich, co macie w waszych cholernych grabach? Wrzeczona czy halabardy? Psia wasza mać!

Żołnierze, jakkolwiek wyraz „baby” nie połechtął ich ambicji, ani drgnęli, przyjmując z poddaniem potoki obelg rozindyczonego dowódcy.

– To jeszcze nie wszystko – dodał sierżant. – Niewarci jesteście tego, żebym zdierał gardło i przemawiał wam do słuchu, chrzcząc waszą mać do siódmego pokolenia! Lecz powiedzcie mi, do jasnej cholery, kto zadynda za cały ten kram? Może myślicie, że ja? Nie! Niedoczekanie wasze! Opowiem dowództwu, kto wiał tak, że ledwo portek nie pogubił!

Pomruk przeleciał po szeregu halabardników.

– Tak, tak, wy będziecie dyndać, moje aniołki. Chyba że wam lepiej pachnie kołowanie żywcem, ciągi, ćwiartowanie albo stanie pod pręgierzem na placu Gréve!

– Odpowiesz na równi z nami! – wrzasnął jeden z żołnierzy.

Sierżant wiedział o tym aż nadto dobrze. Udał jednak, że nie słyszy okrzyku i pośpiesznie jął mówić dalej:

– W gruncie rzeczy poczciwi z was kamraci. Niemało flaszek osuszyliśmy razem, włożyliśmy się też po górach i dołach... Toteż chcę wam przyjść z pomocą.

Rozległ się życzliwy szmer głosów.

– Słuchajcie! – powiedział w końcu. – Ja nic nie powiem. Jeżeli i wy pary z ust nie puścicie, nikt o niczym się nie dowie. Pan prefekt pomyśli, że włóczęga wydaje spokojnie ostatnie tchnienie. Nie pójdzie sprawdzać, bo ma za delikatny nos. A więc – gęby na kłódkę i basta!

Żołnierze przysięgli milczeć, a sierżantowi też na pewno nie śpieszyło się z wyznaniem całej prawdy.

– Teraz pozostaje nam tylko usunąć dowody rzeczowe – zakończył sierżant wskazując ręką na wyważone drzwi.

Zabrano się do dzieła i po kilkunastu minutach gorliwej pracy drzwi znalazły się znowu na dawnym miejscu, i nawet oko samego pana de Monclara nie odkryłoby u podnóża szubienicy nic podejrzanego.

Gdy prefekt przyszedł zmienić straż, żołnierze byli na swych stanowiskach, pełniąc służbę z taką gorliwością i przejęciem, że zasłużyli nawet na jego pochwały.

ROZDZIAŁ XV

DWAJ BRACIA

Wróćmy do Manfreda. Tylko ten, kto go nie znał, mógł przypuścić, że zechce on zaszyć się w jakiś zapadły kąt, z dala od Paryża. Jedynym środkiem ostrożności, jaki chciał przedsięwziąć było to, że wrócił do miasta przez Montmartre, choć najbliższej miał Bramę św. Dionizego.

Zaledwie ochłonął po swej przygodzie, pośpieszył do Stefana Doleta.

– Czekałem na twe przyjście, Manfredzie – rzekł z powagą Dolet, widząc młodzieńca wchodzącego do jego domu.

– Co z dziewczyną? – zapytał Manfred z niepokojem.

– Nie ma jej!

– Wróciła do domu?

– Nie, odeszła z królem.

Manfred pokiwał głową i powtórzył bezmyślnie:

– Aha! Odeszła z królem... to doskonale...

Usiadł w fotelu, bardzo blady, i wybuchnął śmiechem.

– Czy wiecie, gdzie spędziłem noc? Stawiam tysiąc przeciw jednemu, że nie zgadniecie!

Dolet, który bardzo zatroskany spacerował po pokoju, spojrzał badawczo na młodzieńca. W końcu podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Drogi przyjacielu – powiedział ciepło. – Mój drogi Manfredzie, dlaczego nie pytasz mnie, co tu się stało? Dlaczego udajesz obojętność, choć serce twoje nie jest spokojne? Czy nie uważasz mnie już za swego przyjaciela?

Manfred porwał uczonego za rękę:

– Do licha! Cóż znowu?! Zawdzięczam ci wszystko, mistrzu! Uczyłeś mnie, otworzyłeś przede mną cały świat. Wszczepiłeś we mnie zainteresowanie człowiekiem i tym, co go otacza. Błądziłem w ciemnościach, zanim ciebie poznałem. Co zaś do tej dziewczyny... Nie wiem nawet, jak ma na imię (skłamał), ujrzałem ją dzisiejszej nocy po raz pierwszy (znowu skłamał). To bardzo prosta historia. Zobaczyłem kobietę napastowaną przez nędznego łotra, więc natarłem na niego. Przypadkiem okazał się on królem Francji, Odebrałem mu dziewczynę... Pan uczyniłby to samo! Przywiodłem ją do ciebie, litując się nad jej młodością, oddałem panu pod opiekę... Odeszła? Ano, miała prawo postąpić, „jak jej się spodobało”, mówiąc słowami króla jegomości. Zdarzenie bardzo proste! Ufam panu, panie Dolet! Nie z myślą uchylenia panu zacząłem wypytywać o szczegóły, bo wiem, że gdyby tylko chciała zostać, bronilibyś ją przed całym zastępem żołnierzy. Jeśli odeszła, świadczy to, że chciała odejść. Odeszła z królem... Wszystko w porządku! Zmieńmy więc, proszę, temat, drogi przyjacielu.

– Niech i tak będzie! Nie mówmy o tym na razie – odparł Dolet, którego powściągane wzruszenie Manfreda zdziwiło i przestraszyło. – Jest jednak coś, o czym powinieneś się dowiedzieć: król wdarł się tu przemocą. Sprzeciwiłem się jego woli, więc kazał mnie aresztować. Ta dziewczyna przystała na udanie się do Luwru, aby mnie uchronić przed Bastylią.

– Wzruszająca ofiarność niewinnej duszyczki! Drogi przyjacielu, przebac mi. Drzę na myśl, że w obronie zupełnie nieznanego ci kobiety ryzykowałeś swą wolność. Ach, mistrzu Dolet, nie mogę sobie tego wybaczyć! Ściągnąłem na ciebie gniew Franciszka. Czuję, że wy-

nikną z tego straszne kłopoty, i to wszystko przez dziewczynę, która marzyła tylko o tym, by jej zadano gwałt!

Manfred naprawdę wstrząśnięty tą myślą, która zrodziła się dopiero teraz w jego głowie, porwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, coraz to bardziej wzburzony.

– Ale nie ustąpimy! – zawołał gwałtownie. – Niech no tylko zbiry Franciszka I i Monclara spróbują tknąć bodaj włos na twojej głowie! Do wszystkich diabłów! Puszczę z dymem cały Paryż, zatopię go w morzu krwi!

– Uspokój się, Manfredzie. Nie przypuszczam, by zaraz miało mi grozić jakieś niebezpieczeństwo! Co zaś do tej dziewczyny...

– Dostyc tego, mistrzu! Nienawidzę jej od chwili, gdy się dowiedziałem, jak sprawa się miała. I jeszcze bardziej nienawidzę siebie za to, że ją tu przywiodłem. Do widzenia. Czy Lanthenay wie o tym, co się stało?

– Wyszedł przed chwilą, jest niespokojny o ciebie.

– Biegnę go uspokoić i umówić się z nim o roztoczenie nad twym domem czujnego dozoru.

Poprawił na głowie beret z czarnym piórem, opuścił dom Doleta i udał się na ulicę Froidmantel, gdzie mieszkał. Zajmował wspólny lokal wraz z Lanthenayem. Żyli jak dwaj bracia, dzieląc dołę i niedołę. Mieszkanie ich znajdowało się o kilka kroków od Luwru, w pobliżu starego budynku, który Karol V kazał ongiś wznieść dla lwów. Mieszkanie to było bardzo skromne, znajdowało się w nim zaledwie trochę najniezbędniejszych mebli. Składało się z dwóch ciemnowych pokojów; jeden z nich zajmował Lanthenay, a w drugim sypiał Manfred.

– Jesteś! – zawołał Lanthenay na widok wchodzącego przyjaciela.

– We własnej osobie! Wracam z piekła, albo, jak tak wolisz, z jednej z najlepszych oberż, w której spędziłem noc.

– Tłumacz się jaśniej.

– Znasz kostnicę przy Montfaucon? A więc tam właśnie pomysłowemu panu de Monclar udało się mnie wtrącić.

Lanthenay wdrygnął się.

– Człowiek ten ściąga na swą głowę tyle powszechnej nienawiści, że jej wybuch będzie dla niego straszny – rzekł głuchym głosem.

W tonie, jakim to wypowiedział, było więcej owej nienawiści niż w słowach; nienawiści tak gwałtownej, że zbudzić by mogła nawet w sercu kamiennego prefekta uczucie lęku. Z czołem ukrytym w dłoniach Lanthenay pogrążył się na chwilę w zadumie.

– A jak się stamtąd wydostałeś? – zapytał.

– To cała historia! Opowiem ci ją – odparł Manfred szperając w schowku, skąd wyjął pasztet, chleb i butelkę wina, po czym z wielkim apetytem zabrał się do jedzenia.

– No, teraz możemy rozmawiać! – rzekł po chwili. Obwieszczę ci, że czeka mnie bardzo ważne spotkanie.

– Pojedynek?

– Nie.

– Schadzka z kobietą?

– Ach, nie mów mi o kobiecie, mój drogi... Fe! – A więc...

– Wyznaczyłem spotkanie królowi Francji.

Lanthenay podskoczył. Zdawało mu się, że dostrzega w zachowaniu Manfreda jakąś gorącą radość, radość, która nie zapowiadała niczego dobrego.

– Co to ma znaczyć?

– To, że wyznaczyłem królowi Francji spotkanie w jego Luwrze, aby mu powiedzieć w obecności całego dworu, że jest nikczemnikiem.

– Oszalałeś, Manfredzie...

– Dziś idę do Luwru. Pójdiesz ze mną?

– Jeśli uważasz, że trzeba, aby nas zamordowano dziś wieczór, to pójde z tobą. Wpierw jednak zastanówmy się. Opowiedz mi przede wszystkim szczegóły twojej przygody.

Manfred rozpoczął opowiadanie, urozmaicając je wykrzyknikami i kłótniami.

Lanthenay słuchał go uważnie, nie przerywając.

– A więc? – zakończył Manfred. – Pójdiesz ze mną? Zanotuj sobie, że po raz pierwszy, od kiedy się znamy, zmuszony jestem powtarzać tego rodzaju pytanie.

– Manfredzie – odparł Lanthenay – przede wszystkim proszę cię o złożenie dowodu, że wierzysz w moją przyjaźń do ciebie.

– Alboż trzeba na to dowodów? Ufam ci więcej niż sobie samemu. Mów, czego żądasz ode mnie.

– Otóż, proszę cię bardzo, abyś do Luwru udał się dopiero za kilka dni. Powiem ci, kiedy masz to uczynić.

– To, o co mnie prosisz jest poważniejsze, niż ci się zdaje... ale ponieważ mnie podszedłeś, odwołując się do mojego zaufania, niech się stanie! Zaczekam.

– Dzięki ci, bracie! – wykrzyknął Lanthenay radośnie. – Przysięgam ci, że nie każę na siebie długo czekać. Jednakże to nie wszystko. Przysięgnij mi również, że nie ruszysz się stąd ani krokiem, aż do dnia wyjścia do Luwru.

– Dobrze, choć przecież zanudzę się... Wszystko mi się sprzykrzyło, nie wiem, co mam ze sobą począć? Będę spał... Tak, to najlepszy sposób na... – zawahał się, a Lanthenay dokończył: – Na troski miłosne.

– Kto ci to powiedział? – zawołał Manfred.

Lanthenay uścisnął jego rękę i rzekł:

– Manfredzie, źle czynisz kryjąc się przede mną z twymi smutkami. Przede mną, który...

– Co ci strzeliło do głowy, że ja mogę mieć smutki? Ejże! Alboż nie jestem błędnym ryccerzem, objającym paryskie bruki? Alboż przestałem być stałym gościem zachwycającej pani Gregoire i zawsze niezmiennym amatorem winka, które nalewa swymi białymi, pulchnymi rączkami? Tam do licha! Niech żyje pani Gregoire! A jeśli trzeba będzie przyspieszyć porost krzaczastych rogów jej małżonka-fajtlapy, jestem gotów ku twojej uciechu, mój Lanthenayu, uczynić zeń nawet dziesięciorożca! Troski? Do diabła! Przyjrzyj mi się, mój przyjacielu, i przyznaj, że nie przestałem być dawnym jurnym włóczęgą, postrachem straży miejskiej, zmożoną imię panów mieszczan, uporczywą jak febra, chorobą pana prefekta, przekleństwem mniichów, przedmiotem oburzenia dla klechów, kochankiem niewiast, postrachem małżonków, zuchem potrzęsającym swą szpadą i śmiejącym się wesoło na całe gardło.

– Przyglądam ci się, Manfredzie, i podziwiam cię!

– Zdumiewasz mnie!

– Tak! Podziwiam podniosłość twoich uczuć. Chowasz dla siebie smutki, a chcesz dzielić się ze mną jedynie radością.

– Przesadzasz, mój drogi, w pochwałach. Bądź spokojny, gdy będę miał prawdziwą troskę, zwalę ją na twe barki.

– Alboż to nie poważna troska miłość bez wzajemności?

Manfred zbladł. Oczy jego zamglily się lekko, zaciśnięte pięści podniosły się. Szepnął.

– Miłość bez wzajemności... Bez żadnej nadziei.

– Wybacz mi, bracie – zawołał Lanthenay – ale rany serdeczne należy wypalać rozpalonym żelazem. Sprawilem ci ból? Powiedz! Pozwól popłynąć łzom; matka natura dała nam je po to, aby ich czyste strugi zmywały wszystko, co kala naszą duszę. Kochasz, drogi przyjacielu, kochasz bez żadnej nadziei. Słuchaj jednak... w twoim wieku troski miłosne szybko mijają. Jesteś młody, dumny i piękny, możesz wybierać między najurodzawszymi, pomiędzy paniami z najznakomitszych rodów. Zapominasz!

Manfred, wsparty głową o ramię przyjaciela, cicho płakał.

– Jakież jestem nieszczęśliwy! – rzekł.

– Więc tak bardzo ją kochasz?

Manfred potwierdził skinieniem głowy.

– Wiedziałem o tym. Tak, od dawna! Wiedziałem, jak ta miłość zrodziła się i wzrastała w twym sercu, wiedziałem o niej wcześniej niż ty sam. Patrząc na to, jak przywdziewałeś swój piękny kaftan z czarnego aksamitu, jak przymierzałeś przed lustrem beret z wielkim, czarnym piórem, jak czyściłeś rękojeść szpady i potem wychodziłeś do miasta podkręcając wąsa, a nie mówiąc mi ani słowa, dokąd idziesz, mówiłem do siebie: „Manfred idzie paradować pod oknami domku na Trahoir”. I uśmiechałem się, szalony! Lecz czyż mogłem przewidzieć nieszczęście? Cieszyłem się, widząc, że kochasz tę piękną dziewczynę, w której spojrzeniu czytałeś całe poematy naiwności i troskliwości. Marzyłem... Wiedziałem już ją w towarzystwie mej Avetki.

– Wszystko skończone! – rzekł nagle Manfred. – Czysta dziewczyna... jest kurtyzana.

– Oskarżasz ją zbyt pochopnie, Manfredzie.

– Dobrze! Jeśli nią nawet wtedy nie była, miała już duszę kurtyzany. Jest jednak wytłumaczona – dodał z goryczą. – Pomyśl tylko! Być kochaną przez króla! Jakiej potrzeba siły ducha, aby się oprzeć podobnej pokusie? Nie mówmy już więcej o tym. Powiedziałaś, że te rzeczy mijają, że idą w niepamięć. Do wszystkich diabłów, zdaje się, że płakałem! To szczyt błazeństwa!

Lanthenay przyglądał się uważnie przyjacielowi.

„Biedak – pomyślał. – Cierpi bardziej niż przypuszczałem”.

Potem dodał głośno:

– Wychodzę. Nie będę ci udzielał rad, żebyś o tym, co się stało, nie myślał. Byłyby one bezcelowe.

– Nie myślę już o niczym. Idź, mój drogi, i postaraj się przyspieszyć chwilę, w której będę mógł udać się do Luwru, jeśli już chcesz zmusić mnie do czekania. Pewnie masz jakieś go-dziwe po temu powody.

– Osądzisz je w swoim czasie, Manfredzie.

Lanthenay oddalił się, Manfred zaś rzucił się w ubraniu na łóżko. Doznawał uczucia wielkiego zmęczenia, toteż prawie natychmiast usnął twardo, lecz i we śnie dręczyły go widzia-dła.

Upłynęło kilka dni.

Między Manfredem i Lanthenayem nie było nigdy już mowy o dziewczynie z Trahoir. Dla Manfreda te dni były niepojęcie nudne. Przymusowy wypoczynek, na jaki był skazany, nie licował zupełnie z jego wybuchową naturą; zaczynał tracić cierpliwość i chciał już mimo wszystko wyjść do miasta, gdy Lanthenay oznajmił mu krótko:

– Dziś wieczór.

– Nareszcie! Miałem już dosyć tego wyczekiwania! Wiesz, że szpada po prostu parzy mi już rękę!

– Dzisiejszego wieczoru jest wielka zabawa w Luwrze – ciągnął Lanthenay. – Całe miasto o tym tylko mówi. Powiadają, że król ma przedstawić dworowi jakąś świeżo kreowaną księż-nę de Fontainebleau.

Spojrzał badawczo na Manfreda.

– Mój drogi Lanthenayu, zdaje mi się, że prawdziwe imię tej księżniczki jest Hiletka Chantelys. Dziękuję ci, przyjacielu. Dobry dzień wybrałeś. Do licha! Będę na zabawie!

„Ciągle jeszcze ją kocha!” – pomyślał Lanthenay.

– Pójdziesz ze mną? – zapytał Manfred.

– Nie... Muszę dzisiaj również się z kimś spotkać i nie mogę tego odłożyć.

– Ach, masz się z kimś spotkać? Powód przekonywający... Istotnie... Idź, mój przyjacielu, idź na tę twoją schadzkę, kiedy ja udam się na pewną śmierć do Luwru!

Lanthenay nic nie odpowiedział na ten wybuch.

– Manfredzie! – odezwał się po chwili milczenia. – W imię naszej przyjaźni proszę cię, bądź ostrożny. Idź do Luwru, skoro postanowiłeś popełnić ten istotnie szalony czyn, ale...

– Bądź spokojny! – przerwał mu gwałtownie Manfred. – Będę ostrożny.

– Manfredzie! – odpowiedział Lanthenay z widocznym wzruszeniem. – Chwila to doniosła w naszym życiu. Widzę, że zaczynasz wątpić w moją przyjaźń do ciebie.

– Bynajmniej, mój drogi. Masz schadzkę, i ja również. To takie proste: każdy sobie rzepkę skrobie.

– Manfredzie!

– Lanthenayu!

– Czy już nie jestem dla ciebie bratem?

– Nie! – odparł porywczo Manfred.

– Manfredzie! – zawołał Lanthenay zdziwiony, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Manfred zbliżył się do niego o dwa kroki, popatrzył mu prosto w oczy i palnął:

– Tchórz!

Lanthenay ani drgnął, zbladł tylko trochę, ramiona mu opadły, widać było, że jest mu przykro i że z całej siły stara się zapanować nad sobą, aby nie dać mu żadnej odpowiedzi. Spuścił głowę na piersi, a kiedy podniósł ją znowu, ujrzał, jak Manfred wychodzi powoli z mieszkania.

ROZDZIAŁ XVI

DZIELNICA CUDÓW

Było około czwartej po południu. Ponieważ ulica Froidmantel, jako się rzekło, znajdowała się o dwa kroki od Luwru, Manfred dotarł tam bardzo szybko. Prawie godzinę spędził w zagłębieniu jakiejś bramy, położonej na wprost głównych wrót Luwru. Oczy miał wlepione w to zbiorowisko budowli i ogrodów składających się na całość rezydencji królewskiej. Franciszek I kazał właśnie zburzyć część starego Luwru. Manfred w mroku wieczornym widział kontury rusztowań rozpoczętych budowli. Wzrok jego przesunął się chciwie po oknach głównej fasady, serce biło gwałtownie w piersiach, a wściekły gniew pomieszany z żalem uderzał do głowy.

W końcu oddalił się stamtąd. Zaczął błądzić po mieście na oślep, przechodził przez mosty, ulice, wreszcie około dziesiątej wieczór znalazł się w dzielnicy uniwersyteckiej, w winiarni przepełnionej studentami. Wszedł tu pod wpływem uczucia strasznego pragnienia, ale zapomniał o piciu. Z dłonią opartą na skroniach ważył coś nadal w myślach. Myśli jego były mniej więcej takiej treści: „Śmiech to właściwość natury ludzkiej! To słowa mistrza Rabelais'go, doktora wszechmądrości ludzkiej, najmądrzejszego ze wszystkich mędrców. Co chciał przez to powiedzieć? Zadrwił trochę ze świata. Śmiech! Chciałbym się śmiać, do licha! Ale mam serce zszarpane, a myśl chorą. Miłość? To tylko słowo. Przyjaźń? Również słowo. Chciałem dociec, jaka jest treść jednego i drugiego uczucia, i natrafiłem na nicość. Nigdy jeszcze nie czułem takiego smutku, takiego niepokoju... Lanthenay był moim bratem, na jedno jego skinienie, nie żądając żadnych wyjaśnień, nie stawiając mu żadnych pytań, oddałbym za niego życie, jedynie na jego słowa: Manfredzie, musisz umrzeć, ażeby ja mógł być szczęśliwy...! Tak, tak! To był mój brat. Tak przynajmniej mnie zapewniał, a ja mu wierzyłem. I oto przyszła chwila niebezpieczeństwa, wzywam na pomoc mego brata, a on mi odpowiada: – Nie mogę. Mam inne sprawy. – Ujrzałem dziewczynę, spojrzałem na nią, zdawało mi się, że ona również mnie zauważyła. Gdyby to jej spojrzenie było naprawdę dla mnie przeznaczone, pokochałbym ją całym sercem! Lecz ona bawiła się tylko! Tak! Młoda dziewczyna, żyjąca z dala od ludzi, nudzi się niewątpliwie, potrzebuje rozrywek. Zjawia się pierwszy z brzegu mężczyzna i cóż? Może zdobyć jego serce i uczynić zeń zabawkę! Potem zjawia się król, z ust jego pada życzenie: – pójdź ze mną! – i dziewczyna idzie. To wspaniałe! Jeszcze wspanialsze niż moje szaleństwo! Ale cóż się teraz ze mną stanie? Pozostaje mi tylko jedno – pozwolić się zabić. Mistrz Rabelais, jakkolwiek jest wielkim mędrce, nie znalazłby innego wyjścia. I tak się stanie! Lecz do wszystkich diabłów, sprawię sobie piękny pogrzeb, na którym będzie liczne i godne towarzystwo. Cały Paryż jutro się uśmieje! Będzie to takie święto, które wszystkim pozostanie na długo w pamięci. Tym razem mistrz Rabelais będzie miał rację, mówiąc, iż należy się śmiać!”

Przypasał szpadę i opuścił winiarnię. Padał deszcz, lecz on tego nie zauważył. Nie upłynęło pół godziny, a już stał przed Luwrem.

Jak dostał się do wnętrza? Jak wyminął liczne posterunki straży? Zapytany o to już później, nie mógł dać żadnej określonej odpowiedzi. Miał jedynie wrażenie, że najpierw błądził ulicami, w mroku, w deszczu, przepychał się przez tłum zgromadzony dokoła pałacu, w którym bawił się król, potem znowu inny tłum, błyszczący, strojny, liczne światła wielkiej sali.

Zupełnie możliwe, że strażnicy wzięli go za jakiegoś cudzoziemca zaproszonego na zabawę. Wyglądał pięknie ze swą dumną miną, ubrany w elegancki aksamitny strój, którego wytworność podnosiła biel krezy.

Gdy tylko wszedł na salę, wzrok jego padł na postacie króla i Hiletki. Zaczął kroczyć wprost na nich. Hiletka w tej właśnie chwili słuchała opowiadania de Monclara o tym, jak zamknął Manfreda w kostnicy Montfaucon.

Ukazanie się Manfreda zwróciło jej uwagę. Ujrzał, jak podniosła się z miejsca wyprostowana, ujrzał jej piękne oczy, takie słodkie i takie tkliwe, zwrócone na niego z wyrazem nieskończonej radości. Wtedy rozpętał się jego gniew, bo przewrotność tego spojrzenia zdawała się być jawna.

Zbliżył się do króla. Wiemy już, z jak zuchwałymi słowami zwrócił się do niego i jaką pogardą obrzucił Hiletkę.

Franciszek I, blady z wściekłości, dał znak dworzanom. Znak ten, któremu towarzyszyły gniewne słowa, wywołał straszny tumult. Tysiące rąk wyciągnęło się, aby porwać za kołnierz zuchwalca. Każdy chciał być pierwszy, aby dogodzić królowi. Rozległy się złowrogie okrzyki, panie rzuciły się do ucieczki piszcząc z przerażenia, a Hiletka, półmartwa z bólu i wstydu, osunęła się w ramiona swych dworek.

– Łapać go! Bij! Zabij! Śmierć zuchwalcowi!

– Precz, brytany dworskie! – ryknął Manfred.

Z tymi słowami, nim koło dworzan zdążyło się zamknąć, wyszarpnął z pochwy rapier i z głową nieco opuszczoną natarł, zmierzając do rogu sali.

Rozległy się dzikie wrzaski, sto szpad błysnęło w świetle, szczęknęły sucho krzyżujące się ostrza, popłynęła krew.

– Zabić go! – krzyczał Franciszek I w napadzie furii.

Przed Manfredem leżało kilku zranionych dworzan, inni nacierali nań ze wszystkich stron. On sam był już ranny w rękę, ramię i szyję. Krew ubarwiła mu krezę, zgubił swój берет. Z rozwianymi włosami, błyszczącym wzrokiem i zaciśniętymi mocno zębami, pochylony naprzód jak dzikie zwierzę gotujące się do skoku, był straszny.

Cała ta scena nie trwała dłużej niż kilka minut. Nagle rozległ się okrzyk triumfu. Manfred ranny znowu upadł na kolana. Pan de Saint-Trailles, który był najbliżej, zamierzył się, chcąc uderzyć go w twarz, a La Châtaigneraie i Sansac usiłowali przeszyć mu pierś swymi szpadami. Jeszcze na kolanach, wtulony w róg pokoju, stawał im opór.

– Już koniec! Mamy go!

– Wyrzucmy go przez okno!

– Nie! Nie! Zabijmy go na miejscu!

W tej chwili uwagę walczących odciągnęły odgłosy towarzyszące obecności dużego tłumu i huk wystrzałów z muszkietów. Dym prochu nappełnił salę. Zabrzmiały jęki, przekleństwa, zaszurały na posadzce stopy. Pan de Bervieux i pan de Montgomery zaczęli wydawać rozkazy żołnierzom. Tymczasem do sali wpadli gwałtownie halabardnicy, jak gdyby wepchnięci przez nacierającego nieprzyjaciela, a za nimi wpłynęła prawdziwa fala ludzka. Dziwne, fantastycznie ubrane istoty rzucały się jak wściekłe, wymachując nożami, maczugami i kijami. Na ich czele kroczył olbrzym trzymający w ręku zamiast sztandaru wysoką pikę z zatkniętą na niej ćwiercią cuchnącej padliny.

To Dzielnica Cudów załała Luwr!

Tłum kalek, obdartusów z twarzami pełnymi okrucieństwa, jedni bez rąk, inni kulawi, jeszcze inni garbaci, jednoocy – to szalone wojsko tłoczyło się, nacierało, roztrącało zgromadzonych i bieгло dalej. Istny cyklon ciał ludzkich.

Hrabia de Monclar postawił pośpiesznie przed królem silny oddział strażników uzbrojonych w halabardy, lecz tłum żebraków nie zwracał na nich żadnej uwagi. Parł naprzód, przewracając po drodze wystraszonych i zdezorientowanych dworaków.

Manfred ciężko ranny, osłabiony utratą krwi, czuł, że koniec jest bliski. Wtedy właśnie jakieś zamieszanie na sali odciągnęło od niego dworzan. Kiedy z trudem podniósł się na nogi, zobaczył co się dzieje.

Twarz Manfreda rozjaśniła się, powiedział:

– Lanthenay, mój bracie! O, mój bracie, przebacz mi!

Po chwili stracił przytomność. W okamgnieniu został ogarnięty przez falę ludzką, która odpływając uniosła go ze sobą.

Po kilku minutach cisza zaległa Luwr.

ROZDZIAŁ XVII

MONCLAR MÓWI O LANTHENAYU

Napad żebraków był piorunem z jasnego nieba. Gdy znikli, burza ucichła. Ukazali się i odeszli jak cienie, które wynurzyły się z mroku.

De Bervieux, kapitan straży, wyrwał sobie włosy z głowy. Rozpacz dzielnego służbisty była straszna. Słyszano, jak powtarzał:

– Jestem zhańbiony! Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć!

Pan de Montgomery, jego adiutant, przez cały czas potyczki nie odstępował delfina, osłaniając go przed niebezpieczeństwem.

– Wasza książęca mość – rzekł – wpierw ja padnę, zanim ktokolwiek dotknie twej piersi.

Delfin przyglądał się potokowi ludzkiemu spokojnie, zbladł jedynie na twarzy. Gdy już zapanowała cisza, rzekł do de Montgomery'ego:

– Panie poruczniku, gdy zostanę królem, mianuję cię kapitanem mej straży.

– A Bervieux, wasza książęca mość? – zapytał de Montgomery, jednocześnie zaś pomyślał: „Tego właśnie chciałem!”

– Bervieux! Spójrz na niego! Leje łzy jak baba. Niestety, bohaterskie czasy odchodzą w przeszłość.

– Wasza książęca mość – odpowiedział Montgomery – stało się to tak niespodziewanie. W Luwrze znajdowała się tylko straż honorowa. Teraz nadszedł oddział szwajcarów i obsadził wszystkie sąsiednie ulice. Ale to już ostrożność nieco spóźniona. – A ponieważ znał doskonale słabostki delfina, dodał: – Aby powstrzymać taką napaść, trzeba by szpady Rolanda. Trzeba by Durandala spod Roncevaux!

Delfin uśmiechnął się i zbliżył do swej małżonki Katarzyny, która – wyniosła i spokojna – nie ruszyła się ze swego miejsca.

– Nie bałaś się, pani? – zapytał.

Katarzyna Medycejska podniosła zdumiony wzrok na męża.

– Ja miałabym się bać? Jeżeli nawet... to o ciebie, delfinie.

– Jej książęca mość tak kocha swego męża! – rzekła Diana de Poitiers.

– Nie tylko ja go kocham – odpowiedziała Katarzyna Medycejska, rzucając na kochankę swego męża spojrzenie pełne nienawiści, jednocześnie uśmiechając się słodko.

W innym kącie księżna d'Etampes opowiadała z ożywieniem, jak jakiś żebrak potrafił ją w chwili, gdy się podniosła, aby zasłonić swym ciałem jego królewską mość.

Wielu dworzan ocierało swe szpady z krwi, która je zbroczyła. Było dużo rannych. Nikt z napastników nie pozostał na placu bitwy, jakkolwiek wielu z nich również padło. Wszyscy zniknęli wraz z tłumem włóczędów.

D'Essé, Sansac i La Châtaigneraie, trzymając się razem, walczyli jak lwy; im to król zawdzięczał, że uszedł cało z tej zawieruchy.

W opustoszałej sali potworzyły się grupki dworzan, wszyscy opowiadali sobie przebieg wypadków, coraz to coś dodając i cytując liczne szczegóły potyczki. Damy dworskie po odzyskaniu przytomności żądne były teraz jak najściślejszych wiadomości, obległy rannych, spierając się o zaszczyt opatrzenia ich ran.

Jarnac, Lézignan i Saint-Trailles opowiadali każdemu, kto tylko chciał ich słuchać, że zabili przynajmniej dwudziestu lotrzyków.

Król oddalił się do swego gabinetu, gdzie odbył wielką naradę z prefektem. Chodził po pokoju wzburzony, a jego podniesiony głos dolatywał aż do dalszych pokojów.

– Tam do licha! – uderzył pięścią w mały stolik, który się rozleciał pod tymi ciosami. – Oto do czego doszliśmy, panie prefekcie! Polecam panu aresztowanie tego nędznego włóczęgi, zapewnia mnie pan, że został on ujęty i że w chwili, kiedy mi to mówisz, wydaje ostateczne tchnienie, a tymczasem tenże włóczęga zjawia się publicznie w Luwrze i lży mnie! Od czego pan jest, panie prefekcie! Czy stracił pan już zupełnie głowę? A może jest pan w zмовie z tą piekielną bandą? Jak to? Napaść na Luwr? Mam wojsko, mam policję, a nikt nie wie, że knuje się napaść? Nie ma nikogo, kto by ją odparł?! A może mam opuścić Paryż i skryć się przy dworze mego kuzyna Karola? Może mi powiesz, że król Francji nie może już być bezpieczniejszy w swym pałacu niż najnędzniejszy z nędznych w swej chałupie! Do czegośmy doszli? Czy jestem jeszcze królem? Mów! Mówże, prefekcie!

Hrabia de Monclar, jeszcze bledszy i jeszcze posepniejszy niż zwykle, spoglądał na króla uporczywym, szklanym wzrokiem, nie uginając czoła.

– Sire – odrzekł zimno – prosiłem cię o pozwolenie wytępienia do szczytu wszystkich mieszkańców Dzielnicy Cudów. Prosiłem waszą królewską mość o to, abym mógł puścić z dymem cały ten śmietnik. Przyjąłeś mą prośbę ze śmiechem. Może teraz zdecydujesz się nareszcie. Myślę, że dzisiejsza lekcja była konieczna.

– Panie prefekcie!

– Sire! Czy jestem jeszcze prefektem waszej królewskiej mości? Jeśli nim już nie jestem, każ mnie, królu, aresztować, a wtedy moje wyjaśnienia będą niepotrzebne. Jeżeli nim jeszcze jestem, racz mnie, wasza królewska mość, wysłuchać spokojnie.

– Spokojnie! To dobre! – przerwał gwałtownie król. – To godne śmiechu! A więc mnich miał rację! Pan de Loyola miał rację, że podwaliny mego tronu rysują się! A więc autorytet władzy królewskiej już jest zachwiany, majestat królewski opluty, pałac splądrowany, a on żąda ode mnie spokoju! Panie! Uważam, że ty masz go aż za dużo! Lecz na Boga, to się musi zmienić! A na początek... Bassignac! – zawołał głośno.

Pokojowiec wpadł wystraszony.

– Sprowadzić mi tu kapitana straży!

Bervieux wszedł niezwłocznie.

– Czekałem w przedpokoju, sire – rzekł stanowczym głosem.

– Bervieux, kto był oficerem służbowym przy głównej bramie?

– Pan de Bervieux, sire.

– Twój syn?

– Tak, on, sire.

– Odbierz od niego szpadę! Jutro wytoczy mu się proces.

– Sire, największym winowajcą jestem ja... Łaski!

– Możesz waść odejść.

De Bervieux opuścił komnatę królewską zataczając się.

– A więc coś mi mówił, panie de Monclar? – rzekł król, nieco uspokojony wydanym przez siebie rozkazem.

– Mówiłem, sire – odpowiedział prefekt tym samym posepnym i lodowatym tonem co zwykle – że musimy uleczyć Paryż z tego wrzodu, który nosi imię Dzielnicy Cudów. Musimy zniszczyć brudne chałupy tej żebraczej dzielnicy i uwięzić wszystkich jej mieszkańców: mężczyzn, kobiety i dzieci. Musimy wytoczyć im olbrzymi proces, który by napełnił cały świat grozą, a potem kazać wybudować dziesięć tysięcy szubienic, aby nie zostało śladu po nędznikach, którzy popełnili dziś ten zbrodniczy czyn. Niech nie zostanie nic prócz wspomnienia o karze, pamiętanej przez całe dziesiątki lat.

Franciszek I spojrział na de Monclara z podziwem.

– A więc chciałbyś powywieszać wszystkich? Nawet dzieci?

– Skazanie ojców i matek nie doprowadziłoby do pożądaných wyników, jeśli pozostawimy przy życiu dzieci. Diabelskie ziarno buntu odrodzi się w nich.

Franciszek I, jeszcze przed chwilą nie panujący nad sobą z wściekłości, z właściwą sobie żywością odrzucił wszelkie troski i odezwał się niemal wesoło:

– A gdzie postawisz owe dziesięć tysięcy szubienic? Wiesz hrabio, że byłoby to cudowne widowisko. Ach, panie de Monclar, jesteś chwilami poetą – poetą okrucieństwa...

– Czy pozostawisz mi więc, najjaśniejszy panie, wolną rękę?

– Dobrze, mości Monclar. Oddaję ci Paryż. Rób, co ci się podoba. – Potem dodał bardzo spokojnie: – Bądź bez litości.

De Monclar pochylił się w ukłonie, rumieniec wykwitł na jego bladych policzkach, widmo potwornej masakry przesunęło się przed jego oczami. Gdy już miał wychodzić, zachwiał się tak bardzo, że musiał uchwycić się najbliższego mebla.

– Co ci jest, hrabio? – zawołał król.

– Drobiazg. Przepraszam... ta słabość nie jest godna mnie.

Wyprostował się z trudem. Wtedy król zauważył, że kaftan prefekta jest przesiąknięty krwią.

– Ależ jesteś ranny?

– Tak, sire.

– I nic mi o tym nie mówiłeś?

– Mieliśmy ważniejsze tematy, najjaśniejszy panie.

– To jeden z tych Cyganów tak ci dogodził?

– Tak, sire... Jeden z najniebezpieczniejszych, ten, o którym już mówiłem waszej królewskiej mości. Nazywa się Lanthenay.

Prefekt idąc sztywnym krokiem opuścił gabinet królewski.

– Nie zazdroszczę owemu Lanthenayowi! – powiedział z uśmiechem król.

W tej samej chwili do gabinetu wszedł żywo bardzo wzburzony Bassignac.

– Co się stało? – zapytał Franciszek I.

– Sire! Pan de Bervieux... kapitan...

– Cóż takiego?

– Odebrał sobie życie.

Król zmarszczył brwi, po chwili rzekł zimnym tonem:

– Dobrze. Idź i powiedz Montgomery'emu, żeby zaarrestował de Bervieux syna, a potem niech przyjdzie do mnie.

ROZDZIAŁ XVIII

NARZECZONY DLA HILETKI

Przez całą noc po ulicach Paryża snuły się patrole konne, a przerażeni mieszczaństwo nie mogli zmrużyć oka. Nazajutrz od samego rana przed murami Luwru rozłożyły się silne oddziały wojska. Wartę powierzono szwajcarom, a kompanie strzelców stały przed każdą bramą. Był to sposób zademonstrowania ludności miejskiej, jak silna jest władza królewska i nastraszenia wojowniczo usposobionych mieszkańców Dzielnicy Cudów.

Jeśli mieszczaństwo, zbudzeni tętentem kopyt oddziałów konnych, spali źle tej nocy, król Francji nie spał wcale. Przewracał się na łóżku, a w myśli miał dwa imiona: Triboulet i Manfred. Oczywiście ośrodkiem wszystkiego była Hiletka. Co do Tribouleta decyzja była prosta: wtrąci się go do któregoś więzienia. Paryż ma ich dosyć, dzięki Bogu.

Manfredem zajmie się policja, należy tylko go schwytac i skazać na kołowanie żywcem, co będzie zbawiennym przykładem dla innych.

Oto nad czym rozmyślał Franciszek I. Jednakowoż, mimo iż wmawiał w siebie, że sprawa jest rozstrzygnięta jak najlepiej, czuł, że pozostaje jakiś ciemny punkt.

Nie! To jeszcze nie koniec, mimo że błazen królewski pozostanie do końca dni swego żywota w więzieniu, mimo że Manfred wstąpi na szafot na placu Greve. Ich śmierć nie zagoi podwójnej rany, jaką czuł w swym sercu.

Hiletka kochała Tribouleta!

Hiletka kochała Manfreda!

Te dwie prawdy stawały przed królem z jaskrawą jasnością.

Nic nie pomogło, że ukazał jej Fleuriala w postaci nędznego błazna królewskiego, w postaci sławnego Tribouleta, znieprawdzonego, pogardzanego przez wszystkich za swoją profesję.

Hiletka widziała w nim tylko ojca!

Nic nie pomogło, że Manfred obraził śmiertelnie dziewczynę wobec licznie zgromadzonych dworaków.

W oczach Hiletki król wyczytał miłość dla młodzieńca.

A on, król, i jego miłość – wszystko to wzgardzone. On, prawdziwy ojciec – odtrącony.

Dwa uczucia: miłość i przywiązanie rodzicielskie toczyły w jego duszy podświadomą walkę ze sobą. Bądźmy sprawiedliwi. Franciszek I był przekonany, że miłość już w nim umarła, ustępując miejsca uczuciu rodzicielskiemu. Tak sądził, lecz jego nienawiść do Manfreda, wzrastająca z każdą chwilą, świadczyła o tym, że jest w błędzie. W chwili gdy poprzysiągł sobie ukarać Manfreda jako zuchwałego włóczęgę, buntownika, nienawidził go bez wątpienia przede wszystkim dlatego, że był kochany przez tę, którą on kochał.

Franciszek I był typem cywilizowanego żołdaka. Pod powłoką kultury, zamiłowania do poezji i innych sztuk pięknych, w gruncie rzeczy był żołnierzem. Uczyniono zeń tenora lubującego się w przygodach miłosnych. A tymczasem był przede wszystkim tym, który zabija.

Jak wszyscy żołdacy z owej epoki, kwestię kobiecą traktował bardzo prosto. Jakaś kobieta podobała mu się, więc ją brał. Przestała mu się podobać, odtrącał ją. Jeśli widział pomiędzy sobą a upragnioną kobietą jakąś przeszkodę, przeszkodę tę usuwał. Kobieta była dla niego jedynie zabawką, z którą się wcale nie liczył.

Dekorował się jedynie w zamiłowanie do sztuk pięknych i do poezji, a to dlatego, że tak sztuka, jak i poezja budziły w nim uczucie pewnego zabobonnego szacunku. Genialne umysły ludzi jego epoki zdumiewały go, toteż chciał zdobyć ich uznanie. Prawie wszyscy wielcy wojownicy byli do niego podobni. Fryderyk Wielki... w starożytności Aleksander. Wszyscy oni starali się zdobyć miejsce w szeregach myślicieli, zdawali się wstydzić swego powołania: morderców ludzi. Jedynie Napoleon spośród owych krwawych geniuszy nie usiłował tłumaczyć się przed światem ze swych krwiożerczych instynktów. Afiszował się pogardą do wszystkiego, co nie miało związku z ludzkimi jatkami.

A więc zamiłowanie do sztuki i do literatury było we Franciszku I jedynie pozorne, przysłaniało jego prawdziwe myśli. A myśli te kierowały się na bitwy; nie na wojny, nie na kunszt strategiczny, lecz zwykłe bitwy, proste bójki, na przyjemności obsypywania kogoś razami. W gruncie rzeczy było to uczucie i instynkt myśliwego z epoki jaskiniowej.

Wahał się ciągle pomiędzy przyjemnością dorównania Maratowi i Rabelais'mu. Instynkt zabijania kazał mu stronić od wszystkiego, co pisze i myśli.

Stąd owe dziwne przeciwieństwa, o których mówi historia.

Czymże była Hiletka w oczach tego zwycięzcy spod Marignan?

Małą dziewczynką, zabawką.

Obudziła w nim namiętność, która wzrastała, podsycana jej oporem. Usiłował wmówić w siebie, że żyło w nim uczucie rodzicielskie. Być może, że sam wierzył w to, niezdolny do czytania swej duszy.

Toteż, gdy mu się zdawało, że znalazł wyjście z zawilej sytuacji, nie przypuszczał ani przez chwilę, że popełnia czyn potworny, tak samo jak nie przypuszczał, że go popełnia, zawiadamiając Ferrona o zdradzie żony i doręczając mu nawet osobiście klucz od domu, w którym to się działo.

Gdy nastał ranek, przywołał trzech oddanych sobie przyjaciół. D'Essé, Sansac i La Châtaigneraie, jeszcze niezupełnie wyleczeni ze swym ran, spędzili noc w Luwrze, jak wielu innych dworzan, chcąc bronić króla na wypadek, gdyby banda włóczęgów zechciała urządzać powtórny napad.

Przywitali się z królem, siedzącym w wielkim fotelu przy kominie i pogrążonym w zadumie.

Nagle król rzucił pytanie:

– La Châtaigneraie, jak ci się podoba księżna de Fontainebleau?

Trzej dworacy spojrzeli po sobie niepewni.

– Sire – odpowiedział zapytany – uważam, że księżniczka de Fontainebleau jest bardzo piękna.

– Bardzo piękna! – rzekł król potakując skinieniem głowy. – To prawda. A ty, Sansac?

– Ja, najjaśniejszy panie, znajduję, że jest zachwycająca.

– Zachwycająca, to prawda. A ty d'Essé?

– Sire, jestem oślepiiony jej urodą.

– Bardzo dobrze, wszyscy więc zgadzacie się z tym, że księżna jest piękna i godna miłości?

Tym razem dworacy spojrzeli po sobie z niepokojem. A może pośpieszyli się zbyt z zachwytem? A może należało powiedzieć, że Hiletka jest niedostatecznie piękna? Najważniejsze było domyślić się, jakiego zdania był król.

Ten szczęśliwie wyprowadził ich z zakłopotania:

– Słowa wasze dowodzą, że umiecie patrzeć. A teraz posłuchajcie mnie uważnie: nadaję księżniczce mą posiadłość Fontainebleau imam zamiar wydać ją jak najprędzej za męża.

Niepokój dworaków zamienił się w zdumienie: „A więc nowo kreowana księżna nie była kochanką królewską? Albo może miał jej już dosyć? Co się stało?”

– Szukałem – rzekł Franciszek I podnosząc się z miejsca – dla niej męża... I nie widzę nikogo odpowiedniejszego nad jednego z waszej trójki.

– Sire! – zawołali zachwyceni dworacy.
– Tak, tak! Mężem tym będzie jeden z was trzech: lecz który? Nie wiem jeszcze. Trzeba żeby ten, którego wybiorę zasłużył na ten wybór.

– Sire! Jesteśmy gotowi uczynić wszystko, aby...

Król milczał przez chwilę, potem tonem obojętnym oświadczył:

– Księżna de Fontainebleau poślubi tego z was, który schwyta włóczęgę zwanego Manfredem!

Oto co umyślił Franciszek I: Odda Hiletkę temu, który pochwyti i wyda w ręce sprawiedliwości kochanego przez nią człowieka.

Trzej dworacy złożyli głęboki ukłon, szepcząc wyrazy wdzięczności. Król przerwał:

– Panowie, powiedziałem i nie cofam mych słów. Ten spośród was, który przywiedzie mi tego zuchwalca, zostanie małżonkiem księżniczki.

– Sire! Kiedy mamy przystąpić do dzieła?

– Natychmiast! – odpowiedział król.

Tegoż samego dnia o wieczornej porze trzej przyjaciele siedzieli przy stole w oberży de la Devinière, poprzednio zwanej oberżą „Pod Jeżozwierzem”, a którą przechrcił sam Rabelais odwiedzający ją często.

Oberża ta, położona w samym sercu Paryża, to znaczy przy wylocie ulicy św. Dionizego, była utrzymywana przez małżonków Gregoire. On, z dolegliwościami wątroby, otyły, urzędował zawsze przy ognisku, nad którym piekło się przeróżne ptactwo. Był to dzielny człowiek albo przynajmniej taki, którego zawsze nazywano dzielnym człowiekiem. Zajmował się sprzedażą wina po możliwie najwyższej cenie i, nie wtrącając się do żadnych spraw tego świata, dbał jedynie o powiększenie swych oszczędności. Ona była typem wygadanej bystrookiej kumoszki. Mistrz Rabelais, wielki znawca, przezwał ją „soczystą i tłusciutką przepiórką z dziobkiem nadstawionym do pocałunku”. Pani Gregoire była zachwycająco pulchna, jednakże nie nadmiernie, i miała wszędzie dołki: na policzkach, na podbródku i na białych, zawsze obnażonych łokciach. To ją właśnie mistrz Rabelais skłonił do zmiany szyldu oberży, gdyż chcąc mu się przypodobać i zasłużyć na miano „boskiej” nie mogła mu niczego odmówić.

Oberża de la Devinière była tłumnie odwiedzana przez Paryżan; był tam pewien gatunek wina andegaweńskiego, wprowadzonego w modę przez tegoż Rabelais'go, i smaczna kuchnia.

Małżeństwo Gregoire miało jedną jedyną pociechę, którą obdarzył je chyba sam diabeł. Wypędek ten, liczący podówczas mniej więcej lat piętnaście, chociaż wyglądał zaledwie na dwanaście, był chudy i wąły, źle ubrany, lecz chytry i zwinny jak małpa. Miał na imię Landry, a bywalcy oberży dodali jeszcze do tego imienia dodatkową nazwę, mając na myśli jego mały wzrost: Landry-Knot.

Otóż owego wieczoru trzej przyjaciele zasiedli przy stole w oberży de la Devinière. Przed nimi stała butelka andegaweńskiego wina.

Sala ogólna, wielka, piękna, przybrana w naczynia miedziane, porozstawiane na półkach, mieściła dużo pięknie wywoskowanych stołów i jeszcze więcej rzeźbionych taboretów. Było tam również sporo mniejszych sałek dla gości pragnących upijać się bardziej kameralnie: nazywano je separatkami. W jednej z takich separatek trzej nierozłączni przyjaciele zasiedli przy winie, po skończonej służbie w Luwrze.

– Najważniejszą rzeczą jest – zabrał głos Sansac, podtrzymując rozmowę rozpoczętą już w drodze – dowiedzieć się, czy...

Przerwał, szukając odpowiedniego wyrazu, lecz towarzysze zrozumieli go od razu.

– Tak – odparł d'Essé. – Powiadają bowiem, że...

– Tam do licha! – zawołał La Châtaigneraie. – Nie ma żadnych dowodów! To tylko ta stara gadatliwa sroka Diana rozpusza tę wersję. Powinna by trzymać język za zębami. A zresztą, gdyby nawet tak było... – dodał z cynizmem.

– O, przepraszam – wtrącił d'Essé. – Wcale mi się nie uśmiecha małżeństwo z kochanką innego.

– Nawet gdyby tym innym był Franciszek I de Valois, król Francji, przeznaczający w posagu posiadłości Fontainebleau?

Trzej przyjaciele spowaźnieli i spojrzeli po sobie, a Sansac mówił dalej:

– Nie rozumiem, po co wszczynamy ten spór? Co za sens dyskutować nad szczegółem, którego nie znamy? Zgadźmy się na propozycję króla czy też nie?

– Ja się zgadzam! – oświadczył La Châtaigneraie.

– Ja również – dodał d'Essé.

– I ja! – zakończył Sansac.

Po pozbyciu się tej troski natury moralnej, która ich zresztą niewiele obchodziła, trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem, wychylili kubki i kazali podać świeżą flaszkę.

La Châtaigneraie mówił dalej:

– Postanowione więc tedy, że połączymy nasze wysiłki, aby pochwycić włóczęgę. Każdy z nas sam doznałby może zawodu, razem na pewno zwyciężymy.

– Zgoda! – odpowiedzieli dwaj pozostali.

– Należy tylko ustalić, kto z nas trzech poślubi ślicznotkę. Sposób, jaki wam proponowałem...

– Zgadźmy się na to!

– Kości! – wykrzyknął La Châtaigneraie donośnym głosem.

Pani Gregoire, uprzejma i usłużna, przyniosła je sama. Gdy drzwi się za nią zamknęły, Sansac pochwycił w rękę kubek.

– Zaczynam! – zawołał.

Potrząsnął silnie i wyrzucił kości na stół.

– Jedenaście! – zawołał z widocznym wzruszeniem.

– Teraz moja kolej – rzekł d'Essé.

Lekko poruszony zakręcił kubkiem i wytrząsnął jego zawartość.

– Cztery! – powiedział rozczarowany, po czym zerwał się z miejsca i cisnął metalowym kubkiem o ścianę.

– A teraz ja! – rzekł La Châtaigneraie podnosząc kubek. Włożył kości do środka i potrząsając nimi, zapytał: – Czekajcie chwilę, a jeśli wyrzucę również jedenaście, to co wtedy?

– Zaczniemy na nowo! – zawołał d'Essé z iską nadziei.

– Będziemy rzucać jeszcze raz, ale tylko La Châtaigneraie i ja! – oświadczył brutalnie Sansac.

La Châtaigneraie rzucił kości i krzyknął ochrypłym głosem:

– Dwanaście!

Sansac zaklął straszliwie.

– Ja poślubię Hiletkę, księżnę de Fontainebleau, w dniu, w którym pochwycimy włóczęgę! – obwieścił z triumfem La Châtaigneraie.

Radosny uśmiech zajaśniał na jego twarzy, dwaj kompani skinęli głową na znak zgody, tłumiąc w duszy wściekły gniew. Potem wszyscy trzej przypasali szpady i opuścili oberżę

Tak to Hiletka Chantelys została narzeczoną Franciszka de Viconne, pana La Châtaigneraie'a.

ROZDZIAŁ XIX

CYGANKA

Owej pamiętnej nocy, kiedy mieszkańcy Dzielnicy Cudów powrócili z napadu na Luwr, cała ta część Paryża przedstawiała zaiste ciekawy widok.

Pośrodku dużego kwadratowego placu położonego między brudnymi domami tkwiła wysoka pika z kawałkiem padliny. Dokoła rozpalono wielkie ogniska. Na stołach ustawiono dwie beczki wina, każdy mógł utoczyć go sobie, ile chciał. Dokoła ognisk zgromadziły się tłumy, kobiety opatrywały licznych rannych, trzech zabici, przyniesieni z pobojowiska, zostali złożeni na stołach, a zebrane wokół nich stare kobiety lamentowały śpiewnie, głosząc cnoty poległych. Tłum zgromadzony na placu milczał.

Wyprawa ta zbudziła w sercach żebraków duży niepokój i przeczucie nowego, jeszcze cieklejszego starcia – nie wyobrażali sobie, aby na tym mogło się skończyć. Wszyscy byli w pogotowiu, wyczekując nieprzyjaciela, mężczyźni nie odpasywali broni, kobiety budowały pośpiesznie barykady na wszystkich uliczkach wiodących do placu. Dokoła tej improwizowanej twierdzy wystawiono posterunki i straż, która czuwała również dalej, aż pod samym Luwrem.

Manfred został przeniesiony do jednego z domów położonych w samym środku Dzielnicy Cudów, gdyż Lanthenay uważał, że ich mieszkanie przy ulicy Froidmantel nie było bezpieczne. Nie opuszczający przyjaciela ani na krok Lanthenay zajął miejsce przy jego łóżku. Wezwana matka Gypsie jęła opatrywać jego rany. Smarowała je zrobioną przez siebie maścią, owinęła w bandażę, położyła kompresy, czyniąc to z taką zręcznością i tak szybko, że ranny zaledwie czuł dotknięcie jej palców.

– Skończone! – oświadczyła. – Trzy dni leżenia cię uzdrowią. – Po czym dodała wzruszając ramionami: – To nie rany po szpadzie, to ukłucia szpilki,

Manfred kiwnął potakująco głową.

– Nasi mierzą lepiej, gdy chcą trafić – mówiła dalej stara w zamyśleniu, przenosząc spojrzenie z Manfreda na Lanthenaya.

Manfred wpatrzył się w przyjaciela. Nie wszczynali ze sobą rozmowy, nie było jeszcze żadnych wyjaśnień. Nic – tylko trochę więcej czułości braterskiej w spojrzeniu i w tonie, jakim mówili o rzeczach banalnych, ale to właśnie świadczyło, że w ich sercach nie pozostało śladu po przelotnym nieporozumieniu.

Uściskali się i... słowa były już niepotrzebne.

– A więc – zapytała nagle Gypsie – prefekt jest ranny?

– Ranny! – odpowiedział Lanthenay.

– Tyś zadał mu ranę? Na pewno ty? Jesteś tego zupełnie pewny, mój synu? – dopytywała, a jej głos brzmiał dziwnie słodko.

Należy pamiętać, że w rozmowie z Lanthenayem nie szafowała zbyt wyrazem „mój synu”. Mówiła doń tak tylko w bardzo ważnych chwilach.

– Jestem tego zupełnie pewny! – odparł Lanthenay wzdrygając się.

Wyraz „syn” w ustach Cyganki i ton, jakim bywał on wymawiany, sprawiał na nim zawsze dziwnie niemiłe wrażenie.

– To świetnie! – rzekła stara, a wyraz jej oczu mówił, iż rzeczywiście była zachwycona.

– Dlaczego?

Pokiwała powoli głową i szepnęła przez zęby:

– Jakże losy ludzkie dziwnie się splatają... Rzeczywiście, wszystko to jest dziwne. Potem dodała nagle zaniepokojona: – Lecz rana jego nie jest niebezpieczna?

– Sądzę, że nie – odparł Lanthenay.

Wtedy z ust Gypsie padły słowa, których znaczenia nie mógł zrozumieć ani Manfred, ani Lanthenay.

– Bo nie wolno mu umrzeć... ja nie chcę... to byłoby niesprawiedliwe!

Jasne jest dla wszystkich bez wątpienia, że banda żebraków obiegra Luwr, idąc za namową Lanthenaya. Od pierwszej chwili zrozumiał on, że postanowienie udania się do Luwru było w Manfredzie niezłomne.

– „Co robić? – myślał. – Towarzyszyć mu aż do Luwru?” Była to pewna śmierć, żaden z nich nie uniknąłby jej. A tymczasem Lanthenay kochał i chciał żyć. Przystałby na śmierć tylko w takim przypadku, gdyby nie było innego wyjścia z sytuacji.

Przedsięwziął więc zuchwałą myśl napadu na Luwr. Manfred będzie w Luwrze, wtargnie się więc do wnętrza pałacu w ślad za nim.

Cały ten czas, kiedy jego przyjaciel siedział zamknięty w ich mieszkaniu przy ulicy Froidmantel, Lanthenay poświęcił na urobienie sobie głównych przywódców stanu żebraczego: Króla Złodziei, Księcia Egiptu, Cesarza Galilei i co najznamienitszych książąt i wielmożów z Dzielnicy Cudów.

Lanthenay musiał walczyć z ich oporem – propozycja jego wydała im się szalona. Owi odważni .zazwyczaj kompani decydowali się na niektóre zuchwałe przedsięwzięcia tylko wtedy, gdy wiedzieli dokładnie, o co chodzi i gdy oceniali, że sprawa zasługuje na ryzyko, to znaczy, że da się wyciągnąć z niej jakieś korzyści.

Doprowadzony tym ich niezdecydowaniem do rozpaczy, Lanthenay zwołał walne zgromadzenie wszystkich żebraków. Odbyło się ono w przeddzień udania się Manfreda do Luwru.

Owej nocy blisko dziesięć tysięcy mężczyzn i kobiet napłynęło do Dzielnicy Cudów i rozmieściło się w przepisowym porządku: Egipcjanie i Egipcjanki ze swymi tamburynami, dalej szła grupa kalek, potem wielka armia złodziei – każda kompania na wyznaczonym dla niej miejscu, a na samym końcu obywatele Cesarstwa Galilejskiego.

Wielka cisza zawisła nad tym tłumem. Zgromadzono się nie na ucztę. Jednakowoż trunek lał się. Plac zastawiono ławami i stołami rozmieszczonymi dokoła ognisk.

W pewnej chwili poplecznicy książęcy, książęta-żebracy, urzędnicy, i słudzy jęli sprawnie przebiegać szeregi zgromadzonych, informując ich, o co chodzi – i nie upłynęło kilka minut, gdy wszyscy, aż do ostatniego włóczęgi, wiedzieli już wszystko.

Podniósł się głośny pomruk, gwar ludzi spierających się ze sobą. Trwało tak z dziesięć minut, wreszcie zaczęli przemawiać przywódcy.

Najpierw Król Złodziei o imieniu Tricot.

W dzień uprawiał czcigodne i dochodowe rzemiosło żebraka, nocą zaś jeszcze czcigodniejsze i jeszcze bardziej dochodowe – złodzieja. Te odmienne role nie przemęczały go zbyt, mógł jeszcze tworzyć ballady, które wyśpiewywał, gdy był w dobrym humorze.

Wdrapał się na beczkę i odezwał donośnym głosem:

– Kochamy wszyscy naszego brata Manfreda. Lecz czego pcha się on do Luwru? Po co my tam pójdziemy? Nie chcemy mieszać się w przygodę, której wyniki mogą być straszne, a następstwa jeszcze straszniejsze dla całego naszego państwa. Skończyłem.

Ta krótka przemowa, wygłoszona chrapliwym głosem, której towarzyszyły gwałtowne ruchy, została przyjęta milczeniem. Zresztą czekano, aż się wypowiedzą inni przywódcy.

Lanthenay stojący u stóp tronu, to znaczy oparty o beczkę, na którą wdrapał się Tricot, gryzł wargi pełen niepokoju.

Książę Egiptu mówił mniej więcej w tym samym sensie, co Tricot. Cesarz Galilei wypowiedział się również za powściągliwością.

Wtedy rozległ się gwar po wszystkich kątach, rozpoczęły się narady. Nieskończenie liczniejszy tłum pragnął obyć się bez zezwolenia szefów i ruszyć tłumnie na odsiecz Manfredowi. Powaga jednak przywódców była tak silna, że ani jeden głos nie ośmielił się na wyrażenie protestu. Nagle tuż przy tronie Tricota ukazała się Gypsie.

– Gypsie ma głos! – rozległo się ze wszystkich stron.

Stara Gypsie stanęła przy Królu Złodziei i zaczęła mówić. Jej ostry, energiczny głos rozbrzmiewał donośnie, a z ust padały słowa mocne i przekonujące:

– Posłuchajcie mnie wszyscy! Muszę wam powiedzieć to, co żyje w moim sercu i co wy czujecie na pewno również. Przed chwilą mówiono z wami nie jak z mężczyznami, lecz jak z babami godnymi tego, by je sprzedać jak bydło na jarmarku. Znieśliście to ze spokojem. Jesteście tchórzami!

Zamilkła na chwilę.

Pomruk przeszedł po szeregach zgromadzonych, gęsto stłoczony tłum słuchał jej słów z głębokim zaciekawieniem.

Gypsie ze swymi siwymi rozwianymi włosami, z wychudłymi rękami podniesionymi do góry, jakby miała rzucić na kogoś klątwę, zdawała się być jakimś duchem. Jej wyschła postać, oświetlona blaskiem czerwonych ogniów, budziła w zgromadzonych kawalerach księżycą chęć do walki. Energiczne przemówienie, które wygłosiła, zatarło zupełnie wrażenie rozsądnych rad króla Tricota. Jej obelgi, rzucone ostrym głosem, pogłaskały ich po sercu jak pieśczośliwe dotknięcie ręki.

Zaczęła mówić dalej:

– Nie ma wśród was chyba ani jednego, który by w głębi serca nie uczuł gniewa i wstydu na myśl, że jeden z jego braci nadaremnie wzywa pomocy, i to który? Najlepszy z najlepszych! Najwaleczniejszy z walecznych! Mężczyźni, posłuchajcie mnie! Oto, co wam powiem. Mój syn przybrany, Lanthenay, powiedział wam przed chwilą, że drugiemu memu synowi, Manfredowi, grozi poważne niebezpieczeństwo. Jeśli wy nie usłuchacie tego wezwania, kobiety pójdą ze mną. Udam się do Luwru na czele waszych bab! Skończyłam!

Słowa te wywarły zdumiewające wrażenie.

Pogróżka Gypsie, że poprowadzi na Luwr oddział ładacznic z Dzielnicy Cudów, wywołała entuzjazm i taką burzę oklasków, że zadrżały mury okolicznych domów. Ze wszystkich stron rozlegały się okrzyki:

– Na Luwr! Na Luwr!

– Na odsiecz!

– Bij! Zabij! Rozbijaj! Morduj!

Król Złodziei, Tricot, powstał i machnął ręką. A kiedy na placu znów zaległa grobowa cisza. Król Złodziei zapytał:

– Chcecie iść na Luwr?

Rozległ się ogłuszający krzyk:

– Tak jest! Pójdziemy na Luwr!

Gypsie widząc, że dopięła swego, zeskoczyła z beczki służącej jej za trybunę, szybko podeszła do Lanthenaya, wzięła go za rękę i rzekła:

– Widzisz! Beze mnie nie wskórał byś nic.

– To prawda, matko Gypsie.

– Przypomnij to sobie – dodała dziwnym głosem – że dzięki mnie napadniesz na Luwr i podniesiesz zbrodniczą rękę przeciw władzy królewskiej.

Lanthenay znowu poczuł się nieswojo.

Gypsie dodała nagle:

– Być może, że spotkasz się tam z...

– Być może!

– I to znowu dzięki mnie.

Lanthenay oddalił się. Stara odprowadziła go spojrzeniem, a jej oczy rozświetliła okrutna radość.

ROZDZIAŁ XX

MANFRED I LANTHENAY

Czas już, abyśmy zadowolili słuszną ciekawość czytelników, podając chociaż trochę szczegółów z życia dwóch młodzieńców, znanych nam już pod imieniem Manfreda i Lanthenaya.

Pewnego dnia przed wielu laty zjawiła się w Paryżu rodzina Cyganów składająca się z ojca, matki, dwudziestoletniego zucha i zupełnie małego chłopca. Przybyli oni z Włoch,

Minęli góry i przeszli przez Francję w przeciągu dwóch lat, klucząc, zbaczając z prostej drogi na prawo i na lewo, zupełnie tak, jakby im zależało na zatarciu za sobą śladów.

Po przybyciu do Paryża Cyganie udali się, rzecz oczywista, do Dzielnicy Cudów. Każdy żebrak, przewoźnik, kuglarz, żongler, muzykant grający na bębenku, słowem, każdy z ulicznych sztukmistrzów, których włóczyło się podówczas po świecie bardzo dużo, witał wędrowców porozumiewawczym znakiem i wskazywał im drogę.

W Dzielnicy Cudów podróżni zamieszkali w małym brudnym domku, choć byli dosyć zamożni, jeśli sądzić z tego, co opowiadali o nich najbliżsi sąsiedzi. Słyszano nieraz, jak brzęczało liczone przez Cygankę złoto. Nieraz widziano ją wymieniającą dukaty z podobizną papieża Aleksandra Borgii. Mimo to jednak bez chwili zwłoki cała rodzina zabrała się do pracy.

Ojciec włóczył się po ulicach miasta sprzedając małe trzciniowe koszyczki, które z dużym artyzmem i zręcznością sam wyrabiał. Żona jego wróżyła. Syn pracował w nocy, trudniąc się dochodowym i szlachetnym rzemiosłem złodzieja. Mały chłopiec pozostawał w domu. Cyganka miała na imię Gypsie. Małym chłopcem był Manfred.

Najwidoczniej nie należał do rodziny ani nie był Cyganem. Jego rysy były delikatne, skóra biała, jakkolwiek lekko opalona na wolnym powietrzu. Twarz miał żywą, oczy łagodne i błyszczące, głos miły i uprzejmy, stał się więc wkrótce bożyszczem całej Dzielnicy Cudów.

Wypytywana o dziecko Gypsie zachowywała ostrożne milczenie. Czasem jednak odpowiadała, że dziecko to pochodzi z pewnej włoskiej rodziny, która nie mając środków do życia, pozbyła się go, sprzedając je pierwszej grupie Cyganów, jaka się nadarzyła.

Wyjaśnienie to wydawało się wystarczające niefrasobliwym mieszkańcom Dzielnicy Cudów i przeszłość Manfreda pozostała nadal ciemna.

Musimy zaznaczyć jednak, że pewnego dnia przybyła na dwór króla francuskiego jakaś dama, nosząca tytuł księżnej Ferrary, a która była, jak wiadomo, córką papieża Aleksandra Borgii. Owa pani bawiła tydzień w Paryżu i wróciła do Włoch. Otóż dowiedziano się, że Gypsie widziała się z księżną Ferrary, o której przyjeździe, nie wiadomo jakim sposobem doszły ją wieści. Miała z nią długą naradę, zdarzenie to jednak przeszło w owej chwili bez wrażenia.

Mały Manfred, podziwiany przez wszystkich żebraków, pieszczony, ściskany i psuty przez wszystkie dziwki, росł silny i piękny.

Ową spokojną egzystencję rodziny Cyganów zmącił nagły i przykry wypadek: syn Gypsie został aresztowany. Cyganka żywiła dla niego wyjątkowo tkliwe i silne uczucie. Chętnie oddałaby życie, aby tylko uchronić swe dziecko przed najmniejszą przykrością. Dla mężczyzny, którego los dzieliła, nie była zbyt czuła, Manfred był jej obojętny, lecz syna uwielbiała, wkładając w tę miłość całą swą duszę. Przyczyny aresztowania młodego Cygana nie są nam

znane; prawdopodobnie był przyłapany na grabieży dokonanej na jakimś mieszczańinie, który zbyt późno zapuścił się w jedną z uliczek Dzielnicy Cudów. Dostyć na tym, że skazano go na powieszenie za kołnierz, aż do chwili, gdy śmierć wybawi go z mąk.

Nie będziemy opisywać szalonej boleści Gypsie; powiemy tylko, że cierpienie jej było bezgraniczne. Podobna była do tygrysy stojącej w obronie swych małych. Błądziła dniami i nocami dokoła więzienia, błagając dozorców, obiecując im skarby za wypuszczenie syna. Pewnego dnia udało jej się podejść do hrabiego de Monclara, wtedy sądziła przez chwilę, że jest ocalona: on miał prawo ulaskawić biedaka!

Prefekt wysłuchał uważnie zawitych prośb matki szlochającej u jego stóp. Wszystko, co tylko dusza ludzka może wyrazić słowami, aby wzruszyć i obudzić litość w drugiej duszy, wszystko to padło z ust zrozpaczonej Gypsie. Gdy skończyła mówić, prefekt odwrócił się do niej plecami bez słowa odpowiedzi.

Nazajutrz młody Cygan został powieszony. Gypsie wytrzymała przy egzekucji aż do końca. Nie zemdłała. Nie płakała. Poprosiła tylko, aby wydano jej ciało syna. Odmówiono jej; zwłoki skazańców rzucano przecież do specjalnej kostnicy na Montfaucon. Wtedy poprosiła, aby jej pozwolono chociaż ucałować zwłoki dziecka. Na rozkaz prefekta, którego ta jęcząca kobieta znudziła swymi łzami, odepchnięto ją brutalnie.

Wówczas odeszła. Wróciła do dawnych zajęć i wkrótce wszyscy byli przekonani, że zapomniła o tragicznym przejściu. Gdyby miało być inaczej, mieszkańcy Dzielnicy Cudów byłiby bardzo zdumieni, śmierć bowiem przez powieszenie była chlebem powszednim w ich gronie. Każdemu z nich groziło kiedyś to samo. Toteż obojętność Gypsie, z jaką przyjęła śmierć ukochanego syna, nie wydała się nikomu dziwna.

Od tych wydarzeń upłynął blisko rok. Pewnego dnia zauważono, że Manfred ma towarzysza. Był to mały chłopak w jego wieku, to znaczy mający mniej więcej cztery lata. Chłopak ten bez przerwy zalewał się łzami.

Co to było za dziecko? Cyganka zapytana o to przez starszyznę Dzielnicy Cudów, roztańczającą pewnego rodzaju dozór nad jej mieszkańcami, odpowiedziała, że dziecko to powierzono jej opiece.

– Kto?

– Ludzie... pewna rodzina...

– Jacy ludzie? Jak się nazywają?

– Lanthenay! – odpowiedziała Cyganka na chybił trafił wymieniając nazwę wsi, przez którą kiedyś przejeżdżali, a która teraz przyszła jej nagle na myśl.

Nie wypytywano jej więcej o nic. Imię Lanthenay rzucone przypadkowo przez Cyganek, przykleiło się do dziecka. Nikt już nie interesował się jego obecnością w mieszkaniu Gypsie. Nikogo nie obchodziło, czy Cyganka ukradła chłopca czy nie. Zdawało się, że wyrósł nagle na błotnistym gruncie Dzielnicy Cudów: przyjęto go bez dalszych zastrzeżeń.

Dziecko było bardzo ładne, miało łagodne oczy i gęste, jasne, wijące się włosy. Przez pierwszych kilka dni chłopiec ciągle płakał i wzywał matkę. Należy przyznać, że Gypsie czyniła wszystko, aby go uspokoić. Była dla niego prawdziwą matką. Wszyscy, którzy widzieli, jak bierze dziecko w ramiona, jak tuli do piersi, wyobrażali sobie, że Cyganka jest naprawdę matką małego Lanthenaya.

Teraz było dla nich już całkiem jasne, dlaczego Cyganka pocieszyła się tak szybko po stracie syna – oto przywiązała się do dziecka, którego ojcem był na pewno jakiś możny pan. Dziecko to bowiem nie było na pewno cygańskim dzieckiem, uroda zaś Gypsie mogła podbić serce niejednego największego pana.

A więc w małym domku mieszkali dalej mąż, zajęty sprzedażą trzciniowych koszyków. Cyganka, pocieszona już pozornie po stracie syna, i dwóch chłopców – Manfred i Lanthenay, obaj niewiadomego pochodzenia.

Upłynęło kilka lat, otoczenie Cyganki zmieniło się; ludność Dzielnicy Cudów odnawiała się bezustannie, jak woda w bystrym strumieniu.

Mały Lanthenay szybko zapomniał o przeszłości. Powoli przestał wzywać nieobecna matkę. Zaczął się bawić z Manfredem, okazującym mu dużo sympatii; zaczął biegać po wąskich uliczkach Dzielnicy Cudów, a jego mały przyjaciel służył mu zawsze za przewodnika. Pewnego dnia zaczął nazywać Cygankę „matką”. Wkrótce przeszłość zatarła się zupełnie w jego pamięci. Gdy miał dziesięć lat, zdumiałby się, słysząc, że nie zawsze był wśród Cyganów.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy nazwał ją matką, radość Gypsie była niezmierna. Nie okazała tego jednak. Cyganka, zdawało się, kochała Lanthenaya, a przynajmniej czyniła wszystko, aby dać chłopcu całkowite złudzenie, że jest kochany. Nigdy jednak jej wargi nie dotknęły czoła ani policzków dziecka, nigdy pocałunek macierzyński nie powiedział Lanthenayowi, że ma matkę.

Zupełnie była tedy zrosła wielką przyjaźnią, jaka połączyła Manfreda i Lanthenaya. Jednakowy wiek, podobne usposobienie, jeden i drugi niewiadomego pochodzenia. Wzrosli razem, zupełnie nieświadomi wszelkich nauk, z wyjątkiem sztuki robienia bronią i ćwiczeń cielesnych.

Mieli zaledwie po piętnaście lat, albo coś około tego, a już dzięki wybujałym postaciom, odwadze, łatwości, we władaniu bronią cieszyli się pewnym wpływem i budzili szacunek w gronie młodzieży Dzielnicy Cudów.

Pewnego dnia, gdy Lanthenay zabierał się do wyjścia z domu, aby się spotkać z Manfredem, zatrzymała go Gypsie. Bez żadnych wstępów, jak gdyby to było rzeczą już od dawna przez nich omówioną, zwróciła się do niego ze słowami:

– Czas już, żebyś zabrał się do pracy.

Praca? Lanthenay rzucił pełne zdumienia spojrzenie na tę, którą zwykł był nazywać matką.

– Do pracy? Po co? Co mam robić?

– Pomyśl nad tym. Wszyscy spośród nas pracują.

– Czy mam nauczyć się wyrabiania koszyków? – zapytał z uśmiechem.

Gypsie porwała go za rękę.

– Po co w takim razie nasi mężczyźni uczyli cię władania bronią? Po co uczyli się fechtunku i walki na szable?

Zajrzała mu przenikliwie w oczy.

– Cóż chcesz, żebym robił? – szepnął zrozpaczony tym, że nie może odgadnąć, co miała na myśli.

– Słuchaj – rzekła z zapalem – jesteśmy obywatelami królestwa złodziei. Jedną jest tylko praca dostępna dla ciebie, rzeczywistego jego obywatela. Bo jesteś nim! – dodała powoli, jakby z zewnętrznym zadowoleniem. – Jesteś najprawdziwszym synem włóczęgi. Sam będziesz czasem doskonałym włóczęgą i złodziejem. Już teraz, jako młody chłopak, potrafisz zbudzić lęk w sercach twoich przeciwników. Bądź groźny również poza granicami naszego królestwa. Spójrz na naszych mężczyzn... Czym oni się trudnią? Gdy noc zapadnie, opuszczają swe domostwa i idą do miasta. Z nastaniem dnia powracają i przynoszą pieniądze... Czy chcesz, żebym poprosiła jednego z tych śmiałków, aby cię nauczył owej nocnej pracy na obcym terenie?

Lanthenay zrozumiał. Wstrząsnęło nim dziwne uczucie. Nigdy jeszcze jego obecne położenie i to, co go czeka w przyszłości nie stało przed nim z taką wyrazistością.

Był włóczęgą, wychowankiem złodziei, a więc i sam był złodziejem.

– Czeka na odpowiedź – rzekła Cyganka.

– Matko Gypsie... – urwał, zawahał się.

– Dlaczegoż dzisiaj mówisz mi: „matko Gypsie”? Dotychczas nazywałaś mnie tylko „matką”.

„Skąd nagle taka zmiana? – pytał w duchu sam siebie. – Miałożby uczucie dla matki nagle ochłodzić?” – Nie mógł sobie odpowiedzieć na to pytanie. Odruch ten był zupełnie podświadomy.

Gypsie patrzyła na niego z prawdziwym niepokojem. W jej duszy zrodził się głęboki niepokój.

– A więc już nie jestem t w o j ą m a t k ą? – rzekła.

Spojrzał na nią niepewnie. Chciał ją uspokoić, uściskać... nie mógł! Odruchowo szepnął:

– Matko Gypsie!

Uśmiechnęła się blado i wypuściła z ręki jego dłoń, którą mocno ścisłała w swej dłoni.

– Posłuchaj mnie – rzekła głosem powolnym i gardłowym; takim głosem przemawiała w chwilach gwałtownego wzruszenia. – Jesteś moim synem... co prawda nie z urodzenia, nie z krwi, mimo to jesteś moim synem. Twój ojciec opuścił cię... Był to człowiek ubogi... Matka twoja umarła w trzy dni po wydaniu cię na świat. Przygarnęłam cię, wychowałam, przywiązałam się do ciebie głęboko, jeszcze bardziej niż do Manfreda. Co mówię? Manfred jest dla mnie tylko obcym dzieckiem, które wychowałam z litości. Ty jednak jesteś moim synem... tak... moim synem...

Powtarzała ten wyraz, kładąc na niego nacisk, jak gdyby pragnąc wyryć go w pamięci młodzieńca na zawsze.

– Wiem o tym – powiedział. – Wiem doskonale, co dla mnie uczyniłaś. Żywię dla ciebie wdzięczność, która umrze wraz ze mną.

– Wdzięczność! – krzyknęła z goryczą.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– A co do twojej propozycji – dodał – zastanowię się nad nią, m a t k o.

Wyraz ten wymówił z pewną odrazą, której sam się zdziwił.

– Zastanowisz się! – zawołała. – Posłuchaj. Jestem cygańskim dzieckiem! Jestem jeszcze młoda, mimo iż mam siwe włosy. Chociaż jestem młoda, widziałam z bliska takie rzeczy, jakich nie widzieli starcy. Nauczyłam się czytać w sercach mężczyzn, badałam, porównywałam – wiem, co to jest życie. Jest ono tak urządzone, że my, naród włóczęgów, jesteśmy skazani na wieczną nędzę, aby z naszej nędzy powstało szczęście wybrańców losu. Przyjrzyj się sobie! Jesteś silny, piękny, odważny, wytrwały i inteligentny... a jednak czym jesteś? Niczym! Czym możesz zostać? Niczym! Czy cię to nie oburza? Ja, mój synu, widziałam z bliska ludzi i powiadam ci: ten, który się nie buntuje – jest tchórzem. Otóż ty nie jesteś tchórzem. Czego się obawiasz? Ja nie obawiam się niczego, widziałam stopy, śląc ku ciemnemu niebu łuny szkarłatnych płomieni i nie zadrżałam. Widziałam smażące się w ogniu ciała tych, których kochałam, i powiedziałam sobie wtedy, że przyjdzie może dzień, w którym i ja również padnę ofiarą płomieni, a ciekawe tłumy, jak ja wówczas, przyjdą również przyjrzeć się temu, jak umiera na stosie Cyganka. Nie mam lęku przed śmiercią, a i ty, mój synu, nie masz go również. Wiem o tym. Znam twe serce. Cóż się więc z tobą dzieje? Dlaczego nie przyjmujesz mych słów z radością, jak tego oczekiwałam?

Cóż się rzeczywiście z nim działo? Trudno byłoby mu odpowiedzieć na te pytania. Prawdopodobnie przyczyną jego zmieszania było to, że jako człowiek wrażliwy-i delikatny, nie umiał przystać na tak ordynarne sposoby zarobkowania, jakie proponowała Cyganka.

Rozmowa ta nie została zakończona. Lanthenay odszedł, obiecując, że zastanowi się nad jej propozycją. Myślał nad tym rzeczywiście, odbył długą naradę z Manfredem i obaj uzgodnili jedno: nie zostaną złodziejami.

Tymczasem ich znaczenie w królestwie złodziei wzrastało z każdym dniem. Czemu należało to przypisać? Na pewno urokowi ich bujnej młodości, świeżości śmiechu, szczerości spojrzenia, wielkiej odwadze i wreszcie ich szalonemu zuchwalstwu.

Obywatele królestwa złodziei i Egiptu mieli jedyny kult, kult odwagi. Otóż nikt nie dorównywał dzielnością ani Manfredowi, ani Lanthenayowi. Ta ich odwaga była wielokrotnie wypróbowywana.

Pewnego dnia jakaś biedna dziewczka miała być powieszona za jakieś przestępstwo. Manfred i jego przyjaciel wraz z kilku odważnymi towarzyszami napadli na eskortę żołnierzy prowadzącą ją na szubienicę. Napaść była tak nieoczekiwana, tak gwałtowna, że tłum zgromadzony jak na widowisko rozbiegł się we wszystkie strony. Strażnicy przerażeni zaczęli szarżować na uciekających, a gdy wrócili do wózka, na którym znajdowała się skazana, już jej nie zastali... Znikła.

Pewnej nocy oddziałek straży miejskiej ujął i powłókł do więzienia dwóch biedaków, ni by–kuglarzy, ubranych w berety z olbrzymimi piórami i dziurawe płaszcze. Jeden z nich nosił imię Fanfare, a drugi Cocardére. Manfred i Lanthenay spotkali się z patrolem, który ich prowadził. Rzucili się natychmiast na żołnierzy i tak sobie z nimi dobrze poradzili, że w parę minut po napadzie Fanfare i Cocardére byli wolni.

Można by opowiadać setki podobnych historyjek, których bohaterem był jeden albo drugi, lub też obaj razem.

Dodajmy jeszcze, że większym faworytem włóczęgów był Manfred.

W miarę jak dwaj przyjaciele dorastali, zaczęła się zaznaczać między nimi różnica temperamentów. Lanthenay był spokojniejszy, rozważniejszy, bardziej chłodny; Manfred żywy, kłótniwy, zabijaka, lubił zajrzeć do szklanki i włożyć się za dziewczętami. Twarz Lanthenaya naznaczona była jakimś dziwnym smutkiem, podobno właściwym ludziom, nad którymi ciąży nieszczęście, jakkolwiek oni sami o nim nie wiedzą. Można by rzec, że był usposobienia melancholijnego, a poza tym znamionowała go powaga. Manfred odwrotnie – zawsze beztrocki i rozhukany, jego śpiew i głośny śmiech rozlegał się już z daleka; był jednak nadmiernie wrażliwy i wybuchowy. Mistrz Rabelais, który go znał doskonale, mówił o nim: „Serce będzie przyczyną jego śmierci, umrze jednak z uśmiechem na ustach”.

Z czego żyli dwaj nasi bohaterowie w chwili, kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie?

Co do Lanthenaya odpowiedź jest bardzo łatwa. Został on współnikiem mistrza Stefana Doleta, sławnego drukarza.

Pewnego letniego wieczoru, gdy obaj chłopcy mieli zaledwie po piętnaście lat, biegając i bawiąc się na ulicach miasta, trafili aż do dzielnicy położonej po tamtej stronie mostu, w pobliżu wzgórza św. Genowefy. Przypadek sprowadził ich przed sklep. Drzwi do sklepu stały otworem, a na stopniach ganku siedziało dwóch mężczyzn, czytając uważnie kartki, na których widać było jakieś dziwne znaki.

Obaj przyjaciele, wspiąwszy się na palce, przyglądali im się z pełnym podziwu zacięciem.

– Co to jest? – zapytał Manfred półgłosem.

– To coś drukowanego! – odpowiedział Lanthenay.

Czytający mężczyźni odwrócili się i uśmiechnęli do chłopców. Ubawiły ich mądre oczy i zachwyty rozlany na twarzach dzieciaków. Jednym z tych dwóch mężczyzn – młodszym – był sam mistrz Stefan Dolet, a drugim, który właśnie robił korektę swojej książki noszącej tytuł „Życie wielkiego Gargantui, ojca Pantagruela”, wielki pisarz Franciszek Rabelais.

Rabelais zagał rozmowę z dwojgiem dzieciaków, które przyglądały się D R U K O W A N E M U z takim zachwytem. Odpowiedzi chłopców zdumiały mężczyzn swoją oryginalnością. Dolet zawołał ich do sklepu i pokazał obrazki, które wywołały u obydwu przyjaciół jeszcze większe zainteresowanie.

Nazajutrz wrócili; „aby jeszcze obejrzyć obrazki”, i tak przez szereg dni następnych.

Powoli drukarz przywiązał się do chłopców i zaczął ich uczyć. Nigdy żadni uczniowie nie słuchali uważniej i z większym zachwytem słów nauczyciela. Zwłaszcza Lanthenay stał się wkrótce prawdziwym „uczonym” i z czasem wprowadził nawet ulepszenia do sztuki drukar-

skiej, którą również poznał. Dodajmy również, że jego zainteresowanie drukarstwem nie było całkiem bezinteresowne, mistrz Dolet bowiem miał śliczną córkę.

Taką drogą Lanthenay został współnikiem drukarza.

Manfred marzył o innej przyszłości – śnił o sławie wojennej. I czekał tylko sposobności, aby wziąć udział w jakiejś wyprawie.

Z czego żył na razie?

Dwaj młodzieńcy mieszkali razem przy ulicy Froidmantel. Zajmowali bardzo skromne mieszkanie. Zarobki Lanthenaya wystarczały na ich skromne potrzeby. Musimy jednak dodać, że Manfred również czasem zasilął kasę. Dochody jego były nieokreślone i przypadkowe, oto nieraz jakiś znamienitszy włóczęga prosił młodzieńca, aby go nauczył sztuki robienia bronią. Manfred nie dawał się długo prosić. Po takiej lekcji znajdował w kieszeni swego kaptana parę złotych monet, włożonych przez ucznia. Zatrzymywał je. Czy rzucicie za to w niego kamieniem? Czy mógł traktować z pogardą włóczęgów, wśród których się wychowywał, od których doznał tyle miłości i serdeczności? Przyjmując pieniądze, pochodzące może nieraz z ciemnego źródła, Manfred rządził się delikatnością, nie chciał dać poznać ofiarodawcy całej przepaści, jaka ich od siebie dzieliła. A może po prostu nie myślał wcale nad tym, moralność ówczesna nie była tak „doskonała” jak nasza. Może nie zdawał sobie sprawy z tego, co to były za pieniądze. Cóż robić! Tak był wychowany. Nikt w niego nie wpajał innej moralności.

ROZDZIAŁ XXI

BRAT LUBIN I BRAT THIBAUT

Tego samego wieczoru, kiedy to Sansac, Châtaigneraie i d'Essé grali w kości w oberży de la Devinière, w jednym z domów położonych przy uliczce sąsiadującej z Luwrem spotkało się trzech innych mężczyzn. Siedzieli w oddzielnym pokoju, co chroniło ich przed wszelką niedyskrecją, i rozmawiali z wielkim ożywieniem. A raczej jeden z nich, siedzący w fotelu, mówił. Dwaj inni stali przed nim w pozach pełnych szacunku i odpowiadali na pytania, zadawane im wyniosłym, rozkazującym tonem.

Mężczyzną, który siedział, był czcigodny i powszechnie poważany ojciec Ignacy de Loyola, którego sława – jako człowieka mocnego, odważnego i świętego – zaczynała roznosić się po całym świecie. Dwa pozostali to prości zakonnicy: Thibaut i Lubin. Znano ich dobrze w mieście i w dzielnicy uniwersyteckiej. Mistrz Marot umieścił ich nawet w paru swych wierszykach. Byli to typowi zakonnicy – tłuści, brzuchaci, zawsze z siebie zadowoleni, z pyzatymi policzkami i dyskretnie przymkniętymi błyszczącymi oczami.

Loyola kończył czytać list, w którym polecono mu obu zakonników; od czasu do czasu obrzucał ich przelotnym spojrzeniem.

– Dobrze – powiedział kończąc czytanie listu. – Mam misję, która bezpośrednio dotyczy interesów Kościoła. Potrzebuję dwóch ludzi świątobliwych, odważnych i inteligentnych. Zapewniają mnie w tym liście, że macie odpowiednie kwalifikacje.

– Deo gratias! – szepnęli zakonnicy, pochylając się w ukłonie o tyle, o ile pozwalały im na to pokaźne brzuszki.

Loyola wstał z miejsca i postąpił kilka kroków zadumany. Zawrócił i zatrzymał się przed dwoma zakonnikami.

– Czy wiecie – rzekł do nich – że kłamstwo dla dobra Kościoła i dla sławy boskiej jest rzeczą dozwoloną?

Brat Lubin i brat Thibaut spojrzeli na siebie zmieszani, badając się wzrokiem, czy pytanie to nie jest przypadkiem sprytną pułapką, zastawioną na nich przez strasznego zwierchnika.

– Nie, przewielebny ojcze, nie wiedzieliśmy jeszcze o tym – odpowiedział na chybił trafił brat Lubin.

– Od dziś więc będziecie o tym wiedzieć. A czy wiecie, że żaden czyn nie jest karygodny, gdy idzie o dobro Kościoła i o łaskę boską? Powtarzam, żaden czyn, nawet kradzież, nawet morderstwo.

Zdumienie mnichów ustąpiło miejsca przerażeniu.

– Teraz będziecie wiedzieć – mówił dalej Loyola. Po chwili dodał gwałtownie: – Należy o tym wiedzieć! Wszystko jest dozwolone, wszystko jest słuszne, wszystko jest dobre, co prowadzi do triumfu Jezusa i Najświętszej Panny! Cel uświęca środki. Czy słyszycie, bracia moi?

– Słyszemy, czcigodny ojcze – wybełkotali zakonnicy coraz bardziej przejęci.

– Tak! Ale czy rozumiecie mnie?

– Postaramy się zrozumieć...

– Idą ciężkie czasy – wykrzyknął Loyola tak posepnie, że obaj zakonnicy zbledli. – Kościół jest zagrożony; dogmaty kwestionowane, szerzy się wstrętne schizma. Łono naszej mat-

ki – Kościoła – krwawi; po raz drugi biczują Jezusa, po raz drugi jego matka płacze krwawymi łzami.

Bracia kiwali głowami, nie rozumiejąc dokładnie, co miały oznaczać te straszliwe słowa.

Loyola chodził po pokoju zdenerwowany. Twarz jego płonęła posępnym ogniem. Chodził tam i z powrotem, jakby nie pamiętając o obecności zakonników.

– Otóż – odezwał się znowu – czym jesteśmy? Żołnierzami! Niczym innym. Żołnierzami Chrystusowymi! Żołnierzami Marii! Wybranymi obrońcami, świętym wojskiem, które winno strzec najwyższej budowli, wzniesionej przez świętego Piotra. Być strażnikami Kościoła – oto nasza rola! Czy mamy poprzestać na obronie? Czy mamy czekać, aż nieprzyjaciel zaatakuje nas? Nie, nie! Dostyc niegodnej słabości! Jezus chce, abyśmy go bronili. A więc od obrony do ataku. Chodźmy na wroga i zaatakujmy jego szeregi!

Dwaj zakonnicy uczynili znak krzyża i powoli zaczęli się przesuwać w stronę drzwi. Z usposobienia byli łagodni. Ten człowiek, mówiący tylko o walce, mroził im krew w żyłach.

– A więc, bracia moi – zwrócił się do nich znowu Loyola. – Ponieważ jesteśmy żołnierzami, ponieważ tworzymy wojsko, którego zadaniem jest zwycięstwo albo śmierć, winniśmy postępować jak żołnierze, to znaczy uciekać się do wszystkich chytrości żołnierskich. Chytrąścią musimy walczyć. Chytróść i siła – oto dwa elementy zwycięstwa. Czy zrozumieliście?

– Chytróść – powiedział brat Thibaut.

– Siła – szepnął brat Lubin.

– Posłuchajcie mnie teraz! Zostaliście wybrani do bardzo delikatnej i ważnej misji. Musicie wślizgnąć się aż do obozu nieprzyjaciela i przygotować zasadzkę, której skutkiem będzie wielkie zwycięstwo.

Dwaj zakonnicy spojrzeli na siebie z rezygnacją, a spojrzenie ich mówiło jasno: „Tym razem, mój bracie, jesteśmy straceni, zginęliśmy z kretesem, niestety!”

Loyola wysunął szufladę i wyjął z niej książkę. Był to mały tomik liczący najwyżej pięćdziesiąt stron druku. Położył go na stole i otworzył na tytułowej stronie.

– Czytajcie! – rzekł rozkazującym tonem.

Thibaut i Lubin pochylili się jak na komendę i przeczytali:

KŁAMSTWO, FAŁSZ, NICOŚĆ.

Dogmatu Niepokalanego Poczęcia

wykazane wraz z dowodami

przez

KALWINA

dzieło wydane w Paryżu, z zezwolenia

królewskiego

przez

STEFANA DOLETA

Dwaj zakonnicy po przeczytaniu wyprostowali się, czyniąc znak krzyża i ruchami rąk i kiwaniem głowy wyrażając swe głębokie oburzenie.

– Czytaliście? – zapytał Loyola. – Co myślicie o tym?

– Obrzydliwość! – mruknął brat Thibaut.

– Świętokradztwo! – zawołał brat Lubin.

– Jak myślicie, na co zasługuje autor tej potwornej książki?

– Na śmierć!

– A ten, który ją wydał?

– Również na śmierć!

– Tak! Śmierć na placu publicznym, śmierć w męczarniach. To mało zabić przestępcę; trzeba, żeby ta śmierć była przyjemna Jezusowi, trzeba, aby przedśmiertne cierpienia przygotowały duszę kacerza do mąk wiecznych w piekle.

Loyola skrzyżował ramiona na piersiach, pochylił głowę i pograżył się na chwilę w milczącej zadumie.

Rozmyślał: „Przygotowałem taran, który rozwali gmach kacerstwa. Tak, każdy podstęp jest słuszny, jeśli przy jego pomocy można osiągnąć wroga. Sam napisałem tę książkę, w której przytaczam przykłady... dowody! A więc istnieją dowody fałszywości dogmatów?! Dowody zewnętrzne, dowody podszeptane mi przez siłę wyższą; tak, to ja jestem autorem tej książki. W naszej tajnej drukarni książka ta została przygotowana. Podstęp to dobra broń... trudno z nim walczyć”.

Odezwał się znowu do stojących w milczeniu zakonników:

– Trzeba, aby znaleziono tę książkę tam, gdzie... Posłuchajcie mnie. Chcę być jasny i ścisły. Znacie niewątpliwie drukarza Doleta?

– Tak jest... znamy go... ale tylko przelotnie – odpowiedział Lubin.

– Aniśmy przypuszczali... – dodał Thibaut.

– Nigdyśmy go nie widzieli z bliska! – oświadczyli obaj.

Loyola zmarszczył brwi.

– Zapewniono mnie i wierzę tym zapewnieniom, że byliście kilka razy w jego domu i że spotkało was tam dosyć życzliwe przyjęcie, że drukarz chętnie was częstował winem...

Dwaj zakonnicy padli na kolana.

– Łaski, czcigodny ojcze! – jęknął brat Thibaut, a z oczu jego nagle popłynęły rzęsiste łzy.

– Nie wiedzieliśmy, że ten heretyk drukuje podobne okropności! – rzekł brat Lubin, bijąc się w piersi.

– Nigdy już więcej...

– Powstańcie! – rzucił ostrym tonem Loyola.

Zakonnicy usłuchali go, a on ku wielkiemu zdumieniu swych słuchaczy zaczął mówić dalej z wielkim spokojem:

– Jeżeli was wybrano, chcąc wam powierzyć funkcję zastawienia na wroga Kościoła zasadzki, uczyniono to właśnie dlatego, że bywacie u Doleta. Oto, co macie uczynić. Musicie pójść do niego nie później niż jutro.

– Do jego drukarni przy uniwersytecie?

– Nie! Do jego mieszkania przy ulicy św. Dionizego. Tam przecież częstował was winem?

– Confiteor! – szepnęli zakonnicy.

– A czy wino było dobre? – zapytał Loyola z dziwnym uśmiechem.

Oczy braci Lubina i Thibauta błysnęły radośnie.

– Wspaniale! – oświadczyli.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Należy podziwiać wolę Opatrzności, która pozwala, aby taki kacerz miał tak świetne wino i abyście delektowali się nim właśnie wy, znawcy wina. Delektujcie się, bracia moi! Wola boska wybrała was do wychylania tego nektaru, ona to zrządziła, że pewnego pięknego dnia będziecie mogli wejść bezkarnie do mieszkania heretyka i, pijąc wino, które lubicie, podrzucić mu tę książkę.

Obaj zakonnicy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

Brat Thibaut i brat Lubin rzeczywiście bywali u Doleta. Uczony autor *Komentarzy do języka łacińskiego* lubił istotnie wypoczywać po swej pracy zawodowej w towarzystwie tych wesółych pijusów i przy szklance dobrego wina. Braciszkwie bawili go swą naiwnością, żarłocznością i niewyszukanymi dowcipami. Przyglądał się im z uciechą, lubił również robić sobie z nich zabawne widowiska, gdy rozanieleni i nie bardzo trzeźwi odchodzili do domu chwiejnym krokiem podtrzymując się wzajemnie.

Nigdy z nimi nie wszczynał żadnych sporów religijnych, jak nie czynił tego zresztą w niczym towarzystwie. Tylko Rabelais znał wszystkie tajniki jego myśli.

Mylne było mniemanie, że mistrz Dolet czuł odrazę do Kościoła i do jego przedstawicieli. Był tylko wolnomyślny. Nie walczył z religią ani z duchowieństwem, po prostu sam nie wierzył, i już.

Zakonnicy doskonale zrozumieli, czego żądał od nich Ignacy de Loyola. Po prostu chodziło o posłanie na stos człowieka, który ich podejmował w swoim domu, a nawet okazywał im coś w rodzaju przyjaźni. Byli tą propozycją zmieszani. Nie można jednak powiedzieć, żeby się chcieli zbuntować przeciw wstrętnej roli, którą im wyznaczono.

Loyola wyczytał na ich twarzach wyraz uległości i przerażenia.

– A więc – rzekł do nich – jutro od samego rana udacie się, bracia moi, do tego heretyka.

Skinęli głowami na znak zgody.

– Zaprasza was na wino... Jak je nazwaliście?

– Przepyszne, czcigodny ojcze!

– Przepyszne! Otóż to właśnie. A więc cichutko, nie zwracając na siebie jego uwagi, podrzucicie tę książkę na którąś z półek, a potem pożegnacie go tłumacząc się brakiem czasu.

– Uczynimy tak, jak nam każesz! – rzekł brat Thibaut.

– Oto książka! – zakończył Loyola.

Brat Thibaut wziął tomik w rękę, podkreślając gestem odrazę, jaką to w nim budzi, potem ukrył książkę w fałdach szerokiego habitu.

– Idźcie już! – rzekł krótko Loyola, czyniąc rozkazujący ruch dłonią.

ROZDZIAŁ XII

PIĘKNOŚĆ MAGDALENY FERRON

Po zrównaniu i udeptaniu ziemi nad dołem, w którym spoczywały zwłoki jej męża, Magdalena Ferron owinęła się w płaszcz i bez pośpiechu opuściła dom miłości i zbrodni.

Była mniej więcej północ.

Nie czuła żadnego wzruszenia ani współczucia, czy choćby litości, na myśl o tym, którego przed kilku godzinami zamordowała. Zapomniała o strasznych chwilach przeżytych na Mont-faucon. Nie było nic... nic zgoła... Wszystko zatarło się w jej pamięci.

Pozostało tam jedynie wspomnienie śmiechu Franciszka I, okrutnego śmiechu, który usłyszała wtedy właśnie, gdy przerażona wychyliła się przez okno, aby zawołać:

– Franciszku, ratuj!

Śmiech ten brzmiał jej ciągle w uszach, jak gdyby doznawała halucynacji słuchowych. Nie mogła również zapomnieć ballady, którą nucił król wychodząc z domu. Słyszała ją przerażająco wyraźnie.

Siedząc sama tuż koło okienka

Wczesnym rankiem... nieledwie o świcie

Spoglądałam jak wstaje jutrzienka...

Jej pełne głębokiej nienawiści myśli, brzemienne pragnieniem zemsty, kłębiły się w takt słodkiej i wesołej przygrywki do ulubionej ballady króla Franciszka.

Szła nie śpiesząc się.

Po jakimś czasie zagłębiła się w labiryncie wąskich i ciemnych uliczek sąsiadujących z kościołem św. Eustachego. Gdy chwilami zza chmur wyglądał księżyc, ponad dachami stłoczonych domów wylaniała się sylwetka kościoła, podobna do szkieletu jakiegoś mastodonta lub też olbrzymiego wieloryba, wyrzuconego przez morze na stały ląd.

Magdalena zorientowała się, że była to ulica Trainée. Mniej więcej w jej połowie w pobliżu kościoła stał ha uboczny dom. Co to był za dom? Wyglądał na posiadłość średnio zamożnego mieszczanina, na dachu wznosiła się wieżyczka, szerokie okna miały u góry lekkie łukowate wykończenie. Okna te zdawały się spoglądać z jakąś cyniczną zuchwałością w stronę kościoła, a ten jakby odwracał się plecami do domu.

Mieszkała tu pewna kobieta, którą zwano Malarde. Wiek jej był nieokreślony. Twarz zeszepecona ospą, oczy otoczone czerwoną obwódka, łysa prawie głowa, zawsze ubrana w czepek, długie haczykowate palce i nadzwyczajna chudość czyniły ją odstrasżającą. A jednak u Malarde bywało dużo osób. Moźni panowie, studenci, którzy ze swej dzielnicy przychodzili na hulanki do miasta, wreszcie ludzie niewiadomej kondycji, wszystko to schodziło się u niej, gdy noc zapadła.

Dom składał się z parteru i dwóch pięter. Zaraz od wejścia ciągnął się długi korytarz, kończący się schodami prowadzącymi na wyższe piętra. Drzwi z korytarza na lewo wiodły do ogólnej sali, gdzie dziewczki służebne podawały gościom miód i mocne wina; raczej rozebrane niż ubrane rozsiadały się bez ceremonii na kolanach pijanych, otaczały ich szyje ramionami, szepcząc im na ucho słowa bardziej odurzające niż wino.

Od czasu do czasu któryś z pijaków zniknął wraz z dziewczyną w dalszych pokojach.

Oto, czym był dom Malarde.

Do tego właśnie domu zapukała Magdalena Ferron.

Chociaż była już późna godzina, w ogólnej sali siedziało kilkunastu gości. Większość z nich była pijana i mamrotała dziewczkom na ucho ordynarne komplementy. Paru spało na drewnianych ławach z rzeźbionym oparciem, jeden stoczył się pod stół, ale nikt ani myślał go podnosić.

Na stołach pomiędzy cynowymi kubkami i glinianymi dzbankami spoczywały odpasane szpady, które uczujący porzucili niedbale, aby im nie przeszkadzały przy hulance.

Nie słychać było śpiewów; to było zabronione. Rozmawiano jednak głośno, śmiano się na całe gardło. Widocznie szyby w oknach i okiennice były dostatecznie grube, aby stłumić gwar i nie ściągnąć strażników.

Jeden z gości zakładu nie był pijany. Wyglądał na trzydzieści lat, twarz miał bladą, oczy bezdennie smutne, z całej jego postaci widać było, że zżera go jakaś tajemnicza choroba. Mężczyzna ten nazywał się Jan Nędzota.

Gdy któraś z dziewcząt go mijiała, na widok jej rozpuszczonych włosów, odkrytej piersi czy wysoko podkaszanej spódnicy w oczach zapalały mu się pożądliwe ognie, a spojrzenie zdawało się błagać o zwrócenie na niego uwagi.

– Sikorko! – szeptał. – A więc nie chcesz?

Piękna dziewczyna potrząsała głową wzdrygając się z obrzydzeniem.

– Dziękuję! – odpowiadała ze śmiechem. – Nie chcę umrzeć na złą chorobę.

Jan spuszczał głowę i zaciskał pięści. Do wszystkich dziewcząt wyciągał ramiona i wszystkie błagał o pocałunek... Nadaremnie. Wszystkie dawały mu jednakowe odpowiedzi.

Magdalena Ferron zapukała do drzwi tego domu. Jednocześnie nasunęła silniej kaptur, kryjąc pod nim twarz. Mężczyzna pełniący obowiązki służącego, który stał zawsze przy drzwiach pilnując wejścia, otworzył małe okienko i na widok nocnego gościa wydał okrzyk zdziwienia.

– Kobieta! – wyszeptał. – Kobieta tutaj! To nadzwyczajne! A może nowa ochotniczka?

Zamiast otworzyć, udał się na pierwsze piętro, aby powiadomić swoją chlebodawczynię o tak niezwykłym wydarzeniu. Toteż w kilka chwil później sama Malarde przyłożyła oko do szybki okienka, zawahała się, wreszcie i postanowiła otworzyć, wykonując przy tym ruch mówiący: „Zresztą, zobaczymy!”

Magdalena Ferron weszła ze słowami:

– To ty jesteś Malarde?

– Tak. A... ty?

– Chcę pomówić z tobą sam na sam.

– A więc chodź.

Po chwili Magdalena znalazła się w dużym, skromnie umeblowanym pokoju sypialnym.

– To mój pokój – rzekła Malarde z uśmiechem – nie potrzebuje być tak piękny, jak reszta pokoi.

Magdalena uświadomiła sobie, że twarz jej płonie. Na myśl o tym, co ma zrobić, obrażone poczucie kobiecości wyraźnie się buntowało. Przez chwilę jej żelazne postanowienie zachwiało się. Wkrótce jednak wróciła do równowagi. Wesoły głos króla Franciszka zabrzmiał jej w uszach, znowu usłyszała go, śpiewającego balladę.

Cała scena jego nিকczemności stanęła jej przed oczami; wstręt, obrzydzenie i nienawiść znowu zwyciężyły w niej kobietę, dając pierwszeństwo „widmu Zemsty”.

Maladre patrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Fe! Ten brzydki kaptur przeszkadza mi podziwiać piękną twarzyczkę mojej nowej przyjaciółki – rzekła stara wykrzywiając twarz w uśmiechu.

– Co cię obchodzi moja twarz! – rzekła głucho Magdalena.

– Widzisz, moja droga, muszą ją widzieć, jeżeli chcesz, abyśmy doszły do porozumienia.

- A jak ci się zdaje, czego mogę chcieć?
- Chcesz na pewno zostać z nami, moja piękna!

Magdalena wzdrygnęła się ze wstrętem.

Stara dodała:

– Domyślam się, że jesteś piękna, mogę cię więc zapewnić, że będziesz miała wielkie powodzenie.

Magdalena drżąc z obrzydzenia myślała: „O, królu! Rzucam się w przepaść! Śmierć, której szukam, będzie nieczysta i ohydna, lecz pociągnę za sobą również ciebie. Strzeż się, gdyż moja śmierć będzie twoją śmiercią!”

– A więc? – zapytała Malarde ze zdziwieniem. – Nie bój się moje dziecko. Będziesz tu w dobrym domu, śmiem cię zapewnić, że nie ma on nic wspólnego z lokalami cieszącymi się złą sławą.

– Nie przychodzę po to, o czym ty myślisz – rzekła nagle Magdalena.

W duszy pomyślała z goryczą: „Chcę zatruć moją piękność, aby uczynić z tego broń!”

– Czegóż więc chcesz? – zapytała.

– Przede wszystkim weź to – rzekła Magdalena.

Stara pochwyciła sakiewkę pełną złotych monet. Spojrzała ze zdziwieniem na Magdalene, jakby chcąc – przez zakrywający ją kaptur przyjrzeć się jej twarzy.

– Kupuję twoje milczenie – mówiła dalej Magdalena. – Widzisz, że płacę ci dobrze, lecz jeśli kiedy bodaj słowo...

– Pani! – zawołała stara. – Jestem ci oddana ciałem i duszą. A co do milczenia przyzwyczaiłam się do niego już od dawna. Gdybym chciała mówić, dawno bym już wisiała! Bo kto tu u mnie nie bywa... najmożliwiejsi panowie, margrabiowie i książęta, a nawet... królowie!

Magdalena zadrżała.

– Król! – bąknęła.

Stała pochyliła się jej do ucha i szepnęła:

– Byłaś, pani, bardzo hojna, mogę ci wszystko powiedzieć. Tak, pani, sam król tu przychodzi. Chociaż przebiera się w strój mieszczański, poznaję go od razu.

– Król! – powtórzyła Magdalena. – On tu przychodzi?

– Możesz pani być ze mną zupełnie szczerą – oświadczyła stara. – W jedno ucho wejdzie, drugim wyjdzie. Przysięgam, przysięgam na krzyż kościoła św. Eustachego, który ochrania mój dom.

– Posłuchaj mnie – rzekła nagle Magdalena. – Pochyl się, abym ci mogła powiedzieć na ucho.

Stara zbliżyła się i zaczęła chciwie słuchać. W miarę opowiadania w jej oczach błysnął cień litości.

– Och, pani! – wyszeptwała. – Czy to możliwe? Jak to? Pani chciałaby...

– Chcę tego!

– Kiedy?

– Natychmiast, jeśli to możliwe. Najpóźniej jutro.

– Można natychmiast... ale...

– Idź więc! Na co czekasz? – krzyknęła Magdalena. – Alboż nie widzisz, jak straszne mi sprawiasz cierpienie, przedłużając moją agonię?

Malarde szepnęła głucho:

– Zaczekaj więc, pani.

Stara wyszła, zawołała na służącego, a gdy ten nadbiegł rzuciła mu rozkaz:

– Przyślij mi tu Jana Nędzotę!

Po chwili Jan stanął w drzwiach, a stara wpuściła go do jednego z pokojów. Był to pokój, który nosił nazwę Pięknego.

– Czy Sikorka nie chce ciebie?

- Nie.
- Nadzieja również?
- Nie.
- I Krzywooka także nie chce?

– Nie.

– A więc żadna z moich ani innych dziewczek. Wszystkie boją się, nieprawdaż?

– Tak! – rzekł Jan z westchnieniem rozpaczny.

– A ty lecisz na każdą!

Jan złożył ręce w zachwycie.

– Czy wiesz, że samo twoje dotknięcie zabije na pewno nieszczęsną, która się do ciebie zbliży.

– Ja chcę również umrzeć! – warknął wściekle mężczyzna.

– Zaczekaj tu!

Stara pobiegła do siebie, porwała Magdalенę za rękę i poprowadziła do Pięknego Pokoju. Po drodze jeszcze raz zapytała:

– Pani, po raz ostatni, czy jesteś zdecydowana...

– Milcz! – przerwała jej Magdalena.

– A więc chcesz, pani?

– Chcę!

– Wejdź tedy tam!

„Piękna Kowalka” stojąc już przed progiem pokoju zrobiła taki ruch, jakby się chciała cofnąć. Ruch taki wykonują skazańcy, gdy się do nich zbliża kat. Potem, wznosząc ku niebu spojrzenie pełne nienawiści, uchyliła gwałtownie drzwi i weszła.

ROZDZIAŁ XXIII

CZY TA KSIĄŻKA, CZY INNA – CO ZA RÓŻNICA

Czcigodny ojciec Ignacy de Loyola miał naradę z hrabią de Monclarem, prefektem miasta Paryża.

Krótką bywa narada dwojga ludzi, którzy rozumieją się w pół słowa i nie potrzebują długich wyjaśnień. W duszy Monclara było coś z inkwizytora, a w duszy Loyoli coś z policjanta. Czymże była sama inkwizycja, jeśli nie straszliwym narzędziem policji.

– Ten Dolet – mówił Loyola – jest prawdziwym wrzodem na ciele waszej pięknej Francji.

– Niestety, czcigodny ojcze, król bywa czasem słaby.

– Tak, tak. Chce udawać uczonego, poetę... jak gdyby królowie powinni być czymś innym niż ogniem niebieskim dla swych narodów. Narody, mój drogi panie Monclar, mają skłonność do buntu przeciw świętej władzy, królowie więc powinni być naszymi agentami, w przeciwnym bowiem razie złamiemy samych królów! Ten drukarz – ciągnął dalej Loyola – w większym stopniu niż inni rozsiewa przeklętą naukę po świecie. A to dlatego, że w jego ręku jest sztuka drukarska. To jego broń. Zniszczymy drukarnię, panie de Monclar, lecz aby zniszczyć drukarnię, musimy najpierw wytepić drukarzy.

– Dolet jest ostrożny, czcigodny ojcze.

– Wiem o tym, panie prefekcie. Lecz duch boży czuwa nad nami i podsuwa nam sposoby, którymi możemy unicestwić heretyka. Dolet musi umrzeć. Jego śmierć musi być przykładem dla całej Francji. Mamy podobne przykłady również w Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech, wszędzie! Czy jesteś gotów do czynu, panie?

– Czekam na twe rozkazy, ojcze.

– Udaj się więc do jego prywatnego mieszkania. Weź ze sobą spory oddziałek straży miejskiej i idź nie zwlekając. Gdy tylko ujrzysz dwóch zakonników, brata Thibauta i brata Lubina, opuszczających jego dom...

– Znam ich.

– ... wtedy możesz rozpocząć działanie. Wejdz do Doleta w imieniu króla; przeszukaj wszystkie półki jego biblioteki. Znajdziesz tam księgę pełną nieprawości, przeklętą księgę zaprzeczającą prawdzie tajemnicy Niepokalanego Poczęcia.

– Zgroza! – szepnął de Monclar, pełen szczerzego oburzenia.

– Książka ta musi być znaleziona w obecności licznych świadków.

– Tak się też stanie.

– Jak tylko znajdziesz książkę, aresztuj drukarza i zamknij go w jakimś solidnym lochu. Reszta należy do mnie. Idź, mości prefekcie! Zbliży się już godzina, w której bracia Thibaut i Lubin mają wypełnić swą misję.

– Ośmielam się prosić o jedną łaskę – rzekł de Monclar pochylając się w ukłonie.

– Mów, panie, dostąpisz jej!

– Od wielu już lat moje serce cierpi i nie może zaznać ukojenia. Porwano ubóstwianego przeze mnie syna... Prawdopodobnie zamordowano go. Jego matka, którą uwielbiałem, umarła z żalu. Od owej chwili nie mogę o tym, co się stało, zapomnieć... Cokolwiek robię, cokolwiek mówię, widzę moją drogą żonę, jej uśmiech, widzę moje dziecko... Och, szczególnie moje dziecko!

Zamilkł usiłując opanować wzruszenie. Po chwili mówił dalej:

– Czcigodny ojcze, boleść taka jest nie do zniesienia. Nawet czas nie zdołał jej ukoić. Myślałem... marzyłem...

– Mów bez obawy – dodał mu otuchy Loyola.

– A więc... Zuchwalstwo moje jest niewątpliwie wielkie, lecz pomyślałem, że gdybym dostąpił błogosławieństwa Ojca Świętego, przyniosłoby mi to ulgę.

– Niewątpliwie. Dokończ więc.

– Ośmielam się tedy prosić cię, przewielebny ojcze, o wstawiennictwo do Jego Świętobliwości, gdy powrócisz do Rzymu. Niech raczy okazać mi tę największą łaskę, o którą go błagam.

Loyola przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Przyglądał się de Monclarowi, studiował go. „Człowiek ten to siła – pomyślał. – Ma bowiem wiarę”.

Podniósł się prostując swą wyniosłą postać.

– Na kolana, hrabio! – rzekł uroczyście.

Prefekt osunął się na kolana.

– Gdy opuszczałem Watykan, zostałem upoważniony do udzielenia dwóch błogosławieństw papieskich – zabrał głos mnich. – Jedno było przeznaczone dla króla Francji, udzieliłem go już; drugie dla jego cesarskiej mości Karola... Hrabio de Monclar, jesteś dziś pożyteczniejszy dla Kościoła niż cesarz. A więc cesarz zaczeka!

De Monclar drżąc ze wzruszenia pochylił czoło tak nisko, że dotknął nim prawie ziemi, podczas gdy Loyola, wznosząc do góry prawą rękę, wyszeptał nad korzącym się formułkę błogosławieństwa papieskiego.

Nie upłynęło pół godziny, a prefekt był już na posterunku w pobliżu domu Doleta, który kazał obstawić ze wszystkich stron. W sąsiedniej kamieniczce ukrył się również oddziałek zbrojny. Wszystko dokonało się szybko, cicho, według odwiecznych, wszędzie i zawsze jednakich tradycji policyjnych.

De Monclar nie czekał długo. W dziesięć minut po ostatecznym zorganizowaniu obławy ujrzał braci Thibauta i Lubina wychodzących szybkim krokiem z kamieniczki drukarza.

Dał natychmiast znak i uliczka napelniła się żołnierzami, którzy ku wielkiemu zdziwieniu sąsiadów otoczyli dom Doleta. Prefekt wszedł do środka, a w ślad za nim oddział straży miejskiej.

– W imieniu króla – zawołał de Monclar – przeszukać ten dom od strychu do piwnicy i zabrać wszystkie znajdujące się w nim druki.

Po odbytej rozmowie z Loyolą dwaj zakonnicy opuścili pośpiesznie kamieniczkę, w której narada się odbyła. Uciekali, zdjęci strachem, przed groźnym przełożonym.

Była już późna godzina, noc zaległa ulice miasta, których w tej dzielnicy nie oświetlała żadna latarnia. Zakonnicy nie czuli się bezpiecznie. Nie dlatego, żeby byli tchórzami, ale o tej porze woleliby siedzieć w swych celach albo jeszcze lepiej w refektarzu. Właściwie nie jedli jeszcze obiadu.

Okolo szóstej po popołudniu ojciec przełożony przywołał ich do siebie, wręczył im list, polecając odnieść go natychmiast pod wskazany adres i wysłuchać uważnie wszystkiego, co im powie odbiorca przesyłki. Dopiero potem mieli wrócić do klasztoru.

Klasztor ich pod wezwaniem św. Antoniego znajdował się tuż obok Bastylji, w pobliżu pałacu prefekta miasta.

– Co myślisz, mój bracie, o czcigodnym ojcu? – zapytał Lubin.

– Myślę, bracie Thibaut, że jego słowa przejmują mnie dreszczem... A ciebie?

– We mnie jego krasomówstwo zaostrza apetyt. Mam wrażenie, że przynajmniej od trzech dni nic nie miałem w ustach.

– Rany boskie! – zawołał nagle brat Lubin. – Czy nic nie widzisz tam w głębi? Jakiś cień!

Obaj zakonnicy zatrzymali się, drżąc ze strachu.

– To głupstwo! Tam nic nie ma – odezwał się brat Thibaut.

– Pewnie się pomyliłem – rzekł brat Lubin. – Może byś jednak poszedł się upewnić.

– Nie, drogi bracie, uczyni to lepiej ty. Jesteś silniejszy ode mnie, a poza tym mam przy sobie powierzoną nam książkę.

– A więc chodźmy razem.

Dwóch śmiałków, czepiając się jeden drugiego, zaczęło posuwać się naprzód niepewnym krokiem, aż wreszcie zbliżyli się do podejrzanego miejsca. Nic jednak nie spostrzegli.

– Wiedziałem, że tam nic nie ma! – rzekł z triumfem Thibaut. – Chodźmy dalej.

Tym razem brat Thibaut wysunął się naprzód.

– Co robisz, mój bracie? – wykrzyknął Lubin.

– Widzisz przecież, śpieszy mi się do klasztoru.

– Mylisz się, mój bracie, wszedłeś w ulicę św. Dionizego. Nie tędy droga, bracie kochany.

– Na ulicę św. Dionizego! Jesteś zupełnie pewny?

– Przecież nie dwoi mi się w oczach! Oto nasza droga.

– To prawda – westchnął brat Thibaut. – Ale powiedz mi, bracie kochany, czy nie na ulicy św. Dionizego znajduje się oberża de la Devinière?

– Naturalnie – odpowiedział Lubin zatrzymując się.

– Znasz ją chyba, mój bracie?

– Coś niecoś... Byłem tam kiedyś.

– Tak, jak i ja.

– Dobry pan Gregoire, oberżysta, prosił mnie kiedyś, abym wypowiadał jego żonę – ciągnął dalej Lubin.

– Mnie także o to prosił – odpowiedział Thibaut. – I wypowiadałeś ją?

– Ze wszystkich grzechów! – odparł dziwnym tonem.

– I ja również – dodał Thibaut. – Od tego dnia poczciwy oberżysta czuje do mnie prawdziwą wdzięczność.

– Do mnie też. Muszę dodać, że pani Gregoire, moim zdaniem, nie popełniła w stosunku do mnie grzechu niewdzięczności.

– To szczęśliwa rodzina, bracie Lubin.

– Świetna oberża, bracie Thibaut.

– Jaka szkoda, że nasza droga nie prowadzi tamtędy. Z tymi słowy zakonnicy zatrzymali się przed oberżą de la Devinière.

– Nic nie rozumiem! Jak się to stało? – rzekł zdziwiony brat Thibaut.

– Prawdopodobnie pomyliliśmy się.

– I mnie się tak zdaje. Zawróćmy.

– Zawróćmy, mój bracie.

Tu brat Lubin i brat Thibaut przestąpili próg oberży i po chwili siedzieli już przy stole.

– Los tak chciał! – szepnął brat Thibaut.

– Nie ma na to rady! – westchnął brat Lubin.

Wejście dwóch zakonników do oberży wywołało ruch na sali, w której pełno było studentów i żołnierzy. Pani Gregoire uśmiechnięta, z zawiniętymi rękawami, w podkasanej spódnicy, zbliżyła się do czcigodnych gości z zapytaniem, czym może im służyć.

Przede wszystkim jeść, czcigodna pani Gregoire. Jesteśmy na czczo.

– A potem pić, dręczy nas pragnienie.

Po chwili stół był już zastawiony. Omlet z wędliną, pasztet, kurczę i kilka flaszek andegańskiego wina. Zakonnicy rzucili się na jedzenie z łapczywością, z której słynęli.

– Oto dwaj bracia zakonni, gospodarujący w winnicy pańskiej – pisnął jakiś głos.

Był to Landry-Knot, syn oberżysty, a już niewątpliwie oberżystki. Wbiegł na salę i usadowił się okrakiem na plecach brata Lubina.

– Landry! – krzyknął oberżysta, grożąc wisusowi olbrzymim widelcem.

– Kochane dziecko – rzekł brat Thibaut. – Daj mu spokój, panie Gregoire, o jest taki zabawny. Ale, gdzie się podział?

Landry-Knot zniknął nagle, zsunął się z pleców zakonnika pod stół, przy którym bracia usiedli, zaczął rozmyślać prawdopodobnie nad jakimś złośliwym kawałem, bo jego małe oczka błyszczały radośnie.

Przy stole sąsiadującym ze stołem mnichów siedziało dwóch mężczyzn przy dzbanie wina. Położyli na taborecie tuż przy sobie berety z długimi zniszczonymi piórami, a na stole rapier. Rozmawiali głośno, żywo gestykulując i przybierając bohaterskie pozy. Ubrani byli źle, świecili dziurami i łatami, robili jednak miny wielkich panów. Ich długie, kościste twarze, błyszczące oczy i sumiaste wąsy nadawały im wygląd straszliwych rębajłów.

Brat Lubin i brat Thibaut tymczasem pod opieką sympatycznej pani Gregoire zabrali się do jedzenia, nie zwracając najmniejszej uwagi na siedzących tuż obok włóczęgów, sąsiedzi ich bowiem bardzo na włóczęgów wyglądali.

– Hrabio de Cocardére! – rzekł jeden z pijących.

– Co powiesz, margrabio Fanfare?

– Jak ci się podoba to wino? – rzekł głośno. A po cichu dodał: – Czy zauważyłeś tych dwóch mnichów obok nas?

– Powiadam, mój drogi margrabio, że nasza kochana pani Gregoire stanowczo nas psuje – odpowiedział również głośno jego towarzysz. Po cichu zaś dodał: – Tak, widzę ich, do diabła! Piekło ich tu chyba przyniosło.

– Postawię ci jeszcze drugi dzban, hrabio de Cocardére! – rzekł pierwszy. – Muszą mieć pełną sakiewkę – dodał po cichu, a w stronę gospodyni zawołał: – Pani Gregoire! Kości!

Kości zostały podane, gra się rozpoczęła.

– Margrabio, ogram cię. Trzymaj się mocno! – odparł ze śmiechem drugi, do ucha sąsiada zaś szepnął: – Sądząc ze wspaniałego posiłku, który sobie obstalowali, ci nicponie muszą pachnieć groszem! – A głośno dodał: – Twoja kolej, margrabio!

– Mam dziś szczęście, to ja cię ogram – powiedział partner, dodając szeptem: – A może byśmy tak zaczekali na nich na rogu którejś z ciemnych uliczek?

W tej chwili bracia Thibaut i Lubin wydali jednocześnie żalony okrzyk.

– To olbrzymi szczur! – zawył pierwszy.

– To sługa Lucypera! – ryknął drugi.

– Wdrapuje mi się po nogach!

– Wyżera mi wnętrzności!

Oberżysta, jego żona, służący i kilku gości rzucili się w stronę mnichów. Ci porwali się jak na komendę, chcąc uciekać przed nieznaną bestią, która dręczyła ich podstępnie.

W tej samej chwili, ku wielkiemu zdumieniu obecnych, stół powędrował do góry, a naczynia, flaszki i wszystko, co na nim było, spadło na ziemię z wielkim hałasem. Ujrzano wtedy, że habity obu zakonników były zeszyte ze sobą, toteż gdy bracia podnieśli się, ich złączone szaty podniosły również stół, przewracając go.

– Czary! Przekleństwo! – jęczeli dwaj zakonnicy.

Rozległo się dzikie miauczenie, a spod stołu wyszedł na czworakach Landry-Knot.

– Nędzniku! Łobuzie! – wrzasnął oberżysta. – Sprawię ci takie lanie, że popamiętasz.

Rzucił się na chłopca, lecz „nędznik” skoczył jak strzała i znikł w czeluściach kuchni, wykrzywiając się do obecnych straszliwie i pokazując im język.

– Tak się obejść z dwoma czcigodnymi zakonnikami! – gniewał się oberżysta, a tymczasem pani Gregoire na klęczkach oddzielała przy pomocy nożyczek oba habity.

Wkrótce zło zostało naprawione, a brat Thibaut i brat Lubin, ochłonawszy ze wzruszenia, wrócili do swej kolacji.

Podczas zamieszania wywołanego tą historią hrabia de Cocardére i margrabia Fanfare prześliznęli się chyłkiem do drzwi, zapominając o zapłacie za wino. Nikt nie zwrócił uwagi

na tę ucieczkę, jedynie oberżysta jęknął w duchu stwierdzając, że kilka dzbanów jego świętego wina nappełniło za darmo brzuchy włóczędzów. Postanowił więc na przyszłość być bardziej ostrożny.

– Ten Landry to prawdziwy diabełek – rzekł brat Thibaut.

– Tylko flaszką dobrego wina postawi mnie na nogi po tym wzruszeniu – dodał brat Lubin.

Flaszka dobrego wina została obstalowana, przyniesiona i natychmiast wypróżniona, czcigodni zakonnicy bowiem wiedzieli doskonale, że dobre wino nie może czekać.

– To jeszcze nie wszystko, kumeńku – rzekł brat Thibaut płaczącym się już lekko językiem. – Co powiemy ojcu przełożonemu?

– Ba! Alboż nie powierzono nam misji? Powiemy mu, że spotkaliśmy nieprzyjaciela i że musieliśmy stoczyć z nim walkę.

– To będzie kłamstwem, bracie Lubinie.

– Tak, bracie Thibaut. Lecz czego nas uczy czcigodny ojciec Loyola? Że kłamstwo jest dozwolone, nieprawdaż? Co mówię? Jest nawet urzędowo zalecane, jeśli chodzi o interesy Kościoła. Nie wiedzieliśmy o tym wczoraj, lecz wiemy dzisiaj!

– Jednakowoż...

– Ośmielasz się, bracie Thibaut, ośmielasz się buntować przeciw autorytetowi najczcigodniejszego Loyoli, jasności naszego Kościoła, archanioła samego świętego Piotra!

– Bóg mnie strzegł, bracie Lubinie.

– Otóż jeżeli skłamiemy ojcu przełożonemu, alboż nie uczynimy tego w interesie Kościoła? Kimże jesteśmy w tej chwili? Dwoma jego żołnierzami. Ukaranie nas byłoby ukaraniem samego Kościoła. A więc, unikając kary drogą cnotliwego kłamstwa, unikamy kary dla Kościoła i za jednym zamachem bronimy przed grzechem śmiertelnym czcigodnego przełożonego, który karząc nas, ukarałby Kościół!

– Słowa twoje są złotem, drogi bracie Lubinie! – zawołał z zachwytem Thibaut i, aby nie pozostać w tyle, dodał pełen animuszu: – Czcigodny Loyola zapewniał nas, że jesteśmy żołnierzami. A cóż robią żołnierze? Zwłaszcza podczas wojennej wyprawy, jak my na przykład? Piją, i to dobrze!

– A jedzą jeszcze lepiej!

– A więc za twoje zdrowie, bracie Lubinie!

– Bo bez zdrowia trudno walczyć z wrogiem!

I dwaj dzielni zakonnicy, przybrawszy srogie, łącznie żołnierskie miny, powstali z miejsca.

Oberża była już pusta, drzwi od dawna zamknięte, okiennice również.

– Razem jeden talar, jeden liwr i osiem groszaków – rzekł oberżysta, zbliżając się do gości z najmiłszym ze swych uśmiechów.

– Benedicat vos Dominus! – zawołał zakonnicy, groźnie wznosząc do góry prawe ręce.

Nieszczęsny oberżysta wyszeptał z rozpaczą:

– Pieczone kurczę, śliczne pieczone kurczątko!

– Benedicat! – powtórzyli jeszcze głośniejszym głosem zakonnicy.

– Omlet z wędliną, godny królewskiego żołądka – jęknął ze łzami w oczach oberżysta.

– Benedicat! Benedicat! – ryczeli zakonnicy, a po chwili otworzyli drzwi wejściowe i znikli w mroku nocy.

Oszukany oberżysta mrucał pełen wściekłości:

– Niech wszyscy diabli porwą mnichów i ich błogosławieństwo! Gdybym miał częściej takie zarobki, musiałbym chyba zamknąć budę!

Tymczasem brat Thibaut i brat Lubin kroczyli sobie ciemną uliczką, kiwając głowami i podśpiewując. Byli teraz tak mężni, że czuli się na siłach wyzwać do walki wszystkich łotrzyków z Dzielnicy Cudów.

– Co łaska, w imię boże! – odezwały się nagle dwa grube głosy.

Wysokie cienie wypłynęły z mroku przed samymi przerażonymi mnichami.

– Czego chcecie, panowie? – wybełkotał Thibaut.
– Pieniędzy!
– Ulitujcie się! Nasza sakiewka jest pusta.
– Nie ma puste sakiewki ten, kto obżera się jak książę u oberżysty Gregoire'a!
Zakonnicy poznali teraz dwóch podejrzanych osobników, którzy pili przy sąsiednim stole.
– Panowie! – zawołał brat Lubin drżącym głosem. – Jesteśmy zakonnikami, uczyniliśmy ślub ubóstwa.
– Pieniędzy! Albo padniecie trupem!
Błysnęły ostrza dwóch sztyletów, zakonnicy padli na kolana, a po ich policzkach zaczęły płynąć rześiste łzy. Przerażeni, złożyli ręce jak do modlitwy. Cocardère i Fanfare przeszukiwali kieszenie mnichów, a braciszczowie zakonni zaczęli spowiadać się wzajemnie i dawać sobie rozgrzeszenie, przygotowując się na śmierć.
– Nic! – zawołał Fanfare klnąc brzydko. – Ani grosza w kieszeni, tylko ta głupia książka!
– Książka! – jęknął brat Thibaut. – Przeklęta książka!
– Zawsze będzie co opylić – zdecydował Cocardère chowając książkę do kieszeni. – Idźcie, bracia moi, idźcie! Jesteśmy poczciwi chłopcy, nie życzymy śmierci grzesznikom.
– Nie jesteśmy wcale grzesznikami – rzekł brat Thibaut nabierając odwagi.
– Owszem, grzeszycie brakiem pieniędzy! Idźcie w pokoju, lecz na przyszłość nie popełniajcie tego grzechu.
– Panowie! Panowie! Zwróćcie tę książkę! – prosił Thibaut rozpaczliwym głosem.
W odpowiedzi na jego krzyk rozległ się wybuch śmiechu, który zabrzmiał w uszach zakonników jak śmiech diabelski.
– Jesteśmy zgubieni! – szepnął brat Lubin.
– Co powie czcigodny Loyola?
– Ach, bracie Thibaut, to twoje łakomstwo nawarzyło nam kaszy! To ty namówiłeś mnie na oberżę.
– A ty otworzyłeś drzwi, bracie Lubinie. Nie chciałem iść pierwszy, chciałem tylko poczuć zapach smażącej się pieczeni.
– Wspaniały zapach, przyznaję.
Kłócąc się i pocieszając wzajemnie, dwaj zakonnicy szli pośpieszenie do klasztoru. Jeden i drugi biedził się nad znalezieniem wyjścia z ich smutnej sytuacji.
– Ale, ale! – zawołał nagle brat Thibaut uderzając się w czoło. – Co nam powierzono? Podrzucenie książki mistrzowi Doletowi.
– Nic więcej! – przytaknął brat Lubin.
– A więc podrzucimy brewiarz. Piękny nowiutki brewiarz z obrazkami podarowany mi przez jedną z moich penitentek.
– Wspaniała myśl, bracie Thibaut.
– Czy ta książka, czy inna, co za różnica?
– A ponieważ mamy teraz rozkaz kłamania...
– ... będziemy kłamać, zapewniając, że podrzuciliśmy książkę.
– Przy tym będzie to tylko półkłamstwo...
– ... dające nam prawo do zużytkowania drugiej połowy, jeśli będzie trzeba.
Rewizja dokonana nazajutrz w domu Stefana Doleta nie dała oczekiwanych wyników. Znaleziono korektę dzieła mistrza Franciszka Rabelais'go – tłumaczenie Cyncerona, znaleziono inne książki jak: „Czyny Franciszka Walezego, króla Francji”, „Komentarze do języka łacińskiego,” czy wreszcie piękny brewiarz, zupełnie nowy i ładnie oprawiony, lecz nie znaleziono przekłętej księgi, obalającej dogmat Niepokalanego Poczęcia.
Brat Lubin i brat Thibaut na wszystkie pytania Loyoli przysięgali, że książka została podrzucona. Wobec tego, że zapewnienia ich czynione były naturalnym tonem i że widziano ich

wychodzących o oznaczonej porze z domu drukarza, Loyola zdecydował, że Dolet zauważył książkę i ukrył ją w porę.

Nikt już nie niepokoił mnichów, mogli się więc zachwycać dobrymi wynikami swego kłamstwa. Stefan Dolet nie został aresztowany.

Loyola dopatrył się w tym wydarzeniu nowego dowodu piekielnej zręczności drukarza. Zaczął rozmyślać: „Byłem słaby. Chciałem usprawiedliwić w oczach świata śmierć Doleta, ponieważ Dolet jest człowiekiem światłym, szanowanym przez filozofów. Chciałem walczyć podstępem, podczas gdy należało walczyć drogą gwałtu... Pretekst! Po cóż preteksty? Właśnie dlatego, że Dolet jest zbyt uczony, śmierć jego jest potrzebna”.

Znowu pogrążył się w rozmyślaniu, a kiedy w końcu zbudził się z zadumy, powiedział cicho:

– Dolet musi umrzeć!

ROZDZIAŁ XXIV

MAŁA KSIĘŻNICZKA

Dziesięć dni upłynęło od chwili, gdy banda złodziei z Dzielnicy Cudów wdarła się podczas balu na pokoje królewskie Luwru. Triboulet nie został wrzucony do żadnego lochu! Chodził ciągle po pałacu!

Nazajutrz po owym pamiętnym napadzie Franciszek I przywołał do siebie pana de Montgomery, swego nowego kapitana straży. Jak już wiemy, dawny kapitan, pan de Bervieux, któremu król kazał zaarrestować własnego syna, nie chcąc przyczynić się do zguby swego dziecka, odebrał sobie życie. Syn zaś jego, właśnie wtedy, gdy go miano aresztować, zniknął. Na próżno go szukano. Gdy kapitan Montgomery stanął przed królem, ten zwrócił się do niego z zapytaniem;

– Co uczyniłbyś, kapitanie, znalazłszy się na miejscu de Bervieux – ojca?

– Nie zawahałbym się ani chwili! Nie ma rodziny, gdy król rozkazuje. Aresztowałbym mego syna.

Król zachował milczenie, lecz pogardliwy uśmiech, jaki ukazał się na jego ustach, zaniepokoił dworaka.

– Pan de Bervieux – rzekł król – postąpił jak prawdziwy rycerz. – Czyn jego był godny Plutarcha.

– Sire! – bąknął Montgomery.

– Stanąwszy wobec konieczności nieposłuszeństwa albo przyłożenia ręki do śmierci syna, odebrał sobie życie. To wielkie serce.

Montgomery przerażony spuścił głowę.

– Ale pan – dokończył król – jesteś jeszcze dzielniejszy. Aresztowałbyś własne dziecko! Słowa twoje przed chwilą były słowami prawdziwego żołnierza. Tam gdzie król rozkazuje, nie ma rodziny! To mocne!

– Sire! – rzekł Montgomery promieniejąc radością – jestem ci oddany aż do...

– Liczę na to, panie de Montgomery. Jesteś dobrym żołnierzem. Na Boga! Oby wszyscy tacy byli.

– Sire! Naszym pierwszym obowiązkiem jest bezwzględne posłuszeństwo twojej woli.

– Podwoisz strażę przy wszystkich wrotach pałacu, zastąpisz wszędzie halabardników muszkietierami, a przy pierwszym usiłowaniu napadu – ognia! Ognia bez litości!

– Bądź spokojny, sire. Odpowiadam za bezpieczeństwo waszej królewskiej mości. Wystawiłem już dwie armaty na wielkim podwórku, szczerzą one zęby w stronę ulicy. Wrażenie świetne!

– Widzę, że umiesz dawać sobie radę. Cóż jednak za dziwne przyszły czasy! Król musi ochraniać swój Luwr przy pomocy armat! Możesz już iść. Czujność waćpana zostanie nagrodzona.

„Kariera gotowa” – pomyślał Montgomery, nisko się kłaniając, i skierował się do drzwi.

– Ale, ale! – rzekł król do odchodzącego. – Każ pojmać Tribouleta, mego błazna i osadzić go w więzieniu.

W tej chwili zasłona na drzwiach podniosła się i ukazała się Hiletka w towarzystwie swej pierwszej damy dworu i pana Bassignaca, pokojowca królewskiego.

– Sire – szepnął pokojowiec – nic nie pomogły moje słowa.
– Musiałam usłuchać rozkazów księżniczki de Fontainebleau – rzekła drżącym głosem dam dworu.

Król wstał pośpiesznie z fotela i zbliżając się do Hiletki rzekł:

– Księżniczka de Fontainebleau ma prawo wchodzić do króla o każdej porze. Oddalcie się wszyscy!

Dama dworu, pokojowiec i kapitan gwardii pośpieszyli spełnić rozkaz, wyrażony w tak dziwnej formie, a który dwór cały nie omieszkał zacząć tłumaczyć opacznie:

– Mała księżniczka ma prawo wchodzić do króla o każdej porze dnia.

– I nocy! – dodała głośno Diana de Poitiers, znajdująca się w tej chwili w apartamentach delfina, położonych obok apartamentów Katarzyny Medycejskiej.

Na te słowa żona delfina odpowiedziała wesoło:

– Zupełnie tak samo poczyna sobie mój małżonek; każdy, kto tylko zechce... wchodzi do niego za dnia, a zwłaszcza w nocy! Uczy się sztuki tego, jak być królem.

Franciszek I wziął Hiletkę za rękę i pociągnął ją do fotela.

– Hiletko! – szepnął gorąco. – Przyszłaś do mnie z własnej woli. Jest to chwila najśłodszej radości dla ojcowskiego serca.

Położył nacisk na wyrazie „ojcowski”. Mimo iż był w tej chwili może nawet zupełnie szczerzy, Hiletka usłyszała w jego głosie ten sam ton, którym przemawiał do niej w domu. w dzielnicy Trahoir. Nie chciała zająć miejsca, nawet cofnęła się lekko. Król usiadł w wielkim fotelu i zaczął przyglądać się jej w milczeniu.

– Sire – odezwała się Hiletka – nie bez walki wewnętrznej odważyłam się przyjść tutaj.

„Jakaż ona piękna! – pomyślał Franciszek I, a twarz jego zarumieniła się ze wzruszenia. – I to jest moja córka! Ach, po co ta wariatka mówiła mi o tym. Czy to jednak rzecz pewna?”

Nagła myśl, że Hiletka mogła nie być jego córką, wstrząsnęła nim do głębi; poczuł gwałtowne bicie serca.

– Mów, Hiletko, mów!

– Sire – rzekła – przychodzę prosić cię o łaskę dla mego ojca.

Król zachnął się:

– O łaskę dla błazna? Dla Tribouleta? Nigdy! Wszystko, czego tyko zechcesz, Hiletko, prócz tego!

– Sire, tamtej nocy, kiedy usłyszałam, że dajesz rozkaz aresztowania mego ojca...

– Ten wyraz nie schodzi ci z ust, Hiletko! – rzekł twardo Franciszek I. – Strzeż się, żeby nie przyniósł on nieszczęścia błaznowi! Nie obrażaj mnie, Hiletko, nadając to imię temu wesołkowi, a nie mnie, twemu ojcu. Przypomnij sobie, że jesteś księżną de Fontainebleau, córką króla Francji!

Słowa te szarpnęły sercem biednej dziewczyny, odwaga jej jednak była niezachwiana.

– Sire, ten błazen miał litość nade mną – mówiła dalej z posępną goryczą. – Nie jestem wcale córką królewską, nie chcę nią być. Ten, którego nazywasz przedmiotem powszechnego urągowiska, nie bojąc się zadać mi bólu, ten tylko zostanie na zawsze moim ojcem... Do ostatnich dni mego żywota będę go tak nazywała.

– Czegóż więc chcesz? Mów!

– Wchodząc tu, usłyszałam, że dałeś rozkaz wtrącenia go do więzienia. Sire, błagam cię, cofnij ten barbarzyński rozkaz! Cóż uczynił ci ten biedak, taki dobry, taki pokorny i taki wielki w swej pokorze? Popęlnił tylko jedno przestępstwo: spotkał pewnego dnia mnie, samiućką jak palec, opuszczoną przez wszystkich, nawet przez tych, którzy dali mi życie. Wtedy przygarnął mnie, obdarzył uczuciem, ustrzegł przed najgorszą nędzą. Oto cała jego zbrodnia. Sire! A wobec tego, że przyznajesz się dziś do ojcostwa, które tak długo nic cię nie obchodziło, alboż. nie powinienes kochać Fleuriala za to, co dla mnie zrobił?

Jej prosta i czysta logika wzruszyłaby nawet sędziego, ale król me był sędzią. Król czuł, że zaczyna w nim szaleć burza miłości. Nie słuchał jej, nie słyszał tego, co mówiła. Rozmyślał przejęty: „Oby Margentyna skłamała! Oby Hiletka nie była moją córką!”.

Zerwał się z miejsca i wziął dziewczynę za rękę:

– Dziecko – szepnął wzruszonym głosem – czy nie rozumiesz, że nienawidzę tego błazna za to, że ty go kochasz? Ja, król Francji, jestem zmuszony do tego, by czuć zazdrość o mego błazna! Zazdroszczę mu jego kaduceusza i jego brzękadeł, ponieważ ty spojrzałaś na nie z miłością. A dla mnie masz jedynie surowe spojrzenie! Jestem zazdrosny, Hiletko... zazdrosny! Czy ty to rozumiesz?!

Zapomniał o wszystkim: o swych apartamentach królewskich, o tym, że jest opiewany jako wzór elegancji i rycerskości, jak zwykł mawiać.

– Zazdrosny o Tribouleta! – zawołał podniesionym głosem.

Hiletka pełna przerażenia daremnie usiłowała uwolnić się z uścisku jego rąk.

– Gdyby na tym był koniec! Ale jest jeszcze drugi! Żebrak, włóczęga, nędzny zuchwalec zrodzony w rynsztoku, dziecko niewiadomych rodziców... I to jego, jego kochasz również! To sprawia mi ból najsroższy! To burzy mi krew w żyłach! Budzi w mym sercu wściekłość! O czym na Boga ty myślisz, wybierając takiego Tribouleta na ojca i takiego Manfreda na kochanka? Masz rację, nie możesz być córką królewską!

– Ach! Zadajesz mi ból! – zawołała Hiletka, czując, że ręka jej cierpnie w uścisku królewskiej dłoni.

Nie słuchał jej, mówił dalej, oszalały, wzburzony:

– Kocham cię jednak taką, jaka jesteś! Zadałaś mi jakieś czary, Hiletko, Kocham cię, mimo iż w twych oczach czytam pogardę! Kocham nawet twój strach, jak na przykład w tej chwili! Kocham cię! Pragnę, żebyś mnie pokochała.

– To wstrętne! To potworne!

– Tak! Widzisz więc, jak muszę cię kochać, jeśli zgadzam się na to, by uchodzić za potwora w twych oczach...

– Och! Jesteś nędznikiem! Ratunku! Ratunku!

– Pragnę, żebyś mnie pokochała! Za tę cenę otrzymasz łaskę dla Manfreda! Za tę cenę otrzymasz łaskę dla Tribouleta!

– Za cenę mego życia, lecz nie za cenę mojej hańby! – wykrzyknęła Hiletka.

Rozpaczliwym wysiłkiem woli wyrwała się z jego uścisku, odskoczyła w stronę okna i w chwilę potem król ujrzał ją przyciśniętą całym ciałem do ściany ze sztyletem w ręku.

– Co ja uczyniłem! – szepnął przesuwając ręką po czole, po którym spływał kroplisty pot.

– Co uczyniłeś, sire? Wykopałeś między nami przepaść, której nic już nie będzie w stanie wypełnić.

– Hiletko!

– Sire, przyszedłam tu, aby cię błagać o łaskę dla mego ojca...

– Nigdy! – krzyknął oszalały.

– Łaski tej żądam! – rzekła Hiletka tak rozkazującym tonem, że król zatrzymał się zdumiony i mimo woli wyszeptał z dziką dumą:

– Cóрка króla!

– Sire! – mówiła Hiletka dalej. – Każ przywołać kapitana i cofnij rozkaz, wydany przed chwilą; albo, przysięgam na miłość dla mego ojca, że odbiorę sobie życie!

Król spojrział na dziewczynę. Była blada i lekko drżała. Widział, że jest zdecydowana na wszystko. Wyobraził ją sobie martwą, z zakrwawioną piersią! Najwyższym wysiłkiem woli opanował się i zawołał wesółym tonem:

– Na Boga, droga księżniczko! Nie potrzeba tyle słów ani takich rozpaczliwych gestów. Życzenia twoje są dla mnie rozkazem. Alboż ojciec może się oprzeć prośbom swego dziecka?

Król wezwał Bassignaca i polecił mu sprowadzić de Montgomery'ego. Kiedy pokojowiec wyszedł, król i Hiletka spojrzeli po sobie w milczeniu.

– Odłóż ten sztylet – rzekł poważnie Franciszek I. – Masz moje słowo, Hiletko!

W tej samej chwili wszedł kapitan gwardii.

– Panie de Montgomery – rzekł król – gdzie jest mój Triboulet?

– Na podwórku, sire, między ośmiu gwardzistami, którzy mają go odprowadzić do więzienia.

– Księżna de Fontainebleau raczyła zainteresować się tym nicponiem. Tym razem obejdzie się strachem. Uwolnij, waść, Tribouleta.

Pan Montgomery wyszedł spełnić rozkaz.

– Przywołać mi panią de Saint-Albans – rzekł dalej król.

Pierwsza dama dworu księżnej de Fontainebleau weszła do gabinetu, drżąc na myśl, jakie gromy spadną na jej głowę za niedopilnowanie księżniczki.

– Pani, odprowadź księżniczkę do jej apartamentów i czuwaj dobrze nad nią – rzekł król znaczącym tonem. – Zdaje mi się, że zdrowie jej wymaga wielkiej baczości.

Z tymi słowy podał rękę Hiletce, która wsparła na niej koniuszki palców, odprowadził ją aż do drzwi gabinetu, ucałował rękę i rzekł:

– Do widzenia. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem spełnić tve życzenie.

– Bądź zdrow, sire – odpowiedziała Hiletka poważnie:

– Proszę czuwać nad zdrowiem księżnej – powtórzył król.

Pani de Saint-Albans dała znak, że rozumie, o co chodzi. Tego samego dnia po całym Luwrze rozniosła się wieść, że nowa kochanka królewska jest niespełna rozumu.

ROZDZIAŁ XXV

TRIBOULET

Cały dwór był pogrążony w głębokim śnie.

Na wieży kościoła St. Germain l'Auxerrois zegar wybił jedenastą.

Ciemnym korytarzem skradały się dwa ludzkie cienie. Otworzyły się drzwi, cienie wśliznęły się do słabo oświetlonego pokoju. Mdłe światło pochodni, osłoniętej ekranem, oświetliło postać Tribouleta i jednej z dam dworu księżnej de Fontainebleau, Joanny de Croizille. Pokój, w którym się znajdowali, przylegał do apartamentów księżniczki.

– Czeka na ciebie – szepnęła Joanna. – Ach, panie, gdybyś wiedział, na co się narażam! Lecz widziałam jej smutek. Nie mogłam patrzeć na to spokojnie. Moje serce również cierpi...

Triboulet spojrzał na nią ze współczuciem. On sam był zmieniony nie do poznania. Z jego twarzy znikł ironiczny grymas, oczy mu złagodniały, były tylko pełne niepokoju. Spoglądał z niecierpliwością na drzwi w głębi.

– Trzeba wyczekać północy! – rzekła dama dworu, widząc jego spojrzenie. – O północy wszyscy rozłążą się do swoich kątów. Te drzwi powinny być zamknięte, ale to ja mam od nich klucz.

– Biedna Hiletka – szepnął Triboulet. – Zamknięta na klucz, jak więzień w celi.

– Wszystko byłoby niczym, gdyby nie pani Saint-Albans...

– Pani de Saint-Albans! Ta sprytna małpa, która nie może się pocieszyć po minionej młodości. Zazdrości każdej mającej mniej niż pięćdziesiątkę i wylewa na każdą młodszą od siebie nagromadzoną w sercu żółć.

– Ach, mości Triboulet!

– Ma pani słuszność. Przepraszam, przemówił we mnie błazen. Uczyniłem to bezwiednie. Widzi pani, byłem wytresowany do kąsania nawet wtedy, gdy się uśmiechałem.

Usiadł i kryjąc twarz w dłoniach, szepnął:

– Nigdy chyba nie doczekam się tej północy...

Panna de Croizille, prześliczna osiemnastoletnia brunetka, spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko.

– Ale – ciągnął dalej – niepodobna, by los nieszczęsnej dziewczyny tak panią wzruszył, że chciałaś uczynić dla niej to, coś uczyniła?

– Powiedziałam już panu, ja cierpię również...

– Cierpisz, pani! A więc tylko dobrzy ludzie cierpią! Na tym przeklętym dworze triumfują i są szczęśliwi tylko źli. Och, gdybym mógł, oddałbym dziesięć dni życia, aby odegnąć od pani ten smutek, który przyćmił blask twych pięknych oczu. Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

– Niestety, sprawa jest prosta: jestem narzeczoną młodego Łukasza de Bervieux!

– Biedne dziecko! Biedne dzieciaki!

Joanna de Croizille zasłoniła oczy rękami, aby ukryć płynące z nich łzy.

– W tej chwili wybiła północ.

– Cicho! – szepnęła gasząc pochodnię.

Upłynęło kilka minut. Wreszcie Joanna wzięła Tribouleta za rękę i rzekła:

– Chodźmy!

Triboulet dał się prowadzić, serce biło mu w piersiach jak młot. Joanna powiodła go przez pokoje tonące w ciemnościach. W końcu otworzyła jakieś drzwi. W pokoju zalanym łagodnym światłem Triboulet ujrzał Hiletkę. Stała wyprostowana, w białej sukni, podobna do zjawy świetlnej. Uśmiechnęła się do niego jak w domu.

– Moje drogie dziecko! Moja córeczko! – powiedział wzruszony.

– Ojczy! Ojczy! – zawołała Hiletka, a w jej głosie było całe morze słodyczy i tkliwości. Zdawało się, że tym tonem chciała go zapewnić, że nic w ich wzajemnych stosunkach nie uległo zmianie.

Po chwili Triboulet siedział w fotelu, a Hiletka na jego kolanach.

– Niechże ci się przyjrze! – powtarzał Triboulet, biorąc w ręce jasną głowę dziewczyny. – Niechże się na ciebie napatrze! Tak, to jesteś ty, nie śnię. Ciebie mam przed sobą. Taką piękną, zawsze z tym samym uśmiechem na ustach. Tylko dlaczego jesteś taka blada. Cierpiałas z dala od twego starego ojca... Może płakałaś? (Hiletka zarumieniała się) Bądź błogosławiona, złości ludzka, za to, że mi zgotowałaś taką radość.

– Mój ojczy!

– Tak, tak... Nazwij mnie raz jeszcze tym słodkim imieniem. Powiedz mi raz jeszcze, że jestem twoim ojcem, Czyż może być coś rozkoszniejszego? To dziecko dowiaduje się, że jest córką króla i mnie... mnie, błazna, nazywa swym ojcem! Czym zasłużyłem na tyle szczęścia!

– Biedny ojczy! Jesteś taki dobry!

– A więc nic sobie z tego nie robisz, że jestem Tribouletem? Że ten pogardzany przez wszystkich człowiek to ja?! Że ten złośliwy garbus, ten kabłakowaty, pokraczny stwór, przed którego ostrym językiem drżą wszyscy, to ja? Że ten przeklęty, opluty, wyśmiany błazen to ja? Nic sobie z tego nie robisz?

– Ojczy, byłeś zawsze dla mnie dobry...

– Dobry dla ciebie, a zły dla innych! Posłuchaj mnie, mam usprawiedliwienie... Ty nie wiesz, jak straszny jest zawód wesółka. Nie znasz całego ogromu ludzkiej podłości. Nie wiesz na ile zranień narażony jest błazen, ile upokorzeń musi codziennie znosić. Ale ja też nauczyłem się na nie odpowiadać.

– Ojczy! Drogi ojczy! Po co mam wiedzieć to wszystko?

– Okropny to zawód! I nie masz do mnie o to żalu? Bardzo cierpiałem.

– I to wszystko przeze mnie? Robiłeś to, aby móc wychować biedną znajdę na dobrze ułożoną i wykształconą pannę.

– Jesteś dla mnie wszystkim, Hiletko. – Poglaskał ją po głowie i zapytał: – Jak ci tu jest? Dusisz się pewnie w tej złoconej klatce?

– Tak, ojczy!

– A król?... twój ojczy? Bo to twój ojczy, Hiletko.

Z niepokojem czekał na jej odpowiedź. Dziewczyna wzdrygnęła się i powiedziała:

– Boję się go!

– Więc nie chcesz tu pozostać? Odpowiedz mi szczerze.

– Nie! Och, nie!

– Nie chcesz być księżną?

– Nie! Najlepiej czułam się w naszym domu, gdzie wszystko było jasne i dobre, i ptaki, i kwiaty w ogrodzie, i radość, kiedy ty przychodziłeś do domu, ojczy.

Triboulet zadrzał. Bezgraniczne szczęście wypełniło jego serce.

– Pomyśl jednak, moje dziecko, chcesz rozwiązać cudowny sen, odtrącić wspaniałą szansę. Król...

– Nie mów mi o nim!

– Dlaczego? To przecież twój ojczy! – nastawał Triboulet.

– On? Och, nie! nie!

Rumieniec zalał jej twarz.

– Nędznik! – wykrzyknął Triboulet. – Domyślam się! Ośmielił się podnieść na ciebie oczy, nastawać na... O, królu! Taka jest twoja obłudna miłość ojcowska. Dzięki ci Boże, żeś ją uchronił od złego. Hiletko, dziecko moje, musisz ratować się ucieczką.

– Och, tak! Uciekać! I to jak najprędzej.

– Posłuchaj. Mam pieniądze, dużo pieniędzy. Przekupię jednego z wartowników, otworzy nam bramę. Potem wyjedziemy natychmiast do Szwajcarii, do Włoch... dokąd zechcesz. Rozpocniemy nowe, spokojne życie. Oczywiście aż do czasu, gdy zechcesz wybrać sobie ukochanego.

Hiletka potrząsnęła przecząco głową.

– Nie chcesz słyszeć o małżeństwie? – rzekł wesoło Triboulet. – A więc zgoda! Ja wygram na tym, moja panno. Opuścimy więc ten przeklęty kraj. Pojedziemy daleko... daleko od Paryża.

Hiletka oparła głowę na ramieniu Tribouleta.

– Nie – szepnęła cichutko.

– Nie chcesz opuszczać Paryża?

– Nie, mój ojcie.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony.

Hiletka spuściła oczy, przytuliła się mocniej. Po chwili na jej policzkach pokazały się łzy.

– Płaczesz? Co się dzieje, Hiletko? A ja, głupi, cieszę się, opowiadam ci różne bzdury. Masz jeszcze jakieś inne zmartwienie? Wiem, jaka jesteś dzielna, nie płakałabyś o byle co. Co ci jest, Hiletko?

Nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź. Tylko z jej oczu popłynęły obfitsze łzy, pierś wstrząsało łkanie.

– Hiletko! – prosił Triboulet, zrozpaczony tym niemym bólem. – Moje drogie dziecko, powiedz swemu staremu ojcu, co ci jest?

Głosem tak cichym, że Triboulet ledwo dosłyszał, co powiedziała, szepnęła:

– On mnie nie kocha.

– On nie kocha ciebie? – wyjąkał Triboulet blednąc.

– Gardzi mną...

– Kto, powiedz mi, kto?

– Sądzi, że dobrowolnie poszłam za królem... Och! On myśli, że...

Ukryła twarz w dłoniach i znowu wybuchnęła płaczem.

– Jakże jestem nieszczęśliwa! To, spojrzenie, jakim mnie obrzucił! To spojrzenie przytłacza mi serce... Duszę się! – wołała przez łzy.

– Lecz któż to jest? Kto? – pytał Triboulet.

– To pewien młodzieniec – wyjąkała.

– Co za młodzieniec? Mów! Mów, na Boga! Powiadasz, że cię nie kocha? To niemożliwe.

– Widzisz, mój ojcie, on przechodził często koło naszego domu... Przechodził w tych godzinach, kiedy siadywałam przy oknie...

– No i... – westchnął Triboulet.

– Spoglądał na mnie... i nie jestem pewna, ale zdawało mi się, że zgaduję... Och, nie! Nie kocha mnie. Nigdy mnie nie kochał!

– A ty kochasz go? – zapytał Triboulet z bezgraniczną tkliwością.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy i gestem rozpaczony.

– Wyłumacz mi do końca, Hiletko. Jak się nazywa ten młodzieniec?

– To on wyrwał mnie z rąk króla owego wieczoru. A nazywa się, jeśli się nie mylę, Manfred.

– Manfred! – wykrzyknął głucho Triboulet. – Herszt włóczęgów!

– Co mówisz, mój ojcie! Herszt włóczęgów? Manfred włóczęga? – zawołała oburzona.

– Nie bój się, może się pomyliłem? Na pewno nawet! Musiałem się pomylić. Ech, ten mój podły język!

– Nie, ojcze, nie, to prawda! Teraz rozumiem wszystko. Rozumiem nagły napad tych strasznych ludzi na Luwr. Przybiegli bronić swego przywódcy... i ja go kocham! Kocham go!

Upadła na fotel, kryjąc twarz w dłoniach. Po chwili mówiła dalej:

– Przywódca włóczęgów! Kocham go! Moim nieszczęściem jest to, że on mnie nie kocha. Och! Gdybyś go widział, mój ojcze! Żebyś go słyszał rozmawiającego z królem, jak z równym sobie. Gdybyś wiedział, jak mały wydał mi się w porównaniu z nim nasz król! Zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Co mnie to obchodzi, że nazywają go włóczęgą, jeśli ma serce dzielne, a duszę szlachetną. Mój ojcze, ramię jego jest mocne, a spojrzenie takie łagodne.

Z jej ust padały teraz urywane słowa, w których zawarła się cała jej gorąca miłość.

Triboulet pogrążył się w zadumie. Nie cierpiał nad tym, że w sercu Hiletki zrodziła się miłość. Nie przejmował się tym, że oddała swe serce człowiekowi wyjętemu spod prawa. Przerażało go jedynie to, że ukochanemu dziewczyny groziła śmierć.

Już od ośmiu dni słyszał ciągle opowiadania o Manfredzie. Wiedział o tym, jakie wydano zarządzenia. Wiedział, że gotowano obławę na tego odyńca, że zamierzano puścić jego tropem całą psiarnię.

Jego serce ścisnęło się na myśl o tym, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi Manfredowi. Powtarzał bezmyślnie:

– Powiadasz, że cię nie kocha?

– Jestem tego pewna, mój ojcze – odpowiedziała zrozpaczona Hiletka, której pierwotne podniecenie zastąpiła teraz zupełna apatia.

Czując potrzebę mówienia o ukochanym, opowiedziała Tribouletowi całą historię ich miłości. O tym, jak wyglądała jego przyjścia, jak się cieszyła na jego widok, jak płakała, gdy się nie zjawiał... Opowiedziała mu wszystko aż do sceny nieudanego, dzięki Manfredowi, porwania, potem o postępku Doleta i swoim pójściu z królem do Luwru. No i wreszcie o ukazaniu się młodzieńca na balu, o jego zuchwałym wyzwaniu i niesłusznym podejrzeniu.

Triboulet słuchał jej opowiadania z największą uwagą, a kiedy skończyła, rzekł:

– Mówisz więc, że cię nie kocha?

– Niestety, mój ojcze.

– A ja ci powiadam, że on cię uwielbia. Jedynie miłość może podszeptać człowiekowi tak szalony czyn. Bądź przygotowana, moje dziecko, jutro przyjdę do ciebie o tej godzinie. Pozwól mi działać. Uratujemy się ucieczką. Będiesz szczęśliwa, przysięgam ci na wszystko, co mam najdroższego.

Uściskał odurzoną jego słowami dziewczynę i opuścił apartament, Hiletka zaś, wstrząśnięta do głębi duszy, szeptała do siebie:

– On kocha mnie! Kocha! Czy to możliwe?

ROZDZIAŁ XXVI

KSIĘŻNA D'ETAMPES

Tego samego wieczoru o godzinie dziewiątej dwie kobiety wyszły z Luwru ukrytą furtką. O trzy kroki za nimi postępowało trzech kawalerów, uzbrojonych jak na wojnę, w łośiowych kaftanach, z dłońmi opartymi na rękojeściach szpad. Kawalerami tymi byli: Gwido de Chabot de Jarnac, Lezignan i Saint-Trailles, trzech stronnicy księżnej d'Etampes, urzędowej kochanki króla Franciszka I. Jedną z dwóch kobiet była sama księżna, drugą jej dworka.

Odrąbiono już gaszenie ogni. Ulice były ciemne. Sprawa musiała być bardzo ważna, jeśli taki tchórz i zmarzlak jak księżna, wiecznie pieszcząca się ze sobą i robiąca słodkie minki, nie bała się narazić swego zdrowia na wpływ nocnej mgły.

Ona, która stąpała jedynie po dywanach, dla której nie było dosyć miękkiej poduszki, aby móc na niej postawić nogi, brodziła teraz odważnie w kałużach błota, okrywającego wyboiste ulice, bruk bowiem w owej epoce był wielce zbyt nowością, na którą zdobyły się jedynie główne dzielnice miasta.

Księżna Anna de Pisseleu d'Etampes szła tedy wsparta na ramieniu swej towarzyszki. Jej przerażenie i dreszcze trwogi były zrozumiałe, w owych bowiem czasach i o tak spóźnionej godzinie na ulicach Paryża zaczęli panować niepodzielnie łotrzykowie, kieszonkowi złodzieje i wszelkiego rodzaju włóczędzy,

Księżna d'Etampes liczyła sobie pięćdziesiąt wiosen. Miała jednak cały arsenał jej tylko znanych sposobów barwienia i odmładzania twarzy, w przeciwieństwie do swej rywalki, Diany de Poitiers, która myła się latem i zimą w zimnej wodzie i gardziła wszelkimi kosmetykami.

Diana zachowała swe marmurowe kształty, którym zawdzięczała swą nazwę. Diana „Łowczyni” co dzień uprawiała ćwiczenia fizyczne, co dzień odbywała paromilową konną przejażdżkę, była żywa, przedsiębiorcza, lubiła polowanie, kąpiel w lodowatej wodzie, z niestrudzoną energią walcząc ze zbliżającą się starością.

Anna de Pisseleu brała do pomocy sztukę. Bała się przeciągów jak zarazy, wkładała na noc maskę i rękawiczki przesycone pachnidłami i maściami, usilnie zabiegała o to, by z wielkim arcyzmem „poprawić nieubłaganą rękę czasu”. Przy sztucznym świetle była jeszcze bardzo piękna.

Uroda Diany budziła zachwyty, Anna czarowała swymi pieszczotliwymi minkami. Obie one zresztą, jakkolwiek różnymi sposobami, zachowały aż do śmierci swą urodę, którą współcześni im poeci opiewali z takim entuzjazmem. Obie te kobiety nienawidziły się.

Diana, która możliwe iż była nawet kochanką Franciszka I, potrafiła całkowicie opanować serce i umysł delfina Henryka, człowieka słabego, który przez całe życie marzył jedynie o czynach bohaterskich na modłę dawnego rycerstwa. Należał on do Diany de Poitiers ciałem i duszą; żona jego, Katarzyna Medycejska, ustępowała jej we wszystkim albo udawała tylko, że ustępuje, knując w duszy zemstę.

Henryk był więc przyszłym królem, był wschodzącym słońcem. Po śmierci Franciszka I Diana stałaby się prawdziwą królową Francji. Przy niej więc skupiła się cała klika młodych i ambitnych dworzan, ci wszyscy, którzy palili się do objęcia jakiegoś stanowiska w rządzie i spekulowali już na pozornej słabości Henryka.

Księżna d'Etampes pozostała wierna Franciszkowi I, widziała jednak, że wpływy jej maleją z każdym dniem. Franciszek I był płochy; gonił raz za brunetką, raz za blondynką. Anna wybaczała mu wszystko, ale pod warunkiem, że ona będzie zajmować stanowisko urzędowej kochanki. Dokładała nawet wszelkich starań, aby stać się królowi niezbędną, ułatwiając mu liczne miłostki, a to w tym celu, by nie wdepnęła w jakiś trwały związek.

Nic więc dziwnego, że ukazanie się Hiletki na dworze królewskim było dla Anny piorunem z jasnego nieba; drżała jak liść, nie mogła zmrużyć oka i, chcąc się pozbyć tej niebezpiecznej, jak sądziła, rywalki, z zupełnym spokojem zaczęła rozmyślać nad koniecznością zbrodni.

Księżna d'Etampes zatrzymała się wreszcie w wąskiej ślepej uliczce, zaśmieconej, przecinanej strumykami tłustych pomyj. Po obu jej stronach stały niechlujne, odrapane domy, których szeroko rozsiadłe dachy zasłaniały niebo, ukazując tylko wąski jego pasek.

– To tu! – powiedziała cicho. – Oby tylko nie znikła od chwili mojej ostatniej tu bytności.

Uliczka, na której się zatrzymała, przylegała do Dzielnicy Cudów. Księżna zapukała do drzwi nędznego, prawie rozsypującego się domu. Trzej postępujący za nią mężczyźni, widząc, że się zatrzymała, zbliżyli się do niej.

– Pani, cóż za nieostrożność! – szepnął Jarnac.

– Boi się pan? – zapytała z odwagą kobiety, umiejącej siłą woli zwalczyć lęk.

– Czy podobna nie czuć obawy, gdy się widzi, na jakie niebezpieczeństwa się pani wystawia?

– Tak być musi, drogi przyjacielu – odpowiedziała stanowczym tonem. – Zaczekajcie tu na mnie!

Weszła do domu i zaczęła się wspinać po omacku drewnianymi schodami, bardzo stromymi, trzymając się za sznur przytwierdzony do wilgotnego i brudnego muru. Na górze majaczyły nikłe promyki światła, sączące się poprzez szczeliny spaczonych drzwi.

Księżna pchnęła je; nie były zamknięte na klucz. Weszła do mrocznej, wąskiej klitki, oświetlonej kopącym ogarkiem zawieszonym na gwoździu. Jedyne umeblowanie stanowił stół, taboret i kilka nieodzownych naczyń kuchennych.

W najbardziej od drzwi oddalonym kącie, na macie, siedziała skulona kobieta, nogi jej były przykryte starą kołdrą, pierś miała odsłoniętą, mimo dotkliwego chłodu, włosy rozpuszczone, oczy szeroko otwarte. Kobieta była piękna i jeszcze młoda. Zdawała się nie zwracać uwagi na lodowaty powiew wiatru, wdzierającego się do izdebki przez otwarte okno.

Wpatrzyła się w przybyłą wzrokiem pełnym posepnego zaciekawienia, wreszcie, jakby zominając o jej obecności, jakby nie chcąc nic o niej wiedzieć, pograżyła się znowu w jakichś niewesołych rozmyślaniach.

Księżna d'Etampes nachyliła się nad nią, dotknęła jej ramienia i szepnęła:

– Margentyno! Czy chcesz, żebym odnalazła twą córkę?

ROZDZIAŁ XXVII

SZALONA MARGENTYNA

Na te słowa kobieta nagle otrząsnęła się z letargicznego snu, zerwała się z posłania, obrzuciła księżną błędnym spojrzeniem i zawołała:

– Kto mówi o mojej córce? Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć!

– Zobaczysz ją, Margentyno, jeśli będziesz grzeczna.

– Moja córka! Och! Moja córka! Ona umarła. Wiem o tym. Lecz musi powrócić... ukryto ją... ma sześć lat... pani... uczyn to dla matki! Przygarnij biedną, małą dziewczynkę. Jestem pewna, że ona marznie...

– Margentyno!

– Kto mnie woła? Kto zna me imię?

– Słuchaj, czy mnie nie poznajesz? Przyjrzyj mi się, już kilka razy byłam u ciebie. Zostawiałam ci pieniądze...

Wariatka zaczęła przyglądać się badawczo:

– Tak, tak! Jesteś piękna pani... tak dobra i taka łagodna... Kocham panią bardzo... Tak... dawałaś mi pieniądze... pamiętam...

– Masz jeszcze, Margentyno.

Księżna podała wariatce misternie wyrobioną, błyszczącą sakiewkę. Kobieta porwała ją skwapliwie i śmiejąc się zaczęła ją głaskać.

– Niegdyś – szeptała – miałam podobne sakiewki, wspaniałe suknie z jedwabiu, haftowane złotem i srebrem, byłam strojna jak królowa...

Nagle upuściła sakiewkę na ziemię:

– Moja córka... Co mi po tym złocie, kiedy nie mam mojej córki?

– Mówię ci przecież, że zwrócę ci córkę. Czy ufasz mi?

Wariatka porwała księżną za rękę i zaczęła się w nią wpatrywać.

– Kto jesteś? – zapytała.

– Kto jestem? Posłuchaj mnie, Margentyno. Jestem kobietą, która cierpi tak, jak ty niegdyś cierpiałas. A może nawet więcej.

– A więc pani również utraciłaś dziecko? – zapytała Margentyna z ogromnym współczuciem.

Księżna potrząsnęła głową.

– Posłuchaj... Postaraj się mnie dobrze zrozumieć. Czy przypominasz sobie Blois?

– Blois? – powtórzyła Margentyna z boleścią w głosie. – Och! Nie mów mi o Blois! Och! Oberża! Śmiechy dworaków! Straszna noc cierpienia i grozy! Nie! Nie! Nie chcę...

Księżna ścisnęła Margentynę za rękę:

– Byłaś szczęśliwa, byłaś kochana, uwielbiana... Przynajmniej myślałaś, że nią jesteś. Kochałaś! Wiem o tym, Margentyno, bo twoja miłość sprawiała mi wtedy taką mękę... Śledziłam cię, szpiegowałam, wiedziałam o każdym twym słowie, o każdym ruchu... Tak, miłość twoja do Franciszka była gorąca i szczerą...

– Franciszek! – mruknęła wariatka z niechęcią w głosie.

– Tak, Franciszek! Nie wiedziałaś jeszcze, kim jest ten, którego kochałaś. Biedna dziewczyno, oddałaś mu swą piękność bez żadnych zastrzeżeń, na nic nie licząc, i sądziłaś, że związek ten będzie trwał wiecznie, że zawsze będziesz szczęśliwa. Czy przypominasz sobie?

Margentyna jęknęła.

– Dręczysz mnie! – rzekła dysząc ciężko.

– Widzisz więc, że cię znam, jeśli nawet tobie nie jestem znana. Posłuchaj mnie jeszcze, Margentyno. Pewnego dnia czekałaś na przybycie twego kochanka w małym wiejskim domu, położonym w okolicy Blois. Było lato, w ogrodzie pachniały kwiaty, z rozkoszą połaś się zapachem kwiatów i miłością. Chwilami pełen dumy uśmiech przewijał ci się po ustach. Czułaś w twym łonie nowe życie, miałaś zostać matką.

– Łaski! – jęknęła Margentyna Ochryplym głosem, czując, że serce jej zalewa fala zbudzonych ze snu, dawno zamarłych wspomnień.

– Wtedy stanęła przed tobą kobieta!

Księżna d'Etampes urwała, zawahała się. Nie miała odwagi powiedzieć: „Ową kobietą byłam ja!”.

– Kobieta! – zawołała Margentyna. – Och, nie zapomnę jej przez całe me życie! Jej uśmiech zmroził mnie... Jej oczy były złe...

Księżna uśmiechnęła się.

– Kobieta owa doręczyła ci list od twego kochanka. W kilku słowach donosił ci o tym, że cię nie kocha i że nigdy go już więcej nie ujrzysz.

– Och, co się dzieje z moją głową? Przypominam sobie, przypominam sobie teraz. Och, moje myśli! Rzekłbyś, tłum umarłych powstających ze swych mogił...

– Gdy ta kobieta odczytała ci list, bo ty nie umiałaś czytać, zdawało się, że oszalałaś. Zaczęłaś się rzucać, zaczęłaś obiegać wszystkie kąty, gdzie, zdawało ci się, mogłabyś go odnaleźć. Płakałaś gorzkimi łzami... a nad wieczorem, kiedy oszalała z bólu mijając drzwi oberży, upadłaś nagle na ziemię. Kobieta szła za tobą krok w krok, przywołała oberżystkę, dała jej i jej mężowi dużo pieniędzy. Przeniesiono cię do wnętrza oberży.

– Moja córka... moja córka... – jęczała Margentyna ukrywając twarz w dłoniach, jakby w obawie ujrzenia tej strasznej sceny, którą opowiadająca wywołała w jej pamięci.

– Margentyno – mówiła nieczuła na jej cierpienia księżna – czy pamiętasz, jak położono cię do łóżka, jak porwały cię pierwsze bóle macierzyństwa. Przez długie godziny wiałaś się w cierpieniach i gdy całe twoje ciało przeżyło się w największym wysiłku, a serce ścisnęło boleśnie, w sąsiednim pokoju słyszałaś brzęk szklanek, pieśni i śmiech uczujących dworaków. Kiedy wreszcie nadeszła decydująca chwila, wraz z pierwszym kwileniem twojej córki usłyszałaś wśród głosów uczujących panów głos twego kochanka, głos Franciszka.

Margentyna wydała rozzwierający krzyk, zupełnie tak, jak gdyby w tej chwili również doleciał jej uszu głos niewiernego kochanka.

– Och – prosiła głosem zdławionym łzami – zamilcz, pani. Zamilcz, na Boga.

– Nieszczęsna? Czy nie widzisz, że usiłuję przywrócić ci utracony rozum? Słuchaj... Zalana krwią, z dzieckiem na ręku, wyskoczyłaś z łóżka, otworzyłaś drzwi i ujrzałaś w gronie uczujących Franciszka ze szklanką w ręku. Na jego kolanach siedziała kobieta, która wręczyła ci list od niego. Upadłaś na wznak półmartwa... Przyszłaś do siebie po wielu, wielu dniach. Od tamtej chwili nie widziałaś już więcej ani Franciszka, ani tamtej kobiety.

– Moja córka... moja córka... – wołała Margentyna, łamiąc rozpaczliwie ręce.

– A Franciszek? Czy kochasz go?

– Nienawidzę go, nienawidzę!

– No, a ta kobieta? Jest ona jeszcze bardziej winna od niego. Może to ona ci go zabrała? Może to ona przygotowała tę scenę orgii tuż obok ciebie, rodzącej jego dziecko.

– Nienawidzę jej również... Z całego serca... Oddałabym chętnie duszę na potępienie, żeby sprawić jej ból.

- A więc, Margentyno, czy chcesz się zemścić?
- Moja córka... chcę widzieć moją córkę...
- Posłuchaj – ciągnęła dalej księżna niecierpliwie – kobieta ta ma dorosłą córkę, dorosłą już i piękną.
- A więc tylko źli ludzie bywają szczęśliwi.
- Przyprawdzą ci tę jej córkę. Uczynisz z nią, co ci się będzie podobało.
- Margentyna zgrzytnęła zębami.
- Zamorduję ją... zmuszę ją do takich cierpień, na jakie ja byłam kiedyś skazana. Wiem, że matka umrze, gdy się dowie, co wycierpieć musiała jej córka.
- Oczy księżnej błysnęły złowieszczym ogniem.
- A co do twej córki, przysięgam ci, że ją odnajdziemy.
- Moja córka nie żyje – rzekła półgłosem Margentyna potrząsając smutno głową. – Potem dodała gwałtownie: – Och, pani, jakże jesteś dobra! Sześćoletnie dziecko, bardzo łatwo się ją pozna. Ma jasne włosy i oczy czyste jak aniołek.
- Odnajdziesz ją, ręczę ci za to. Ale tamta... córka złej kobiety...
- Zamorduję ją – rzekła Margentyna krwiożerczym tonem.

Potem, nie zwracając już uwagi na gościa, usiadła w swoim kącie, wtuliła głowę w ręce i zaczęła śpiewać półgłosem balladę, którą usypiała swoje dziecko do snu:

Na polu sąsiada

Rwałam lilie co dnia,

Lilie białe co dnia

Rwałam dla przechodnia...

Księżna obrzuciła ją spojrzeniem, a potem z uśmiechem, który przeraziłby Margentyne, gdyby mogła zrozumieć jego znaczenie, opuściła pośpiesznie izdebkę. Zeszła po ciemku na dół, gdzie czekali na nią towarzysze tej wyprawy.

Nie upłynęło pół godziny, a już była w Luwrze, i nikt nigdy nie dowiedział się, dokąd chodziła księżna d'Etampes.

ROZDZIAŁ XXVIII

NIEUDANA PRÓBA

Jakkolwiek jeszcze na wolności, Triboulet był bacznie śledzony. Franciszek I spełnił wolę Hiletki, w dalszym ciągu jednak żywił do błazna nienawiść i nie zmienił swych zamiarów wobec niego.

Rozpętały się w nim zmysły. Niechby nawet była jego córką, zresztą wątpił w to bardzo. Jakież miał dowody? Słowa wariatki Król zaczął przypominać sobie daty i chociaż z tych zestawień wychodziło mu, że Hiletka jest jego córką, starał się usilnie wmówić w siebie, że to niepodobieństwo.

Pragnął ją posiadać! Posiędzie ją! O reszcie starał się zapomnieć.

Nazajutrz po owej nocy, kiedy to widział się z Hiletką, Triboulet siedział w swym pokoju, rozmyślając nad tym, co pocznie dalej. „Ten Manfred! – myślał. – Ona go kocha, muszę się więc z nim zobaczyć, muszę go poznać”. Jasne oczy błazna błyszcząły weselem i tkliwością, jednocześnie jednak taił się w nich niepokój. „Jak stąd wyjść? – rozmyślał. – Gdyby chodziło tylko o mnie, byłoby to bardzo łatwe, lecz dziewczyna? Jak podejść ich czujność? Trzeba jakoś upozorować ucieczkę, użyć jakiegoś wybiegu...”

Wziął w ręce lutnię i zaczął na niej brzdąkać. „Mój Boże! – marzył. – Jakże będziemy szczęśliwi! Czuję, że serce rozsada mi piersi! Nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze. Zawsze razem, z dala od tego posepnego Luwru, z dala od szyderstw dworaków... A jednak ten Manfred niepokoi mnie. Co tam! Jestem pewny, że zasługuje na jej miłość. Nie mogłaby kochać złego człowieka. Panie Manfredzie, kochają pana. I stary Triboulet kocha pana również. Lecz jak się stąd wydostać? Najlepiej jeszcze dziś wieczór. Każda zwłoka to stracony dzień szczęścia. Już nie mam dużo czasu na wyczekiwanie...”

Triboulet znał doskonale Luwr, znał wszystkie jego zakamarki, kąty i zakątki, drzwi główne, potajemne korytarze i ukryte wyjścia. Wiedział jednak, że jest śledzony.

Spacerował co prawda po pałacu, a nikt mu nie czynił żadnych przeszkód, lecz nie kazano mu już więcej pełnić obowiązków błazna, król nie wzywał go nigdy do siebie słowami: „Nudzę się, zabaw mnie, błaznie!”

Wszędzie, dokąd się udał, czuł spoczywające na sobie spojrzenia, przekonał się, że wszystkie wyjścia są pilnowane.

Pewnego razu zbliżył się do wielkich drzwi z miną obojętną, tak jak dawniej, kiedy chciał wyjść z Luwru. Natychmiast oficer, stojący na straży, podszedł do niego ze słowami:

– Zawróć pan!

„Pan!” Wyraz ten zabrzmiał bardzo poważnie i Triboulet zrozumiał, że wydano co do niego bardzo surowe instrukcje.

– A jeśli zechcę wyjść, panie oficerze?

– Będę zmuszony zatrzymać pana.

– A jeśli nie pozwolę się zatrzymać?

– Przebiję pana szpadą na wylot.

– Tam do licha, panie oficerze! Gdybyś pan przynajmniej zechciał obciąć mój garb, to jeszcze zrozumiałbym! Lecz przebijając na wylot! Jeszcze mi życie miłe! Pokorny sługa!

Oddalił się, udając przesadny strach, a czynił to tak zabawnie, że oficer wybuchnął głośnym śmiechem i rzekł:

– Biedny Triboulet! Byłoby mi naprawdę przykro zabić go. Lecz zdaje się, że morderstwo to sprawiłoby mu jeszcze większą przykrość!

Zachwycony swoim dowcipem, oficer zaczął się śmiać jeszcze głośniej.

Rozmyślając o tym wszystkim, Triboulet przygrywał na swej lutni, a grał bardzo pięknie. Wkrótce wyszedł z pokoju, zabierając instrument ze sobą. Zaczął błądzić po Luwrze, wreszcie zawędrował aż na budowę nowego skrzydła, rozpoczętą przez Franciszka I. Kilkudziesięciu robotników ustawiało właśnie dwie olbrzymie kariatydy. Jakiś mężczyzna dozorował roboty.

– Ładny ciężar, mości Goujon – rzekł Triboulet. – Jest pan rzeczywiście zręcznym człowiekiem. Do czegoż są te kariatydy?

– Będą podtrzymywały balkon – odpowiedział rzeźbiarz, mile polechtany pochwałą Tribouleta.

– A jakie kariatydy wyrzeźbiłbyś pan swym dłutem, aby mogły podtrzymać tron Francji?

Rzeźbiarz zdumiony tym pytaniem, nie odpowiedział nic, tylko mruknął:

– Największym wariatem jest ten, kto słucha wariatów.

Minąwszy placyk zawałony kawałkami gipsu, belek i bloków kamiennych, Triboulet znalazł się w tej części Luwru, która wychodziła na brzeg Sekwany. W samym rogu zupełnie pustego podwórza były małe, niskie drzewa.

Tymi to drzwiami Triboulet wychodził nieraz w nocy, a by towarzyszyć Franciszkowi I w jego wyprawach miłosnych. Tuż za furtką rozpoczynało się wybrzeże, obsadzone wysokimi topolami, wznoszącymi ku szaremu niebu swe wyniosłe wierzchołki. U stóp topoli był mały szynk, a raczej sklecona z desek buda, w której rybacy i przewoźnicy, właściciele łódek i barek gromadzili się przy szklance wina.

W nędznej traktierni zamiast zwykłych jej bywalców – rybaków – zgromadził się tego wieczoru tłum ludzi o wyglądzie bardzo podejrzanym, wszyscy wyglądali na prawdziwych zabijaków. Trzech szlachciców rozdawało obdartusom pieniądze. Gdyby Triboulet mógł słyszeć słowa, jakie towarzyszyły tej czynności, byłby bardzo zdziwiony. Słowa te brzmiały:

– Jesteś pewny, że on przyjdzie?

– Był tu wczoraj, błądził przeszło godzinę tu i tam, był również i przedwczoraj, był i parę dni temu. Dlaczego nie miałby przyjść i dziś?

– Pozostaje więc tylko uprzedzić prefekta.

– Głupstwa pleciesz. My powinniśmy załatwić tę sprawę. Gdybym wiedział, że pan de Monclar chce się w to wtrącić, zamknąłbym go w jego własnym domu.

Triboulet jednak nie widział i nie słyszał nic, a to dlatego, że stojąc przed furtką, rozmyślał, jak by się nią wykraść.

Od strony wybrzeża, za furtką, spacerował tam i z powrotem znudzony wartownik. Zatrzymał się i ziewał, przeciągając się, zaczynał gwizdać, a potem znowu wracał do przerwanego spaceru.

Żołnierz ten miał wygląd olbrzyma. Ruda broda spływała mu aż na piersi, oczy miał jasnobłękitne, niskie czoło, twarz łagodną, prawie dziecinną, a jednocześnie straszłą. Zabijając, na pewno nie rozumiał, że zabija.

Żołnierz ten nudził się. O czym mógł myśleć? Może o oberży, do której pójdzie wieczorem, aby wychylić kilka kubków wina, może o służącej, którą uszczypnął wczoraj w łydkę, proponując jej schadzki, może o czymś bardzo dalekim...

Nagle zatrzymał się i mruknął pod wąsem z wyraźnie niemieckim akcentem:

– Herr Jezu i wszyscy święci! Co ja sliszę?

Żołnierz usłyszał dźwięki piosenki, wygranej na lutni. Na jego twarzy rozlał się wyraz zdziwienia, graniczący z osłupieniem, potem przeszedł w zachwyt i niemal ekstazę.

Ze złożonymi rękami, z oczami pełnymi łez żołnierz słuchał. Dźwięki piosenki płynęły cicho, jakby skądś z daleka, budząc w nim wspomnienie rodzinnego kraju. W jego wyobraźni pojawił się obraz gór, gdzie spędził lata młodości. Widział zielone łąki, drewniane domki z dymiącymi kominami, szczyty gór, okryte śniegiem, wznoszące się hen, wysoko ku niebu... widział stada owiec, krów i młode dziewczęta – pasterki – jasnowłose, błękitnookie, ubrane w czerwone krótkie spódnice.

– *Górskie hale!* – powiedział olbrzym.

Jego olbrzymie wąsiska zadrżały ze wzruszenia, łzy przesłoniły mu oczy i zaczęły spływać po policzkach. Zaszlochał cicho.

– *Górskie hale! Och! Górskie hale!*

Piosenka urwała się nagle, w furtce stanął Triboulet.

– No i cóż – odezwał się – czy jesteś zadowolony, mój poczciwy Ludwiku?

– Zadowolony, panie Triboulet! I oddałbym chętnie roczny mój szold, aby móc raz jeszcze usłyszeć tę piosenkę.

– Tak, tak! Jesteś dobrym Szwajcarem! Przypomniało ci się Righi, nieprawdaż?

– Nein, aber Jungfrau.

– Aha! – rzekł Triboulet z zachwytem. – A więc Jungfrau?

– Tak! Tam sze urodzić.

– I tam chciałbyś być w tej chwili, zamiast mordować się przy tych drzwiach, za którymi nic nie ma.

– Przy drzwiach, których muszę pilnować, którymi nie ma nikt przejść, a zwłaszcza pan – rzekł żołnierz, przypominając sobie nagle o swoich obowiązkach.

– A powiedz mi, mój Ludwiku, jak długo trwa taka warta?

– Zluzują mnie za godzinę, ale odejść pan już, proszę pana o to... Nie chciałbym zapijać człowieka, która tak pięknie gra *Górskie hale*.

„I on również uprzedzony!” – pomyślał Triboulet. – Widzisz, mój drogi Ludwiku, że nie zbliżam się do furtki, że nie mam zamiaru uciekać – powiedział. – Królowi zbyt na mnie zależy, a mnie z kolei zbyt zależy na jego królewskiej mości.

– To bardzo szczęśliwie, panie Triboulet.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko do Tribouleta i spojrzał z zachwytem na jego lutnię.

Triboulet zamilkł, odstąpił o kilka kroków, potem zaczął znowu wygrywać na swym instrumencie. I znowu góralska piosenka i jeszcze jedna. Melodie przewijały się jedna po drugiej.

Ludwik słuchał całą duszą. Wstrząsał nim dreszcz wzruszenia, przymknął oczy, aby lepiej słyszeć. Czar pieśni działał na niego jeszcze silniej niż przed chwilą.

Triboulet skończył granie i zbliżył się pośpiesznie do olbrzyma.

– Ludwiku – zapytał go szeptem – jak ma na imię ta, która czeka na ciebie tam, w górach... Elżbieta? Małgosia?

– Nie, Katchen. Ale skąd pan wie, sze jest jakaś ona?

– A gdybyś mógł wrócić do niej?

– Och! Byłby to istny raj.

– A gdybyś mógł się z nią ożenić? Mieć domek, własny drewniany domek na pięknej leśnej polance otoczonej sosnami, tak cudownie pachnącymi żywicą... gdzieś w pobliżu doliny i pienistego wodospadu...

– A więc pan tam był! – zawołał zdumiony Ludwik.

– Tuż przy domku ogród, miałbyś również stado krów, powracających wieczorem do domu, a na czele stada krowa przewodniczka z kołatką na szyi... Pomyśl tylko, krowy wracają do domu, a wiejski pasterz wygrywa na trąbce piosenkę. Ty wracasz, a tu czeka na ciebie twoja Katarzyna...

– Panie! panie! Chyba oszaleję!

– Ona kładzie swą jasną głowę na twojej piersi i przemawia do ciebie głosem jeszcze słodszym niż dźwięk piosenki: „Ludwiku, czym zasłużyliśmy sobie na to, że Bóg zesłał nam tyle szczęścia!”

– Panie Triboulet! – zaszlochał Ludwik.

– Wszystko to może się spełni. Dziś wieczór, dzisiejszej nocy, gdy znowu będziesz stał na warcie, przyniosę ci sześć tysięcy talarów.

– Sześć tysięcy talarów! Za to można mieć i dom, i mleczarnię, i meble, i narzędzia gospodarskie, i ogród, i łąkę!

– I Katarzynę! Sześć tysięcy talarów! Czy dobrze słyszysz? Sześć tysięcy nowiusieńkich talarów!

– Cóż za szczęście!

– Musisz tylko otworzyć mi drzwi.

– Panie Triboulet...

– Sześć tysięcy talarów!

– Łaski!

Triboulet zamiast odpowiedzi zaczął grać góralską piosenkę.

Ludwik patrzył na niego niezdecydowany i roztrzęsiony. Gdy ostatnie dźwięki piosenki rozwiały się w powietrzu, olbrzym przesunął rękami po czole i głosem ochrypłym ze wzruszenia rzekł:

– Będę na posterunku między jedenastą a drugą w nocy.

– Dobrze. Przyjdę tu o dwunastej z pieniędzmi. Otworzysz?

– Jawohl!

Triboulet uciekł nieprzytomny z radości, gryząc wargi, aby nie krzyknąć.

Nie mógł doczekać się nocy. Łaził po całym Luwrze, oświadczył dworzanom, którzy wszczęli z nim rozmowę o niełasce królewskiej, w jakiej się znalazł, że nazajutrz od samego rana rzuci się do stóp króla, błagając go o przebaczenie.

Około dziewiątej znalazł się w swym pokoju i zaczął czynić przygotowania do ucieczki.

– Do tego mieszka pieniądze dla poczciwego Ludwika. Poczciwina! Życzę mu szczęścia z jego Elżbietą... nie, to Katarzyna! Ten płaszcz dla małej... mgła nocna przenika do szpiku kości. A ten doskonały sztylet trzeba przypiąć do pasa. Oho, ho! Drogi panie Ludwiku, chcesz nam otworzyć, proszę! Jedziemy w podróż z tą oto panią, z moją panną, z moją córeczką.

Wybiła dziesiąta, wreszcie jedenasta.

– Uwaga! – powiedział do siebie Triboulet. – Wkrótce przyjedzie po mnie panna de Croizille. Drzę cały... jakież ze mnie tchórz! Nie, już nie drzę więcej, nie chcę drzeć.

W tej chwili na jednym z korytarzy Luwru rozległ się jakiś gwar, okrzyki, kroki biegających ludzi.

Triboulet wzdrygnął się. Szybko otworzył drzwi i złapał za rękę idącą w jego stronę kobietę z pochodnią w ręku.

– Co się dzieje? – zapytał Triboulet. – Co się dzieje, mów, pani! – powiedział już spokojniej.

– Dzieje się to, że księżna de Fontainebleau znikła z Luwru.

Triboulet puścił rękę kobiety i upadł jak martwy na ziemię.

ROZDZIAŁ XXIX

SZYNK NA WYBRZEŻU SEKWANY

W izdebce małego domku w Dzielnicy Cudów, w którym Manfred leczył się ze swych ran ziołami i maściami, Lanthenay zadumany stał przy oknie. Wzrok miał utkwiony w ciemnych niebiosach, jak gdyby czekał, aż zabłyśnie wysoko w górze jakaś gwiazda.

Za jego plecami Manfred, już prawie zupełnie zdrowy, chodził po pokoju. Usta jego wykrzywił ironiczny uśmiezek; zdawał się drwić ze wszystkiego, co go spotkało w ciągu ostatnich dni.

Lanthenay wiedział doskonale, o czym jego przyjaciel myśli, jaka walka wre w jego sercu. Manfred zaś zdawał sobie sprawę, że Lanthenay przemyśliwa nad sposobem uleczenia go z nieszczęśliwej miłości.

Obaj milczeli, czuli jednak, że zbliża się chwila, w której będą musieli rozpocząć rozmowę.

– O czym myślisz? – zagadnął Manfred ze źle ukrytym zniecierpliwieniem. – Zdaje mi się, że nie pora na studiowanie gwiazd. Niebo czarne jak smoła! Gdzież są te gwiazdy? Ukryły się. Widzą, że w moim sercu panuje również ciemność, chcą dopełnić czarę.

– Manfredzie!

– Na rogi Lucypera! Niebo nawet odmawia mi jałmużny jednego bodaj uśmiechu!

Znowu rozpoczął swój nerwowy spacer po izbie.

– A o czym ty myślisz – rzekł Lanthenay – biegając po twej klatce, mój biedny chory lwie?

– Spaceruję, ot i wszystko! Spaceruję, bo nie chce mi się siedzieć; musiałeś zauważyć, że przed chwilą siedziałem, bo nie chciało mi się chodzić. Jednakowoż czy siedzę, czy śpię, czy chodzę, czy też mam otwarte oczy – nudzę się, mój bracie! Nudzę się okropnie. Dlaczego? Od kiedy? Diabeł to chyba zgadnie! To tylko jest pewne, że gwiżdżę na wszystko.

– Manfredzie, uspokój się, proszę cię! – rzekł Lanthenay, zaniepokojony zdenerwowaniem przyjaciela.

– Posłuchaj, wczoraj czy też przedwczoraj, nie wiem już dokładnie kiedy, tak dzień do dnia jest podobny, spotkałem dwóch zakonników, którzy zapytali mnie o drogę do swego klasztoru. Czy byli pijani, czy też ja sam byłem pijany? Wskazałem im drogę, starając się nie zbliżać zbyt do nich – nie lubię tych ludzi. Wtedy udzielili mi błogosławieństwa. To błogosławieństwo mi ciąży!

– Amen! – zakończył Lanthenay śmiejąc się.

– Jeszcze nie koniec! Poszedłem wychylić flaszkę starego wina do oberży, w której króluje pani Gregoire. W chwili gdy nalewała mi wino do kubka, pocałowałem ją w usta. I stare wino, i ten pocałunek pozostawiły mi jakąś gorycz, której nie mogę się pozbyć.

– Impertynent z ciebie! Powtórzę to pięknej pani Gregoire!

– Jeszcze nie koniec! Włócząc się po nocy ulicami, ujrzałem Jana Nędzotę, wychodzącego od Malarde. Wiesz, że zawdzięcza mi życie, zeszłego roku wyciągnąłem go zwody w chwili, gdy już opił się jej dostatecznie dużo. Od tego dnia wita mnie zawsze z daleka z wielkim szacunkiem. Otóż Jan podbiegł do mnie i zaczął całować mnie po rękach. Wybuch ten zdziwił mnie. Spojrzałem na niego – płakał. A kiedy zapytałem go, dlaczego, odrzekł: „To z radości!

Z wielkiego szczęścia, jakie mnie spotkało”. Oddalił się pośpiesznie. Radość Jana podziałała na mnie jak zatrute wino.

Zamilkł zdyszany. Zaciśnięte pięści wyciągnął ku oknu, za którym majaczyły w mroku nocy ciemne sylwetki domów.

– O, Paryżu! Miasto hańby i zbrodni! Miasto szubrawców i nicponi, zabijające w ludziach serce. O, Paryżu, nudzisz mnie, zabijasz, i ty, i twoje domy, i twoje ulice, i twój gwar, i twoja cisza i twoi mężczyźni, i twoje dziewczęta kłamliwe, rozpustne, cyniczne.

Manfred porwał butelkę i cisnął nią o ścianę. Oczy nabiegły mu krwią, oddychał ciężko. Potem nagle, jak gdyby zbita flaszka coś w nim załamała, jego wściekły gniew osłabł.

Lanthenay zobaczył wyraz bezgranicznej rozpaczyny rozlany na jego twarzy. Ogromne współczucie dla przyjaciela kazało mu zdecydować się na ofiarę, przed którą bronił się już od kilku dni.

– Nieszczęście twoje nie jest poważne – rzekł rozmyślnie lekkim tonem – a rada łatwa. Paryż nudzi cię? Świat jest wielki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Manfred.

– Że jesteś wolny, mój bracie! Nic cię nie wiąże, jak mnie, ani obowiązki, ani przywiązanie! Cały świat stoi przed tobą otworem! Miej tylko dobrego konia i ostrą szablę, a na świecie znajdzie się pole do walki. Wszędzie są owce, których należy bronić przed wilkami... Może cię to zabawi?

Głos Lanthenaya zadrżał. Manfred wybuchł płaczem, przyjaciele padli sobie w ramiona.

– O, bracie, jakże jesteś dobry! – zawołał Manfred. – Odgadłeś moje myśli, zrozumiałeś mnie! Przebac mi, że cię opuszczę.

– Mój drogi...

– Dłużej już nie wytrzymam! Umrę tu! – Potem dodał cicho: – Tak blisko od niej!

– Dokąd pojedziesz? – pośpieszył z zapytaniem Lanthenay.

– Czy ja wiem? – odpowiedział gorączkowo Manfred. – Południe czy północ, deszcz czy słońce... Wszystko mi jedno! Niech tylko deszcz ochłodzi me czoło, niech tylko słońce nie przyświeca jednocześnie... jej i mnie!

– Bracie, bracie! Strzeż się!

– A poza tym naprawdę marzę o tym, by znaleźć się we Włoszech. Włochy pociągają mnie. Dlaczego? Nie wiem! Lecz w chwilach, gdy Gypsie rozmawiała ze mną, gdy opowiadała mi o Rzymie, zdawało mi się, że widzę dawno znane obrazy, zatarte co prawda w pamięci, lecz owiane mgłą dziwnej poezji.

Zatrzymał się nagle, potem dodał głębokim i powolnym głosem:

– Tak... muszę zobaczyć Włochy... i Rzym!

– Kiedy jedziesz? – zapytał Lanthenay opanowując wzruszenie.

Wobec tego, że Manfred milczał, dodał:

– Jedź jutro, dobrze?

– Jutro!

– Tak, bracie! Alboż nie zdecydowałeś się na to?

– Ach! – zawołał Manfred. – Z jaką rozkoszą udałbym się w inną podróż! Z jaką radością oszczędłbym jeszcze dalej niż Włochy i Rzym, jeszcze dalej niż wszystkie marności tego świata. Powstrzymuje mnie tylko obawa, że śmierć moja sprawiłaby ci ból.

Dwaj przyjaciele spojrzeli na siebie ciepło.

Po chwili, już zupełnie na pozór spokojny, Manfred przypasał szpadę i włożył na głowę beret z czarnym piórem.

– Wychodzisz? – zapytał Lanthenay niespokojnie.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, ale nie obawiaj się niczego, noc ciemna. W sam raz dla takich włóczęgów jak ja! Mieszczanin boi się wychodzić, strażnik kryje się pod da-

chem, król Franciszek śpi w swoim Luwrze, a czcigodny de Monclar rozmyśla w swym pałacu. Aż do rana Paryż należy do nas.

Lanthenay spojrział na niego.

– Za parę godzin się rozwidni, ukaże się księżyc, wiatr zaczyna już rozganiać chmury. Czy chcesz, żebym z tobą poszedł?

– Nie trzeba, nic mi się nie stanie!

Lanthenay westchnął, przyjaciele uścisnęli sobie dłonie i Manfred wyszedł.

Udał się w stronę Luwru. Szedł rozkrwawić raz jeszcze swoje serce. Szedł rzucić Hiletce, chociaż z dala, wyrazy niemego pożegnania.

Gardził nią, sprzedawała się przecież dla zaszczytów, a jednak szedł do niej, do tego pałacu, w którym spała. Szedł bez określonego celu, bez iskierki nadziei, bez myśli, pragnął jedynie być przez chwilę w pobliżu niej.

Potem wszystko się skończy. Potem ucieknie, zdusi w sercu tę nierozsądną miłość.

Stanął przed ciemnym zupełnie Luwrem. Wzrok jego starał się przeniknąć mrok nocy, jakby chciał ujrzeć tę, którą kochał i tego którego nienawidził: Hiletkę i króla.

Od strony ogrodów królewskich ujrzał dwa słabo oświetlone okna, spoglądające ku niemu jakby z ironicznym uśmiechem. Wyobraźnia roztoczyła przed nim obraz Hiletki w objęciach króla.

– Hiletko! – szepnął głucho i odwrócił spojrzenie zamglone łzami.

W tej samej chwili ciężkie chmury okrywające niebo rozdarły się, ukazał się księżyc, jasna poświata zalała całe miasto, mosty i domy oraz mroczną sylwetkę katedry Notre-Dame. Na falach Sekwany ujrzał małą łódkę.

Łódź na wodzie o tej porze to zjawisko bardzo rzadkie, a może nawet grożące niebezpieczeństwem.

Manfred jednym susem ukrył się w cieniu starych nadbrzeżnych topoli. Ze swej kryjówki zaczął przyglądać się płynącej z prądem łodzi. Trzej rybacy siedzieli przy wiosłach, w głębi widać było postać jakiegoś młodzieńca. Łódź zbliżyła się nagle do brzegu, minęła kryjówkę Manfreda i zatrzymała się przy drewnianym baraku, szumnie nazwanym szynkiem.

„To pewnie stali klienci rybackiej oberży” – pomyślał Manfred.

Młodzieniec siedzący w łodzi wstał, przygotowując się do wyskoczenia na brzeg. Znajdował się o jakieś piętnaście kroków od Manfreda, i ten rozpoznał go.

– Margrabia de Sansac! – szepnął.

Ulegając szalonej chęci brawury, wyszedł z cienia i zawołał z szyderczym śmiechem:

– Cześć i sława panu margrabiemu de Sansac, który jest kwiatem stanu rycerskiego! Jaką ładną dziewczynę chcesz porwać dzisiejszego wieczoru, panie margrabisz? Och! Nie dla ciebie! Dla swego pana! Za jaką cenę? Franciszek jest hojny!

– Bij, zabij! – rozległy się liczne głosy i kilkunastu mężczyzn wybiegło za próg.

Sansac ruchem ręki wskazał im Manfreda, który krzyknął:

– To stu diabłów! Ta szlachta jest jeszcze tchórzliwsza, niż przypuszczałem. – Porwał za rapier z dziką radością. – Nareszcie mam okazję przedsięwziąć ową daleką podróż, o której marzyłem. Żegnaj, mój bracie Lanthenayu!

– Bij, zabij! – darli się napadający.

– Z miłą chęcią! – odpowiedział Manfred wybuchając śmiechem.

Zaczął wywijać swym rapierem straszliwe młyńce. Dokoła niego zaroilo się od napastników. Rozgorzałej momentalnie walce towarzyszyły okrzyki, jęki i przekleństwa. Po każdym młyńcu padał na ziemię jeden ranny albo zabity. Posuwając się powoli w stronę Tuileries, Manfred obliczał, że w zaułkach i ciemnych zakątkach budowli znajdzie kryjówkę, w której będzie mógł przyjąć walną bitwę. Szedł naprzód, a droga jego była krwawa. Czterech oblegających leżało na ziemi bez życia. Napastnicy, zdumieni walecznością Manfreda, napadali już z większą rezerwą, wołali tylko:

– Bij, zabij!

– Brać go! Nacierajcie, nędznicy! – ryczał Sansac, lecz nacierać zaczął Manfred i trzech kolejnych opryszków wyeliminował z walki.

– Złym jesteś bandytą! – zawołał do pniącego się ze złości Sansaca. – Nie umiesz wybrać dobrych zabójców! Jeszcze jeden! Razem już ośmiu!

I rzeczywiście ośmiu zbirów leżało tu i tam na piasku. Inni zaczęli uciekać w różnych kierunkach. Manfred, wsparty na swej szpadzie, wybuchnął serdecznym śmiechem, w tej samej chwili jednak dwóch mężczyzn zbliżyło się do Sansaca.

– Śmieć się, margrabio, śmieć się wraz ze mną! – wołał Manfred.

– Niedługo będziesz się śmiać! – warknął Sansac, zbliżając się z podniesioną szpadą do Manfreda.

Ten obejrzał się, zauważył w pobliżu niewielki dom otoczony ogrodem. Dookoła ogrodu ciągnął się mur. W murze znajdowała się mała furtka. O furtkę tę oparł się, musiał być bardzo czujny, ponieważ czekał go atak nie tylko Sansaca, lecz i jego dwóch towarzyszy.

– Godne trio w komplecie! – zawołał Manfred donośnym głosem. – Powiedziałem też sobie: co się stało, że widzę tylko jednego z trzech tchórzy. Dobry wieczór, panie d’Essé, porywaczu dziewcząt! Dobry wieczór, panie La Châtaigneraie, herbowy ladaco! Tam do licha, moi panowie! Tamtego wieczoru, kiedyśmy się spotkali ze sobą po raz pierwszy, potyczka wypadła dla was niezbyt pomyślnie.

– Dalej! Nacierać! – ryknął La Châtaigneraie.

Rozproszeni napastnicy, widząc, że trójka przyjaciół atakuje Manfreda, nadbiegli również. W tej chwili Sansac padł ciężko na ziemię, a jego towarzysze wydali okrzyk wściekłości:

– Diabeł, a nie człowiek!

– Złodzieje! Rabusie!

– Śmierć włóczędze, śmierć!

Siedem szpad skierowało się w pierś Manfreda. Na czele atakujących postępowali La Châtaigneraie i d’Essé. Rapier Manfreda zaprzestał ataku, ograniczył się jedynie do parowania ciosów. Zawrzała wściekła i milcząca walka. Manfred czuł, że jego zguba jest bliska. Dziwny uśmiech wykwitł na jego ustach. Kto wie, czy nie był to uśmiech zadowolenia.

– Mamy go! – ryknął La Châtaigneraie, mierząc zaciekle w Manfreda.

Cios jednak trafił w próżnię i z ust napastnika wyrwało się straszliwe przekleństwo. Bo oto Manfred zniknął mu nagle sprzed oczu.

Furtka, o którą się oparł, otworzyła się. Czując to, instynktownie się cofnął, wpadł do ogrodu i zatrzasnął napastnikowi drzwi przed nosem.

Rozległy się próżne przekleństwa, pogrożki i krzyki.

Już w ogrodzie Manfred ujrzał w świetle księżyca jakąś kobiecą postać. To ona właśnie otworzyła furtkę. Kobieta tą była Magdalena Ferron. Ze swego okna widziała wszystko, całą utarczkę. Widziała napad zbirów i ich ucieczkę. Była zachwycona dzielnością nieznanego, który sam walczył przeciw piętnastu przeciwnikom.

Mimo woli zaczęła modlić się za niego, a gdy się oparł plecami o ogrodową furtkę, gdy zrozumiała, że w walce tej może paść, zbiegła pośpiesznie na dół.

Po tamtej stronie muru zgraja opryszków biegła w zamieszaniu, szukając miejsca, któreby mogłaby się dostać do ogrodu.

– Trzeba wyważyć drzwi – rzekł d’Essé.

Ale La Châtaigneraie wskazał na leżące tu i tam trupy.

– Na dziś sprawa przegrana – rzekł z zimną wściekłością. – Skąd wiemy, czy ten dom nie jest schronieniem włóczędzów? Cofnijmy się!

ROZDZIAŁ XXX

ZAKAZANA MIŁOŚĆ

Magdalena Ferron porwała Manfreda za rękę, jakby chcąc nakazać mu milczenie. Pochylił się przed nią w ukłonie, oddając raczej hołd jej piękności niż dziękując za ocalenie.

Krzyki i bieganina po tamtej stronie muru ucichły. Zapanował spokój i nic nie zdradzało już dramatu, który przed chwilą rozegrał się pod murami samotnego domku. Nic, prócz tropów znaczących drogę przebytą przez Manfreda.

Magdalena pociągnęła młodzieńca za sobą. Wkrótce znalazł się we wspianale umeblowanym pokoju, oświetlonym dyskretnym światłem pochodni.

„Gdzie jestem?” – pomyślał Manfred, rzucając na Magdalenę pełne zaciekawienia spojrzenie.

– Pani, nie wiem, czy jesteś kobietą czy dobrą wieszczką. Gdyby nie ty, nie żyłbym już w tej chwili.

– Nie jestem wcale wieszczką – odparła poważnie Magdalena. – Jestem kobietą. – A w duszy pomyślała: „Niestety!”

Poważny ton tej na pozór oczywistej odpowiedzi zastanowił Manfreda.

– Kobieta! – zawołał. – W takim razie jesteś, pani, najlepszą i najpiękniejszą z kobiet!

– Czy jestem piękna? – szepnęła Magdalena. – Tak... jeszcze może przez kilka dni... Lecz dobra? Nie łudź się!

– Gdybyś była nawet najgorsza, jesteś, pani, tak piękna, że chętnie oddałbym za ciebie duszę na potępienie. Kto jesteś? Chcę wiedzieć!

Magdalena wzięła w rękę pochodnię i podniosła ją do góry na wysokość twarzy.

– Nie poznajesz mnie, panie? – zapytała łagodnie. – Ja poznałam pana od razu.

W mdłym świetle płonącej pochodni jej wyniosła postać była tak królewsko piękna, że Manfred patrzył na nią jak urzeczony.

– Pan również – mówiła dalej tym samym łagodnym tonem – poznał mnie natychmiast. Czytam to z twoich oczu. Okropna scena naszego pierwszego spotkania nie wyjdzie nigdy ani mnie, ani panu z pamięci.

– Pani... wierzaj mi...

– Milcz, pan! Poznałeś mnie, po cóż to udawanie? Dyktuje ci je szlachetność, nie chcesz mnie poniżyć wspomnieniem owej nocy. A zresztą, powiem ci... jestem marą z Montfaucon.

– Marą! – szepnął Manfred głosem pełnym zabobonnego przerażenia.

– A pan jest bardzo dzielnym człowiekiem. Podziwiałam pan tamtej nocy, podziwiałam i dziś.

Manfred wybuchnął:

– A więc dobrze, będę szczery, tak, poznałem panią! Bo czyż można zapomnieć jej cudną twarz i słodki głos. „Jeśli jesteś biedny, jeśli cierpisz i potrzebujesz pomocy – powiedziałaś mi, pani, wtedy przy rozstaniu – zapukaj do drzwi małego domu w pobliżu Tuileries, wymień twe imię... to wystarczy”. Tak powiedziałaś, pani, nie wiem dlaczego, nie chcesz używać innego imienia niż Mara. Nie chcę przenikać twoich tajemnic, lecz dla mnie jesteś, pani, życiem, możesz wrócić mi chęć do życia pięknego i promiennego, bo oświetlonego blaskiem twojej urody. Tak, jesteś, pani, życiem.

– Nieszczęsny! – szepnęła głucho. – Noszę w sobie śmierć, nie życie!

Słów tych jednak nie słyszał, nie chciał ich słyszeć. Mówił dalej gorączkowo:

– Dlaczego panią ocaliłem? Dlaczego pani mnie ocaliła? Ach! Ta kolejność wypadków ma w sobie coś cudownego! Nieprawdaż? Ot i dziś... Jestże to tylko przypadkiem? Nie, pani! Kto wie, czy nie siła wyższa kierowała mymi krokami. Kto wie czy ten instykt nie był miłością.

Zamilkł. Przed oczami stanął mu obraz Hiletki.

– Miłość! – powtórzył. Potem gorączkowo, z jakimś chorobliwym zapałem, jakby chcąc się odurzyć, dodał: – Tak, pani, to była miłość! Kocham panią, czuję to, wszystko inne minęło. Chcę tylko panią kochać! Życie moje należy do pani.

Tulił w swych dłoniach ręce Magdaleny, która na widok tego gwałtownego wybuchu miłości straciła panowanie nad sobą.

A jednak czuła, że ten człowiek kryje w sobie jakąś tajemnicę i że ma ona związek z tym wybuchem uczucia.

Lecz niech tam! Słowa młodzieńca wzruszyły ją. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z mężczyzną, który przemawiałby do niej z taką namiętnością. Przez chwilę usiłowała wywołać w swym sercu wspomnienie twarzy Franciszka I, ale twarz Manfreda była tak piękna, tak promienna!

To, co nastąpiło potem, było silniejsze od nich. Padli sobie w ramiona, usta ich połączyły się w namiętnym pocałunku. I choć pocałunek ten wyrósł z rozpaczycy ich serc, byli jednak szczerzy.

Ona przestała myśleć w tej chwili o Franciszku, on nie myślał o Hiletce. W jej umyśle kołatało:

„Och, kochać! Kochać jeszcze raz! Obudzić w sercu wygasłą miłość, stworzyć sobie nowe życie!”

On myślał: „Zapomnę! Ta piękna kobieta pozwoli mi zapomnieć o tym, co przeżyłem... o wszystkim. Kocham ją! Pragnę ją kochać!”

Oboje czuli, że tracą głowę.

– Kocham cię! – szepnął, tuląc ją w objęciach.

– Kocham cię! – odpowiedziała mu, wstrząsana dreszczem rozkoszy.

Wszystko to stało się tak nagle, tak nieoczekiwanie. Ani jedno, ani drugie nie zastanawiało się nad tym, jak było dziwne to, co się stało.

Przymknęli oczy w miłosnym upojeniu.

– Bądź moja! – szepnął zdławionym głosem.

– Tak! Chcę być twoja! – odparła.

Nagle w chwili gdy przytulili się jeszcze namiętniej do siebie, gdy zdawało się, iż ulegnie jego słodkiej przemocy, krzyknęła rozpaczliwie i odtrąciła Manfreda od siebie.

– Nie! Idź stąd! Idź precz! – zawołała.

– Mam odejść? – zdziwił się. – Oszalałaś! Jesteś moja! Musisz być moja!

– Nigdy! O, ja nieszczęsna! Co ja zrobiłam?!

– Będiesz moja – powiedział z uśmiechem nie spuszczając z niej oczu.

Ale kiedy usiłował znowu wziąć ją w objęcia, upadła na kolana przed fotelem i wsparłszy na nim głowę szlochała jak dziecko, powtarzając:

– O, ja nieszczęśliwa! Co ja zrobiłam?

Manfred przesunął rękami po twarzy i rozejrzał się dokoła ze zdziwieniem.

– Gdzie jestem? – zapytał. – Ja chyba śnię... Gdzie jest Hiletka?

Ujrzał klęczącą kobietę, której ramionami wstrząsnął gwałtowny płacz. Wtedy zrozumiał, że w życiu tej kobiety kryje się jakaś tajemnica, podobna do tajemnicy jego serca i że tę kobietę ktoś skrzywdził.

Stał w miejscu, zatopiony w myślach. Wreszcie pochylił się nad płaczącą i dotknął jej ramienia.

– Pani – odezwał się łagodnym głosem.

Potrząsnęła głową i rzekła łkając:

– Idź, panie! Odejdź, uciekaj! Nigdy już tu nie wracaj! Nigdy!

„Wróć – pomyślał Manfred. – Chcę wiedzieć!”

Głośno zaś dodał z głębokim współczuciem:

– Żegnaj, pani.

W kilka chwil potem był już na dworze i pędził przed siebie jak szalony.

Magdalena nie zmieniawszy pozycji płakała gorzko i długo.

Spis treści

Rozdział I	
Król	
Rozdział II	
Kat	
Rozdział III	
Błazen	
Rozdział IV	
Nikczemnik	
Rozdział V	
Matka	
Rozdział VI	
Schronisko czy grób	
Rozdział VII	
Przysięga Stefana Doleta	
Rozdział VIII	
Dwaj ojcowie	
Rozdział IX	
Prefekt miasta Paryża	
Rozdział X	
Magdalena Ferron	
Rozdział XI	
Loyola	
Rozdział XII	
Królewska córka	
Rozdział XIII	
Bał Dworski	
Rozdział XIV	
Manfred	
Rozdział XV	
Dwaj bracia	
Rozdział XVI	
Dzielnica Cudów	
Rozdział XVII	
Monclar mówi o Lanthenayu	
Rozdział XVIII	
Narzeczony dla Hiletki	
Rozdział XIX	
Cyganka	
Rozdział XX	
Manfred i Lanthenay	
Rozdział XXI	
Brat Lubin i Brat Thibaut	
Rozdział XXII	

Piękność Magdaleny Ferron
Rozdział XXIII
Czy ta książka, czy inna – co za różnica
Rozdział XXIV
Mała Księżniczka
Rozdział XXV
Triboulet
Rozdział XXVI
Księżna D'Etampes
Rozdział XXVII
Szalona Margentyna
Rozdział XXVIII
Nieudana próba
Rozdział XXIX
Szynk na wybrzeżu Sekwany
Rozdział XXX
Zakazana miłość